

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 3/618**

**1999**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

**A.K. WRÓBLEWSKI: RĘKA MILIONOPALCA**

**J. MARCINIAK: CO ŻYDZI ZROBILI?**

**A. KORASZEWSKI: O.K. DOBRZYŃ**

**K. WOLICKI: PRZECIĄŻENIE**

**J. BONIECKI: CZY SĄDZIĆ KATA?**

## SPIS RZECZY


Andrzej K. Wróblewski:	<i>Ręka milionopalca</i> .....	3
Janusz Marciniaik:	<i>Co Żydzi zrobili?</i> .....	15
Andrzej Koraszewski:	<i>O.K. Dobrzyń</i> .....	27
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Basil Kerski:	<i>Wschodząca gwiazda: Otto Schily</i> ..	36
<b>KRAJ</b>		
Krzysztof Wolicki:	<i>Przeciążenie</i> .....	39
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i> .....	50
SMECZ:	<i>Z ukosa</i> .....	59
<b>SĄSIEDZI</b>		
Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	76
Anna Deklick:	<i>Litwa ostatnim ogniem w integracji nordycko-bałtyckiej</i> .....	83
B.O.:	<i>Kronika ukraińska</i> .....	87
—	<i>Kronika białoruska</i> .....	88
<b>CI, CO ODESZLI</b>		
Wojciech Skalmowski:	<i>Jerzy Turowicz, 1912-1999</i> .....	89
Leszek Kołakowski:	<i>Jerzy Turowicz</i> .....	95
Krzysztof Wolicki:	<i>Jerzy Grotowski 11 VIII – 14 I 1999</i>	98
<b>NOTATKI REDAKTORA</b> .....		
103		
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Basil Kerski:	<i>Lornetka Gombrowicza</i> .....	107
Renata Głowacka:	<i>Europejski Konkurs Fotografii. Roz- mowa z Bogdanem Konopką</i> .....	112
Michał Masłowski:	<i>Obchody mickiewiczowskie we Francji</i>	115
(afz):	<i>Fundusz im. Adama Mickiewicza</i> ..	121
—	<i>Fundacja „Polska Katedra w Uniwer- sytecie Jerozolimskim”</i> .....	124
—	<i>Uniwersytet Letni Kultury Polskiej – Rzym 1999</i> .....	126
—	<i>Bilans emigracji</i> .....	127
—	<i>Wyróżnienia POLCUL Foundation</i> ..	129
<b>KSIĄŻKI</b>		
Ewa Łętowska:	<i>„W imieniu prawa”</i> .....	131
Leszek Szaruga:	<i>Wstęp do rozmowy</i> .....	141
Janina Katz-Hewetson:	<i>Jak było...</i> .....	145
Teresa Halikowska-Smith:	<i>Wieloryb na bałtyckich piaskach</i> ..	149
Benedykt Heydenkorn:	<i>Ukraińcy w Kanadzie wobec Polaków i Polski (1914-1939)</i> .....	152
Eugeniusz Kupper:	<i>Ruch teatralny</i> .....	155
Anna Frajlich-Zajac:	<i>Polki w literaturze amerykańskiej</i> ..	157

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 176

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec/Mars 1999

INSTYTUT  LITERACKI

## WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy) – po raz 12-ty – DM 100,00	F. 330,00
Aleksander Bragiński, Jülich (Niemcy) – po raz 49-ty	F. 400,00
Zbigniew Brzeziński, Waszyngton (USA) – po raz 29-ty – dol. 500,00	F. 2.800,00
Dla uczczenia drugiej rocznicy śmierci (14 III) mojej Matki Zofii Gorszeniukowej, z domu Jędrzejak, syn Teodor z rodziną, Londyn	F. 500,00
Dla uczczenia pamięci mego Męża Xawerego w 12-tą rocznicę śmierci – Wirydiana Rey, Paryż	F. 500,00
Dla uczczenia pamięci naszego przyjaciela Jana Halperna w 6-tą rocznicę Jego śmierci – Maria Strelcyn z rodziną, Manchester (W. Brytania)	F. 100,00
Martin G. Henzel, Mission Viejo, CA (USA) – dol. 11,00	F. 60,00
Ewa Jędruchowa, Summit, NJ (USA) – dla uczczenia pamięci Męża, dr. Jacka Jędrucha w 4-tą rocznicę Jego śmierci – dol. 100,00	F. 560,00
Kazimierz Karwowski, Toronto, ON (Kanada) – po raz 7-my	F. 120,00
Stanisław Kwiatkowski, Cleveland, OH (USA) – po raz 5-ty – dol. 20,00	F. 112,00
Prof. Kazimierz Laski, Wiedeń (Austria) – po raz 27-my	F. 270,00
Prof. George Lenczowski, Berkeley, CA (USA) – w 9-tą rocznicę zgonu ukochanej Żony Bronisławy Lenczowskiej, prezski Federacji Klubów Żon Profesorów University of California – dol. 50,00	F. 280,00
W. Łuszczak, Thunder Bay, ON (Kanada) – po raz 18-ty	F. 150,00
V. Malynovych, Vincennes (Francja)	F. 700,00
Tomasz Płodowski, Montclair, NJ (USA), – po raz 31-szy – dol. 43,00	F. 330,00
Maria Podhorska, Londyn – po raz 3-ci	F. 500,00
Romuald Quas de Penno, Wilmington, DE (USA) – po raz 14-ty – dol. 26,00	F. 145,00
Wirydiana Rey, Paryż – dla uczczenia pamięci Anieli, która tyle lat opiekowała się moim Ojcem, Edwardem Raczyńskim	F. 500,00
Zofia i Kazimierz Romanowiczowie, Paryż – zamiast kwiatów na grób Jerzego Turowicza	F. 300,00
W 4-tą rocznicę śmierci Marii Topperman – Wojciech, Caroline i Noemi Topperman, Downsview, ON (Kanada)	F. 350,00
W 18-tą rocznicę śmierci naszego Męża i Ojca Stefana Strelcyna – dla uczczenia Jego Pamięci – Maria Strelcyn i syn Jerzy z Rodziną	F. 250,00
W 18-tą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna – dla uczczenia Jego pamięci – syn, synowa i wnuczki z Paryża	F. 150,00
W siódmą rocznicę śmierci Juliana Brysza – naszego Męża i Ojca – Wanda i Irena, Genewa (Szwajcaria)	F. 500,00
Maria Strelcyn, Manchester (W. Brytania) – na Fundusz Towarzystwa Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu	F. 100,00

DZIĘKUJEMY

## Ręka milionopalca

Nieboszczka PZPR nie dożyła nawet półwiecza, ale jej duch będzie nam towarzyszył jeszcze długo i przypominał się przy byle okazji, jak np. rozpoczynającej się właśnie lustracji. Podlegać jej będą mali donosiciele z bazaru, a ujdą cało łajdaki, które współtworzyły ciężki klimat PRL. Mimo to uważam, że należy te sprawy pozostawić historykom, a zająć się czymś bardziej konstruktywnym, np. nową nomenklaturą, która wyrasta na glebie nietkniętej marksizmem-leninizmem.

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza nie była ani zjednoczona, ani robotnicza, tylko w połowie polska i nawet partią właściwie nie była, raczej już instytucją. Jak na liczne wstrząsy, które przeszła, wykazała się i tak końskim zdrowiem.

W dniu zjednoczenia PPR i PPS, 15 grudnia 1948 roku, zawieszono lekcje, żeby młodzież licealna mogła razem z dorosłymi święcić jedność klasy robotniczej. Od początku miałem do zjednoczenia partii stosunek przychylny, bo upiekła nam się biologia, której nienawidziłem. Ale idea jedności, poparta deklamacjami wiersza Majakowskiego („partia, to ręka milionopalca, w jedną miażdżącą pięść zaciśniętą”) trafiała nam do przekonania. Razem – naprzód!

Dopiero wiele lat później dowiedziałem się, że na przedzjazdowym zebraniu komórki PPS mój ojciec zaczął oponować przeciw mechanicznemu połączeniu, a właściwie przyłączeniu jednej partii do drugiej, ale bystrzejsi koledzy szybko go uciszeli: przecież masz żonę i dzieci...

\* Autor jest publicystą *Polityki* 1959-1981 i 1996-.

„Żona i dzieci” odegrały w półwiecznej historii PZPR znaczną rolę. Wstępowali do niej ludzie, którzy chcieli szczerze popychać do przodu swój zakład pracy, swoje miasto, swój kraj – i wstępowały kanalie, zdeklarowani karierowicze. Ale trzecia i bodaj najliczniejsza środkowa grupa, to byli mężowie i ojcowie, którzy ze względu na żonę i dzieci nie mogli sobie pozwolić nie być w partii. Niezbyt mocni zawodowo, albo kaprysem losu wysunięci na kierownicze stanowisko czuli, że do osiągniętego statusu brakuje im czerwonej książeczki. Z gruntu może i porządni ludzie, ale postawieni wobec trudnego wyboru podnosili posłusznie ręce, tyle że trochę niżej niż inni, żeby potem nie mieć kaca.

### *Dzięki ojcu zachowałem cnotę*

Pierwsze lata młodej PZPR, to oficjalnie okres zaostrej walki klasowej. Wróg, widząc sukcesy budownictwa socjalistycznego, ima się najbardziej niegodziwych sposobów – mówił Stalin – więc i my musimy odpowiadać tym samym. We wszystkich partiach komunistycznych kontrolowanych przez WKPB, czyli partię bolszewików, wykrywano się u samej góry spiski: w Polsce to Gomułka, w Czechosłowacji Slansky, na Węgrzech Rajk, w Rumunii Pauker, w Bułgarii Kostow.

Wszystko to jest dokładnie opisane i doskonale znane – jak również coraz bardziej obojętne dla współczesnych. Kiedy pada pytanie, czy ówczesni członkowie partii wierzyli w te brednie, młodzi wzruszają ramionami: kogo to obchodzi? Jeżeli wierzyli – to durnie, jeżeli nie wierzyli – to cynicy. A jednak pamiętam tę dziwną mieszaninę patosu i strachu, który sprawiał, że się wierzyło. Wierzyło się, że może nie każdy odszczepieniec był szpiegiem, ale z pewnością łamał jedność, usiłował hamować, siał zamęt. Może Amerykanie nie zrzucali stonki ziemniaczanej na nasze pola, ale kufacy z pewnością chowali po stodołach zboże. Rosła Nowa Huta, prąd docierał do wiosek, zwodowano pierwszy polski statek – to było ważne.

Mój ojciec miał dość odwagi, żeby oponować przeciw zjednoczeniu, ale nie dość, żeby ośmielić się otworzyć mi oczy na świat. Wiedział, że w lekturze szkolnej mam powieść o

Pawle Korczaginie, którego wyróżniono za to, że donosił na rodziców. Ale kiedy dyrekcja naszego liceum wezwała przewodników nauki, żeby tuż przed maturą wstąpili do partii, ojciec zdobył się na odwagę i powiedział: poczekaj, aż będziesz dojrzały i będziesz mógł partii coś zaferować, a nie tylko od niej brać.

Kiedy stałem się dojrzały, po Październiku 1956 i po odwołaniu Gomułki od Października, o członkostwie partii już nie myślałem. Argument werbowników, że aby partię zmieniać na lepszą, trzeba w niej być – stracił jakąkolwiek moc. Dzięki ojcu zachowałem cnotę – ale już mojej żony, która była pólsierotą (jej ojciec, o ironio, zginął rozstrzelany w Kazachstanie) nie było komu przestrzec. Dlatego łatwiej mi przyjąć perspektywę porządną w gruncie rzeczy ludzi, którzy postawili ten jeden nierozważny krok, a później nie starczało im odwagi, żeby nogę wyciągnąć z błota.

### *Konstrukcja nośna państwa*

Nawet dla nas, ośmioklasistów było jasne kto kogo połknął. PPR, choć o wiele mniejsza liczebnie, wszędzie wysuwała się przed PPS. Któryś z nauczycieli wyraził się o socjalistach „to mięczaki”. Istotnie, nadchodził czas twardzieli: PPR nie udawała nawet przywiązania do reguł demokracji, Gomułka mówił wręcz: panowie, władzy raz zdobytej nigdy nie oddamy, oszustwa wyborcze były publiczną tajemnicą, bezpieczeństwa wszędzie strach. PPS-owi publicznie wytykano przedwojenny lęk przed rewolucją i złudzenia, że można cokolwiek uzyskać poprzez reformy; a także, że nie tak mocno jak PPR kocha Związek Sowiecki. To się miało zaraz po zjednoczeniu zmienić na lepsze.

Zmieniło się jeszcze coś. Przed zjednoczeniem PPR była jedną z kilku partii i chociaż poparcie Związku Sowieckiego dawało jej gwarancję zwycięstwa, musiała walczyć. Po zjednoczeniu została na placu sama, nie licząc ornamentowych partyjek w rodzaju ZSL czy SD, zaczęła obrastać w gabinety, limuzyny i biura przepustek.

Tak okrzepła PZPR gotowa była stać się konstrukcją nośną scentralizowanego państwa, podobnie jak ono zbiurokra-

tyzowanego. Dyrektorzy fabryk i szkół, z cicha przeklinając, wysyłali takie same, tylko lekko zmienione raporty o wykonaniu planu po linii partyjnej i resortowej. Z otwartego stylu PPS nie zostało śladu. PZPR stała się czymś w rodzaju wewnętrznej policji: urzędnicy partyjni doglądali urzędników państwowych, czy aby dość gorliwie budują socjalizm.

Dzisiaj można te groteskowe procesy zrationalizować. Gospodarka kraju opierała się na planowaniu, które nie zostawiało rezerw, a więc praktycznie zakładało niedobory. Ktoś musiał być arbitrem w coraz częstszych zderzeniach, czy dwa wagony cementu posłać na budowę fabryki butów czy osiedla mieszkaniowego. Ktoś musiał odrząbić w trzecim roku pięciolatki, kiedy to najczęściej dochodziło do załamania, za wysokie wskaźniki planu i wytyczyć nowe. Rząd, choć to zabrzmiało śmiesznie, podlegał jeszcze jako takiej kontroli Sejmu, gdzie mógł się zaplątać jakiś poseł katolicki i zadać kłopotliwe pytanie. Partia była ponad takie niebezpieczeństwa. Półoficjalnie tłumaczono, że w partii „panuje wyższa temperatura ideowa”, czyli jej decyzje mogą korygować, a nawet zmieniać decyzje ciała chłodniejszych.

Im dalej w lata 60-te, a zwłaszcza 70-te, tym bardziej niejasna i niewygodna dla obu aparatów dwuwładza musiała doskwierać towarzyszom. Próbowano ją skodyfikować hasłem „partia kieruje, rząd rządzi”. Jednak przy każdym niemal plenum KC czy KW objawiał się niedowład tej formuły: pierwszy zabierał głos sekretarz partyjny i mówił głównie o gospodarce, następnie premier albo wojewoda i mówił o tym samym, bo o czym tu gadać? Partia (a ściślej I sekretarz KC, najwyżej po konsultacji z gronem najbliższych) dawał impuls i kierunek działania (np. Gierek – do budowy fabryk domów), oponować nie było wolno, następnie rząd wykonywał tę dyrektywę; kiedy nieprzewidziane negatywne skutki stawały się dotkliwe (w tym przypadku – wysokie koszty budowy i ogrzewania, niska jakość) – partia trąbiła do odwrotu, na ogół za późno.

Pozostawała kwestia znalezienia winnych, żeby obwiniony nie został system. „Błędy popełniają ludzie, a partia nie myli się nigdy” – mówiła półoficjalna doktryna. Na szczęście ludzie którzy popełniali błędy, częstokroć kozły ofiarne, nie musieli już być agentami obcego wywiadu – jak w pierwszych

latach PZPR. Dzięki systemowi nomenklatury (zestaw stanowisk pod szczególnym nadzorem, a nie spis nazwisk komunistycznej arystokracji, jak się dzisiaj powszechnie sądzi) towarzysz który musiał opuścić stanowisko, np. ministerialne, mógł wylądować oczko niżej jako, powiedzmy, wicewojewoda – a nie spadał na samo dno.

O nomenklaturze PZPR trudno dziś usłyszeć dobre słowo. Przy dużej dawce dobrej woli można dopatrzeć się pewnej zalety: dawniej ze stanowiska spadało się w nicosć albo zgoła do więzienia, więc towarzysze trzymali się foteli jak koła ratunkowego. Dzięki zasadzie „miękkiego lądowania” odbywał się, obok poziomego, także pewien ruch pionowy. Ale to wszystko było za mało – zarówno na potrzeby kraju, który potrzebował dopływu młodych, sprawnych, wykształconych kadr, jak i na apetyty działaczy młodzieżowych, którzy wyrastali z harcerskich szortów i ZMS-owskich koszul i rozglądali się za stosowniejszym miejscem dla siebie. To oni mieli okazać się siłą napędową Marca 68.

### *Zebrania o wpół do drugiej*

Spytał mnie kiedyś zachodni dziennikarz: ta wasza partia, jak widzę na zdjęciach, ludzie siedzą przy stołach, na których stoi woda mineralna i co dalej?

Bardzo kłopotliwe pytanie. Przez lata pracy w *Polityce* wiele razy usiłowałem zgłębić, co dalej. Co właściwie robi organizacja partyjna w fabryce? Zatwierdza awanse na mistrzów, wita delegacje z bratnich krajów, przenosi uchwały ostatniego plenum KC, które uchwaliło zwiększyć okopowe, a zmniejszyć motylkowe, czy na odwrót. Ale to robi nie organizacja, tylko jej władze, opłacani z fabrycznych funduszy funkcjonariusze partyjni.

Próbowałem niżej. Byłem w dziesiątkach kopalń, węzłów kolejowych, zakładów energetycznych. Rozmawia się świetnie, póki towarzysze partyjni pokazują: tu stoi maszyna produkcji włoskiej, pełny automat, tam magazyn wysokiego składowania, moglibyście redaktorze napisać żeby nam przydzielili jeszcze wózek widłowy. Ale niech tylko zagadnę, dlaczego Włosi potrafią, a my nie? Co to za planowa gospodarka, żeby wam

redaktor załatwiał wózek? Rozmowa zaczyna się strzępić. Działacze partyjni w wielkich kombinatach mieli małą zręczność przekakiwania od wszechobejmującej aprobaty do pryncypialnej krytyki. Pamiętam szczególnie wyraźnie, jak zaproszono mnie kiedyś do jednej z większych warszawskich fabryk, żebym zagał dyskusję o bieżącej sytuacji gospodarczej na zebraniu partyjnym. Postanowiłem iść o krok dalej, niż robiliśmy to w druku i mówiłem o nietrafionych inwestycjach, o obustronnie niekorzystnym barterowym handlu zagranicznym, o niedoborach energii... Sekretarz komitetu zakładowego podsumował: dziękujemy redaktorowi, że nam w takim zgęszczeniu przedstawił problemy, z którymi partia się nie może pogodzić!

W jednej fabryce spytałem, czy od organizacji partyjnej, od samego dołu, wyszła jakaś inicjatywa. Tak: żeby zebrania partyjne zaczynać o pół do drugiej, bo inaczej nie zdąży się na autobus. Napierali na to zwłaszcza towarzysze mieszkający na wsi. Zapisali się do partii, bo usłyszeli, że partyjnym łatwiej dostać przydział nawozów sztucznych.

W badaniach socjologicznych nad motywacją wstępowania do partii najczęściej padała odpowiedź: bo chcę mieć wpływ na to, co się dzieje w moim miejscu pracy. O wiele słabsze było poczucie więzi z ludźmi myślącymi tak samo, bo też ideologia z czasem zanikła zupełnie, stała się częścią rytuału, odbębnianego jak różaniec. PZPR nie była partią komunistyczną, ani partią marksistowską, ani partią budującą nowy, lepszy świat. Była partią rządzącą.

Partia sama się reprodukowała. Aparat kooptował spośród wybieranych sekretarzy ludzi sobie podobnych i czynił z nich aparatczyków. Ci w terenie stawali się szybko kimś w rodzaju superwojewody czy superstarosty. Pamiętam sekretarza z Kutna, który bardziej niż sporem Engelsa z Feuerbachem zajmował się poszukiwaniem małżeństwa pediatry i stomatologa, bo miał jedno mieszkanie i dwa etaty lekarskie do obsadzenia. Pamiętam innego z Bielska Białej, który wymyślił „koordynację poziomą”, czyli namiastkę rynku lokalnych zakładów poprzez stołeczne ministerstwo – kontakty lokalnych zakładów poprzez komitet powiatowy. Typowa praca organiczna.

Ale bywały chwile, kiedy biskupi polscy pisali list do niemieckich, albo robotnicy sabotowali zastrzone normy.

Wtedy kierownictwo partyjne odrywało sekretarza od pracy organicznej i kazało mu uprawiać wielką politykę. Sekretarz organizował wiece poparcia, uchwalał rezolucje, przeprowadzał czystki. Jeśli potrafił się sprawdzić przy stole z wodą mineralną – awansował do wyższej instancji, albo wracał „do cywila” na kierownicze stanowisko. Jeżeli winda partyjnego awansu wyniosła go jeszcze wyżej, mógł zostać wojewodą, a nawet sekretarzem rangi wojewódzkiej, czasem ministrem. Jeżeli do tego był robotnikiem, mógł trafić aż do biura politycznego jako ktoś w rodzaju maskotki: oto partia przypomniawszy sobie, że nazywa się robotnicza.

Tymczasem doły partyjne żyły swoim życiem. Poza dramatycznymi chwilami przełomów (w stanie wojennym zdarzało się, że zdesperowani robotnicy z „Solidarności” zmuszali partyjnego żeby zjadł swoją czerwoną legitymację) szeregowy członek partii razem z bezpartyjnym kolegą przy piwie wyklinał górę, która nie umie zaopatrzyć kraju w mięso. Czasem ktoś zaszedł do komitetu poskarżyć, że ogrzewanie nie działa, albo zabrakło nakrętek. Wtedy sekretarz dzwonił do głównego energetyka albo do magazynu. Pospiesznie wycofywano nakrętki z wydziału A, żeby je przerzucić na wydział B.

Ulubioną działką partyjnych działań były tzw. „sprawy ludzkie”. Kiedyś sekretarz powiatowy w Tarnobrzegu w mojej obecności obrugał przez telefon dyrektora szpitala, do którego nie chciano przyjąć chorej robotnicy z kombinatu siarkowego. Robotnica przyszła się poskarżyć do komitetu. Na moją dosyć oczywistą uwagę, że może aby przyjąć ją będą musieli wypisać kogoś bardziej chorego, sekretarz odpowiedział: ja może nie mam wiedzy lekarskiej, ale mam partyjną intuicję.

### *Partyjny demokracja*

Kiedyś we wczesnych latach 60-tych podczas wyborów do Sejmu PRL, które były czymś rytuałem (choć dla władz sprawdzianem nastrojów) pomyślono kartki wyborcze z Nowego Sącza i Nowego Targu. Ludzie wrzucali je do urny nie patrząc, ale ktoś z komisji się zorientował i zadzwonił do

komitetu wojewódzkiego do Krakowa: co robić? Sekretarz sprawdził, jakie są wyniki (czyli frekwencja) w innych okręgach, a upewniwszy się, że przyzwoite, kazał tam gdzie pomyłono kartki całe wybory unieważnić. „Gdyby brakowało nam do 51 procent, sam bym garściami wrzucał kartki do urny – tłumaczył mi potem – ale ponad 51 procent stać mnie być demokratą. Za wielka jest nasza odpowiedzialność za kraj, żeby ją uzależniać od tego, czy się komuś będzie chciało pójść do lokalu wyborczego i wrzucić kartkę”.

PZPR uzurpowała sobie odpowiedzialność za rządzenie krajem – odpowiedzialność, której nie potrafiła udźwignąć. W pierwszych latach po zjednoczeniu i wkrótce po wojnie jakoś to wszystko szło: bezpieczeństwa siała terror, ale kraj rósł w oczach, setki tysięcy ludzi przemieszczały się ze wsi do miast, po raz pierwszy stykając się z elektrycznością, bieżącą wodą, lekarzem. Potem jednak, częściowo pod wpływem wojny koreańskiej i przygotowań do ostatecznej rozprawy z Zachodem, horyzont obiecanego dobrobytu zaczął się oddalać. Powstanie w Poznaniu w czerwcu 1956 r. było pierwszym akordem w procesie rozwoju robotniczej partii i robotniczej klasy. Ten proces z przerwami trwał aż do pamiętnego wprowadzenia sztandaru PZPR w styczniu 1990 r.

Zdarzyło mi się kiedyś w rozmowie z członkiem najwyższych władz partyjnych usłyszeć pogląd tak naiwny, że aż się waham, czy mogę go zdekonspirować; otóż towarzysz ten powiedział, że gdyby partii udało się zapęłnić półki sklepowe i kieszenie pracownicze, żadni dysydenci nie zyskaliby posłuchu mas. Ależ oczywiście! Te masy nie były antykomunistyczne z powodów ideowych, historycznych czy jakichkolwiek innych niż tylko takie, że półki albo kieszenie były wciąż puste.

I jeszcze jeden dowód rozbijającej naiwności najwyższych dygnitarzy partyjnych. Tym razem nie waham się podać nazwisk, bo żaden z dwóch uczestników rozmowy, którą opiszę, już nie żyje. Otóż Zenon Kliszko, prawa ręka Gomułki, zaprosił na pogawędkę młodego instruktora, Józefa Kępcę. Co słysząc na wsi? Kępa odpowiedział, że właśnie był u matki-rolniczki i zorientował się, że urzędnicy powiatowi oszukują na podatkach. Kliszko pobladł, a potem zapytał: – Ale gdybyśmy mieli tak z pięć tysięcy ludzi absolutnie pewnych – poszlibyśmy do przodu, co?

Manna z nieba zapełniająca półki sklepowe i hufiec ludzi odpornych na łapówki miały zapewnić partii trwałą władzę, a krajowi pomyślność. A jednocześnie na każdym kolejnym plenum i zjeździe zapewniano się nawzajem o umocnieniu roli partii. Zaiste, trudno się powstrzymać od zacytowania raz jeszcze Majakowskiego z drobnym dodatkiem:

*Mówimy partia – a myślimy Lenin*

*Mówimy Lenin – a myślimy partia*

*I tak już kilkadziesiąt lat co innego myślimy,*

*A co innego mówimy, towarzysze.*

### *Przycinanie skrzydeł*

Dziś można z partii kpić dowoli, ale jeżeli przyjąć, że los Polski został przesądzony w Jańcie, a potem w Chełmie – to czy mogła istnieć i utrzymać pół-suwerenność bez takiej konstrukcji ustrojowej? Czy kraj, którego ludność nie popiera rządu i którego gospodarka jest sterowana centralnymi nakazami, musiał być spojony „ręką milionopalcą”, scentralizowaną partią?

Wydaje się, że musiał. Każda dyktatura wspiera się na jakiejś zorganizowanej sile: wojsku, kościele, partii. Titowska Jugosławia, mimo że od Związku Sowieckiego niezależna, przyjęła ten sam model partii komunistycznej masowej – i biernej. W chwilach kryzysu (w PZPR o wiele częstszych niż w innych rządzących partiach komunistycznych) reformatorzy bąkali, żeby partię odchudzić i uczynić kadrową, a za to aktywną. Ale jakoś nigdy się na to nie zdecydowano.

Każdy kryzys (1956, 1968, 1970, 1976 i 1981) powodował odpływ bardziej wrażliwych (w oficjalnym slangu – słabszych) towarzyszy i po każdym, z wyjątkiem Marca 68, reformatorzy partyjni podejmowali szczere wysiłki, żeby jakieś nauki wyciągnąć, żeby partię zdemokratyzować, uwrażliwić, uwolnić z gorsetu doktryny (w oficjalnym slangu – zbliżyć do mas). Nawet po 1981 roku partię, zepchniętą do drugiej linii (bo pierwszą zajęło wojsko), usiłowano poddać kuracji odmładzającej. Ale jak tylko sytuacja polityczna się stabilizowała, reformatorów wypierali zdrowi towarzysze

centryści i z reguły dokonywali ulubionego manewru postkryzysowego: przycinano obydwa skrzydła, czyli usuwano ze stanowisk trochę rewizjonistów i trochę dogmatyków, żeby skonsolidować środek.

Czy gdyby reformatorzy mieli więcej czasu, dokonaliby cudu odnowy sklerociałej partii? Wątpliwe – chyba żeby za odnowę przyjąć przedśmiertne ożywienie w rodzaju sowieckiej pierestrojki. Dzisiaj, kiedy cały obóz socjalizmu realnego, najeżony lufami rakiet strategicznych i zasiekami muru berlińskiego, rozpadł się jak domek z kart, wiemy że te wysiłki mogły tylko odwlec koniec.

### *Dogonimy Grecję*

Reformatorzy partyjni, to gotowe postaci do tragedii w stylu antycznym. Znienawidzeni przez swoich twardogłowych towarzyszy, bo chcą partię osłabić, a nie mniej przez zdeklarowanych antykomunistów, bo chcą socjalizm wzmocnić. Zrośnięci z partią etosem młodych lat, ale i życiowym wygodnictwem, rzadko mieli dosyć odwagi, żeby w pewnej chwili, kiedy już przebrała się miarka odciąć pępowinę, oddać legitymację, stanąć po drugiej stronie. A i tym nielicznym, którzy potrafili się na to zdobyć, chlubię polskiej inteligencji wytyka się czasem komunistyczną młodość, wystarczy przypomnieć Kuronia, Modzelewskiego, Kołakowskiego, Geremka.

Wracam jednak do tych, którzy w partii dotrwali do końca, a nawet jej przewodzili. Jak ich dzisiaj oceniać? Wedle chęci („chcieli dobrze, ale nie wyszło”), czy wedle rezultatów (jak dobrze pójdzie, dogonimy poziom życia Grecji za 22 lata)? Piętnować wszystkich partyjniaków, jak chce skrajna prawica, ci którym późne urodzenie oszczędziło dylematów starszego pokolenia – czy rozczulać się nad ich zawodowym życiem, bo przecież musi być przykro popatrzeć w lustro i spytać siebie „czego właściwie dokonałem?”

Ja uważam, że skoro naród im przebaczył (wystarczy przypomnieć wyniki głosowań i sondaży opinii na temat SLD) – historia im przebaczy tym bardziej. Żyli, pracowali i działali w jedynej Polsce, jaka istniała, a ta była w cieniu

ZSSR. Sądzi, że tak już będzie zawsze, że można co najwyżej starać się uczynić z tej Polski trochę lepszy, trochę weselszy, trochę bardziej przewiewny barak obozu socjalistycznego. Na szczęście mylili się.

A z drugiej strony, powiedzmy szczerze, doświadczenia z nową polską klasą polityczną każą na tamtą, PZPR-owską patrzeć nieco pobłaźliwiej. Czy nomenklatura AWS, na przykład, jest mniej zachłanna niż PZPR?

Wszystko, co napisałem powyżej można czytać jako samoobronę. Przecież dokładnie taka była przez lata orientacja *Polityki*, atakowanej przez partyjny beton, że na pierwszej stronie chwali socjalizm, a na dalszych go wyśmiewa – i przez zdeklarowanych antykomunistów, że łudzi czytelników mirażem ustroju, który nie może być sprawny ani sprawiedliwy i w ten sposób przedłuża jego gnilny żywot. Pamiętam, jak po kolejnej awanturze w KC redaktor naczelny kazał każdemu członkowi zespołu napisać pozytywny – ale to ma być superpozytywny! – artykuł o Polsce. Od tego miał zależeć los pisma. I pamiętam, jak brnęliśmy z zażenowaniem przez te pozytywne zjawiska, które wszak od biedy można było w Polsce znaleźć, jeśli się nie podnosiło oczu zbyt wysoko: tu zbudowano oryginalny dom, ówdzie ładnie śpiewał amatorski zespół estradowy, jeszcze gdzie indziej na kooperacji z ZSSR wyrosła nowa fabryka...

A jednak pycha każe mi sądzić, że wnieśliśmy swój niemały wkład w dzieło 1989 roku. Że polski inteligent był lepiej przygotowany do samodzielnego myślenia dzięki temu, że co tydzień nas czytał. Że zatem więcej racji miał partyjny beton, oskarżając nas o robotę antysocjalistyczną, niż opozycja demokratyczna, zarzucając – wprost przeciwnie – umacnianie socjalizmu.

Dzisiaj, jak 50 lat temu, polska lewica znowu przebąkuje o zjednoczeniu w jedną partię. Czy to znów miałyby być pięć milionopalca? Nie sądzę, żeby groziła nam powtórka z historii: nie tylko dlatego, że Rosja słaba i zwrócona do wewnątrz, ale przede wszystkim dlatego, że towarzysze przy stołach z wodą mineralną nie siedzieli na próżno: okazuje się, że umiejętności zdobyte w komitetach dobrze im służą w nowym społeczeństwie. Ludzi prawicy, zwłaszcza tych młodszych, którzy nie zaznali klimatu Polski Ludowej, rozwściecza



do białości, że były komuchy, zamiast w więzieniach, zasiadają w zarządach i radach nadzorczych nowych przedsiębiorstw. – Nie rozumiem, czego od nas chcą – ironizował pewien były działacz wysokiego szczebla – moja partia przegrała wybory w czerwcu 1989, więc zostawiam posadę we władzach i biorę się za to, co potrafię robić. Czy solidaruchy wołałyby, żebym wisiał na kuroniówce?

Nie silę się ocenić, czy ten towarzysz istotnie „potrafi to robić”. Nie wiem, czy on i tysiące jemu podobnych swoją pozycję w biznesie zawdzięczają znajomościom – czy talentom. Czy przy tych podłużnych stołach z wodą mineralną działo się coś, co lepiej przygotowywało do życia w kapitalizmie, niż drukowanie podziemnych gazetek i skandowanie „So-li-dar-ność, So-li-dar-ność!”. Wiem jednak, że związki byłych działaczy partyjnych z kapitałem są dla mnie lepszą gwarancją, że SLD nie jest siłą burzycielską, niż słowne zapewnienia, że polska socjaldemokracja niczym się nie różni od zachodnich.

Andrzej Krzysztof WRÓBLEWSKI

## Co Żydzi zrobili?

„Co Żydzi zrobili, jakie niewybaczalne grzechy popełnili, że tak się zaryli w świadomości i podświadomości wielu Polaków? Czy jest to tylko przejaw zwyczajnej, pospolitej nienawiści do «obcego», «innego», połączonej z tradycyjną chrześcijańską doktryną bogobójstwa – czy też jest w tym coś więcej, coś specyficznie polskiego, czego przyczyn trzeba szukać nie w charakterze Żydów, ale w psychice Polaków?”

Rafał Scharf, „Co mnie i Tobie Polsko. Eseje bez uprzedzeń”

## Piaskownica

„Nad żydowskim cmentarzem, którego już nie ma, podnosi się słońce. Oświetla pawilon meblowy i śmietniki, które tu postawiono. Prawdopodobnie największą część cmentarza zajęły Międzynarodowe Targi Poznańskie. Jego kawałek, u zbiegu ulic: Głogowskiej i Śniadeckich, został piaszczystym podwórkiem. Dzieci lubią bawić się w piasku. Zwłaszcza jeśli piasek jest mokry i żółty. Tu piasek był właśnie taki: żółty, mokry i zarazem inny niż na sąsiednich podwórkach. Kopiąc w nim, natrafiła się na ludzkie kości. Kiedyś dotarło do mnie, że to są **ludzkie kości**, że dziwne, rdzawe przebarwienia niektórych warstw ziemi występują jedynie w tej «piaskownicy». Poczulem wtedy odrazę do tego miejsca, do łyżki, którą kopałem, do siebie i do innych dzieci. Dziś jeszcze samo wspomnienie wywołuje we mnie odruch wymiotny, lecz nie jest już przykre. Od tamtego czasu nic nie będzie dla mnie bardziej przykre, dość czyste i całkowicie pewne”. To fragment mojego tekstu „Podwór-

ko” (1992), który jest wspomnieniem z dzieciństwa. Moje dzieciństwo przypadło na lata 60-te i przywołane wspomnienie może być symbolem mojej ignorancji – ignorancji pokoleń Polaków, którzy urodzili się po drugiej wojnie światowej i dochodzili różnymi drogami do skrywanej przed nimi prawdy o zagładzie Żydów. Ten cytowany fragment „Podwórka” jest prawdopodobnie ostatnim śladem po jednym z wielu zbezczeszczonych żydowskich cmentarzy, lecz w żadnym razie nie może być wystarczającym zadośćuczynieniem za krzywdy wyrządzone niewinnym ludziom i pamięci o nich. Wiele lat później, kiedy moją piaskownicą stały się książki, zorientowałem się, że Kain chciałby zapomnieć o Ablu, że Judasz wolałby skazać się na wieczne potępienie niż przeprosić Chrystusa i że nie można na to pozwolić.

Dzisiaj w innej piaskownicy, która jest największym żydowskim cmentarzem, bawią się nie dzieci – nieświadome niczego, lecz dorośli ludzie. Bawią się krzyżem i słowem, i ta brzydka zabawa, zważywszy na lekceważenie pamięci ofiar, lekceważenie Kościoła i Papieża, ma już wymiar satanistyczny. Trudno doprawdy zgodzić się z określeniem „konflikt”, które słyszy się, gdy mowa o krzyżach stawianych na zwirowisku w Oświęcimiu. To nie jest żaden konflikt, lecz haniebna manifestacja antysemityzmu, za którą wszyscy – katolicy, wierzący innych wyznań i niewierzący – jesteśmy odpowiedzialni. Antysemityzm jest nie tylko grzechem i zwyrodnieniem moralnym, to również początek przyzwolenia społecznego na zbrodnię. Powiedzmy to samo inaczej: antysemityzm stanowi straszliwą pamiątkę krzywd już wyrządzonych i zapowiedź krzywd, które zostaną wyrządzone człowiekowi przez człowieka w przyszłości. Dlatego nie można być obojętnym wobec antysemityzmu. Nie można go niczym usprawiedliwić. Powiedziano wiele o jego źródłach. Jednym ze źródeł antysemityzmu jest nacjonalizm i ta skaza wiary religijnej, którą nazywamy fideizmem. Najbardziej unaoznościło się to właśnie w XX wieku. Musimy wspólnie dokonać gruntownej rewizji i rozdzielenia pojęć „katolicyzm” i „narod”. Szczególna odpowiedzialność w tej sprawie spoczywa na katolikach.

### *Potrzeba bezwarunkowej empatii*

W 1990 roku w *Tygodniku Literackim* (nr 7) ukazał się tekst Henryka Grynberga „Odwrótne strona dialogu”. „*Pamięć tego, co się stało, jest jedyną tarczą dla ludzi, którym przypadło być Żydami w epoce, gdy technologia umożliwia wszelkiego rodzaju «ostateczne rozwiązania».* Jeśli holocaust miał jakiś sens, to było nim stworzenie tej tarczy. I granicy dla nienawiści. Obrona tej ostatecznej granicy jest powinnością, której nigdy więcej nie wolno zaniechać”. Przechowuję, jak cenną pamiątkę, ten egzemplarz gazety z tekstem Grynberga i rysunkami Tadeusza Brzozowskiego. Tak się składa, że w miarę jak gazeta żółknie i jak żółkną rysunkowe portrety apostołów, życie potwierdza konstatacje pisarza. Między innymi tę, że ów dialog nie opiera się na zasadach równości, że apostołem polskiej strony dialogu jest Judasz. Najważniejsze kompetencje – kompetencje językowe nadal nie mają w nim znaczenia. Słowu odpowiada przemoc i brednia. I to brednie, a nie przyjazne Żydom publikacje w *Tygodniku Powszechnym* i *Gazecie Wyborczej*, przyciągają uwagę opinii publicznej i, co zrozumiałe, wywołują determinację strony żydowskiej.

Tekst Grynberga wywarł na mnie ogromne wrażenie. Nie tylko dlatego, że jeszcze bardziej przybliżył mi racje żydowskiej strony dialogu, jej ból i żal za brak zrozumienia, ale także uzmysłowił potrzebę bezwarunkowej empatii. Empatia. To pojęcie ma swego wielkiego filozofa. Znamienne, że ten filozof jest Żydem. Nie wiem, czy niedawno zmarły Emanuel Lévinas będzie uznany za najważniejszego filozofa naszych czasów. Dla mnie jest jednym z najważniejszych filozofów wszystkich czasów. Ale ja mogę powiedzieć coś takiego, bo jestem dyletantem w dziedzinie filozofii, który przejął się moralnym wymiarem filozofii Lévinasa – rzecznika odpowiedzialności za Innego, uczestnika dialogu o Auschwitz. Jednym z walorów tej filozofii, na który zwracają uwagę jednocześnie znawcy i dyletanci, jest piękno języka. To język sumienia, transcendencji Boga i odkrywania wspólnoty ludzkiej. Wspominam o tym, ponieważ język – wspólny język jest warunkiem nawiązania każdego, nie tylko polsko-żydowskiego

dialogu. Wydarzenia na zwirowisku pokazują, że język polski musi jeszcze długo nasiąkać empatią, aby w powszechnym użyciu pojawiły się (czy się pojawia?) słowa świadczące o istnieniu współczucia.

A jaki jest język wyrażania myśli i uczuć „obrońców” krzyża? Sięgam po ostatni przykład. 1 listopada ksiądz z Bydgoszczy odprawił na zwirowisku Mszę św. i poświęcił ustawione dzień wcześniej stacje drogi krzyżowej. Oto co powiedział przy tej okazji: „*Nie przekonują mnie słowa hierarchii Kościoła krytykującej akcję stawiania krzyży. Nawet Papież bywa omylny. [...]*” W kazaniu ksiądz przytaczał nieszczęścia, jakie spotkały ludzkość w historii, i uznał, że najbardziej za to odpowiedzialni są Żydzi. Najpierw zaznaczył, że jest wielu wspaniałych Żydów i nie o nich te słowa wypowiada. Później mówił: – „*Nawet za II wojnę światową są Żydzi odpowiedzialni, bo bez Rosji do niej by nie doszło, a większość kadry komunistycznej w Związku Radzieckim stanowili właśnie Żydzi. Sami sobie tę mogiłę wykopali. Nie ma wyjścia, bracia Żydzi musicie to przyznać, aby więcej takich mogił nie było. Niech to będzie ostatnia mogiła, a obok krzyża niech stanie Gwiazda Dawida – kazał ks. Dziegiel Wołynowicz*” (GW, 2.11.98). Antysemityzm kleru, choćby to było zjawisko marginesowe, budzi największą odrazę i każe mi zastanowić się nad moją przynależnością do Kościoła.

Powtórzę, co już raz napisałem w liście do GW, bo ów list nie został opublikowany, że podzielam zdanie ks. S. Musiała (GW 22.04.98) i prof. H. Świdy-Zięby (GW 17.08.98). Katolicyzm to przecież permanentne budzenie sumienia i miłości bliźniego, a nie karmienie nienawiści. Kościół jest wspólnotą większą niż naród. Głupim jest naród, który chce coś zbudować na fundamencie miłości własnej, hipokryzji i ludzkiej krzywdy. Przekreślając to, co mogłoby połączyć go z rodziną człowieczą i jego własny los uczynić losem uniwersalnym, przekreśla siebie i własną przyszłość. Prawo jest dzieckiem sprawiedliwości i sumienia. Kto nie widzi, że największe prawo do tego skrawka ziemi w Oświęcimiu mają Żydzi, ten jest moralnym ślepcem. Ks. prof. J. Tischner mówi o strachu i zagubieniu „obrońców” krzyża (GW 17-18.10.98). Mnie uderza ich nienawiść i głupota, której nie tłumaczy już nawet porównanie z tragiczną figurą Judasza.

### Kompetencja sumienia

W 1996 roku ukazała się książka Rafaela Scharfa „Co mnie i Tobie Polsko. Eseje bez uprzedzeń” (Wydawnictwo TAIWPN Universitas i Fundacja Judaica). „*Główna trudność – pisze Scharf – leży w tym, jak przedstawić bezgraniczną groźbę wydarzeń, które nie mają analogii w dziejach, a jednocześnie nie podważyć wiary w sens istnienia, w ludzkie wartości, w sprawiedliwość.*” To książka, która jest przejmującym monologiem polskiego Żyda. Szybko zniknęła z półek księgarskich. Przejmując osobistym tonem. I, co najważniejsze, zwraca się do naszego sumienia. Kto odpowie Scharfowi na tym poziomie kompetencji, która jest jednocześnie kompetencją sumienia i rozumu? Właśnie Scharf upewnił mnie w przekonaniu, że jest tylko jedna odpowiedź – uznanie racji strony żydowskiej. Tylko to może stać się przeciwwagą tego, co Świda-Zięba nazwała hańbą obojętności i, trzeba dodać, hańbą skompromitowanej przez nacjonalizm tożsamości narodowej. Jeśli rzeczywiście „nie ma już różnicy między Żydem a Grekiem”, to Polakiem jest Scharf, a nie ci, którzy przykrywają się emblematami wiary i patriotyzmu, i którzy kaleczą język i ranią uczucia wyższe. Jego polskość ma wymiar uniwersalny. Scharf jest NASZ, jak nasz jest każdy człowiek, który dał świadectwo miłości bliźniego i prawdzie. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Pozostaje pytanie: czy dojrzeliliśmy do zrozumienia świadectwa? Chodzi także o świadectwo Grynberga i wiele innych, podobnej wagi świadectw oraz o ich literackie dopełnienia.

„*Pod jednym względem Niemcy nie mieli szczęścia w wyborze ofiary – pisze Scharf. – «Naród Księgi» umiał się obchodzić z piórem i wierzył w słowo pisane. Potrzeba utrwalenia wydarzeń na piśmie, pozostawienia śladu po sobie, była przemożna. Obawa, że te wydarzenia, których Żydzi byli świadkami i ofiarą, pozostaną nieznanne, albo będą niewiarygodne, była większa aniżeli troska o własne życie. Chaim Kaplan, w pamiętniku pisanym w getcie, który jest jednym z najbardziej przejmujących dokumentów naszych czasów, pisze w przededniu deportacji do Treblinka: «Jeśli ja zginę, co się stanie z moim dziennikiem?»*”

W warszawskim getcie od czerwca 1940 do lipca 1942 ukazało się 56 różnych publikacji – 26 w jidysz, 20 w języku polskim, 10 w hebrajskim. To, co się z tego zachowało, to jest zaledwie szczyt góry lodowej – ale już to czyni okres zagłady Żydów najgruntowniej udokumentowanym okresem w historii. Dlatego sądzę, że poglądy tzw. «rewizjonistów», którzy usiłują zaprzeczać temu, co się stało, są irytujące, ale nie są niebezpieczne i prawdzie nie zagrażają.

Jednym z najbardziej ponurych i serce rozdzierających obrazów, jakie sobie można wyobrazić, był widok getta po «akcji» – puste mieszkania, z których wywleczono lokatorów, pierze fruujące z poduszek i pierzyn rozprutych w poszukiwaniu skarbów, porzucona odzież, zabawki, łachy, zwłoki tych, którzy nie dotrzymali kroku i papiery – pojedyncze kartki albo zeszyty, na klatkach schodowych, na bruku, unoszone wiatrem – pismo, myśli, idee, uczucia stłamszone w pół słowa...

### Żal

Kiedy po raz pierwszy rozeszły się drogi katolicyzmu ludowego i posoborowego? Czy nie już w 1965 roku? Orędzie Biskupów Polskich do niemieckich braci w Chrystusie pozostaje niezrozumiane przez część wiernych. Dowodzą tego właśnie przejawy antysemityzmu i krytyki Kościoła. Jego chwalebne, historyczne przesłanie miłości nie dotarło wszędzie. Wiem, że „ludowy” nie zawsze oznacza „ciemny”, że to bardziej problem braku dojrzałości w ogóle. Cóż, może w polskim Kościele pozostawiamy za mało miejsca na ukazywanie związku wiary i etyki, a za dużo na pielęgnowanie związku wiary i dobrego samopoczucia?

„Nie mogę – pisze Scharf – na przykład zrozumieć osobliwego, chyba specyficznego polskiego fenomenu antysemityzmu bez Żydów. Większość Polaków przecież – chyba, że im się dwoi w oczach – prawdziwego Żyda już dawno nie widziała. Już ich on nie drażni kędzierzawą brodą i pejsami, jarmułką i chałatem, charkotliwą mową. Już nie konkuruje na straganie czy w sklepiku za rogiem,

gdzie szwarc, mydło i powidło jest o grosik tańsze. Już nie ssie krwi robotnika jako fabrykant, kamienicznik i lichwiarz, już nie knuje przeciw władzy jako komunista, już nie bierze krwi dzieci na macę. Już się nie domaga zwrotu mienia, już się nie pcha, gdzie go nie szukają, już się nie płaszczy, już się nie wywyższa – JUŻ GO NIE MA. A jednak... pokutuje tu jakieś widmo.”

Drugą stroną tego zjawiska jest katolicyzm bez Boga. Czy Bóg może przegrać z Radiem Maryja i pogańskim kultem narodu? „Oświęcimskie żwirowisko to wielce wymowny «dar», jaki Jan Paweł II otrzymuje od swoich rodaków na dwudziestolecie pontyfikatu” – pisze Tischner. Mnie niepokoi obojętność katolickiego społeczeństwa wobec sprawy krzyży, której następstwem jest bezradność władz kościelnych i państwowych. Dlaczego katolicyzm, w którym jest tak głęboka świadomość dobra, pozwala się zawłaszczyć nienawiści i hipokryzji, frustracjom i właśnie nacjonalizmowi? Czy nie przekonało nas doświadczenie faszyzmu i komunizmu, że bytowi narodowemu najbardziej zagraża nacjonalizm? Dlaczego nie chcemy wysłuchać tego, co mają nam do powiedzenia nasi „starsi bracia w wierze” – Żydzi?

„Społeczeństwo, naród, by przetrwać – pisze Scharf – musi bezustannie, intymnie obcować ze swą przeszłością – tylko tak naród żydowski przetrwał Rozproszenie. Gdy Polak zechce się w swą przeszłość wsłuchać i, niejako, się z niej «rozliczyć» uderzy go ta wyrwa w krajobrazie, ta ogromna, nieodwołalna nieobecność Żydów. Sposób, w jaki on tę część swej historii rozumie, napisze, przekaze – to określi oblicze przyszłego pokolenia i zaważy na jego losie bardziej może, niż wszystkie rozrachunki z bankierami i Międzynarodowym Funduszem Walutowym”.

„W świadomości Żydów, którzy rozproszyli się z Polski po świecie, wryło się głębokie poczucie krzywdy za tę przeszłość – przedwojenną, okupacyjną, powojenną. Niech Polak, który się skarży, że Żydzi psują Polsce reputację w świecie, zada sobie pytanie, czy taka przeszłość, ta bliższa i ta dalsza, była szkołą ambasadorów dobrej woli.

I w końcu ten uraz zawiedzionej miłości. Wielu Żydów w tej generacji na odchodnym, nie może wymazać z serca tego Kraju, gdzie się «urodzili, wzrosli, wychowali,

nauczyli», gdzie się – jak Tuwim – «po polsku spowiadali z niepokoju pierwszej miłości i po polsku bełkotali o jej szczęściu i burzach»; gdzie kochali ten krajobraz, mowę, poezję; gdzie gotowi byli się za Polskę wykrwawić i być jej nieodrodnymi synami. Że to wszystko było nie dosyć – tego im żal.

W różnych zakątkach są jeszcze ci, którzy, jak mówi Jerzy Ficowski, «...szli do Jeruzalaim ... i tam przemycili / garstkę wierzbowych gruszek / i na pamiątkę / ze śledzia / do dziś kłującą ość...». I jak ten Stonimskiego stary Żyd koło jafskiej bramy pytają «czy Ogród Saski jest jeszcze? Ciągle taki samy?»

Rozeszły się bezpowrotnie drogi «dwu najsmutniejszych narodów na ziemi». Nie wiem, czy Polacy świadomi są tego, że z Żydami została także zgładzona autentyczna część ich Polski. Ciśnie się na usta pytanie: czy lepsza, bogatsza w dobra duchowe i materialne, będzie kiedyś ta Polska bez Żydów?»

Ktoś może powiedzieć, że to nazbyt patetyczne słowa. Lecz skąd ten patos, jeśli nie z bólu zawiedzionej miłości i prawdy o faktach, które potwierdza także statystyka? Bezlitosna liczba. Obnaża fałsz narodowych mitów i megalomanii. Scharf przytacza ocenę Teresy Prekerowej. Z dostępnych jej źródeł wynika, że „około 1-2,5% ludności brało aktywny udział w akcji pomocy Żydom (w tym znaczny ułamek za pieniądze, ale to drobiazg). Można się spierać o statystykę, tu i ówdzie ułamek procentu zaokrąglić. Sedno jest w tym, że bez statystyk, bez dokumentacji (nie pomniejszam doniosłości tych prac – zaznacza Scharf – wręcz przeciwnie, wysoko je cenię) **Żydzi po prostu wiedzą, jak to było.** Polacy na ogół tego nie wiedzą, nie mogą wiedzieć, a także chyba nie chcą wiedzieć. O to, **jak** było, Żydzi mają żal, który czasem wyrażają, nawet hałaśliwie – to ich prawo, już jedyne. Mają żal, ale trudno twierdzić, że było to dla nich niespodzianką, i to samo w sobie ma swoją głęboką, tragiczną wymowę. Żal – nie tylko zresztą do Polaków; do świata, w którym taka rzecz była możliwa i tolerowana; w ostatecznej instancji – żal do Pana Boga (ale to nie mój temat).”

Zaklinam cię na trzewia Chrystusa...

„Rodzina mojego Ojca – pisze Scharf – wywodzi się z niewinnego miasteczka, które się zwało Oświęcim, którego imię zgwałcono i które zdobyło pośmiertną sławę jako Auschwitz – ten najbardziej złowrogi dźwięk w ludzkiej mowie. Mój Ojciec był jednym z piętnaściorga dzieci, więc można przyjąć, że w Oświęcimiu żyły, dosłownie, dziesiątki Scharfów, najrozmaitszego autoramentu, od patriarchy rodu, 90-letniego Eliasza, do 4-letniej Racheli. Nikt z nich nie ocalał. Nie było im daleko iść.”

Historia rodziny jest odzwierciedleniem historii narodu, który skazano na śmierć. Książka Scharfa wyrasta z bólu, który sprawia poczucie skali strat. „Jedna trzecia narodu żydowskiego została zgładzona, wytruta, obrócona w popiół. Ilu w tych popiołach było przyszłych Einsteinów i Freudów, Henryków Heine, Mendelsshonów, Gotliebów i Chagallów, Leśmianów, Stonimskich, Tuwimów, Korczaków – ludzi obciążonych tym dziedzictwem, z którego się rodzi geniusz.” Przypomina o wielkości żydowskiej kultury i o tym wszystkim, co jest dla niej charakterystyczne, o przywiązaniu do tradycji, o miłości życia i idealizmie, który łączy się z poczuciem sprawiedliwości i mistycyzmem. Jest też dokumentem – epitafium dla znanych i nieznanych ludzi. Dzięki niej poznajemy losy ludzi i losy rzeczy, jak na przykład niezwykłą historię manuskryptu Bencjona Rappaporta, dowiadujemy się o dziwnej sprawie relacji Jana Karskiego o sytuacji Żydów w okupowanej Polsce. Ale nade wszystko książka Scharfa jest wyrazem dążenia, aby wyjaśnić Polakom najważniejszą dla Żydów kwestię formy pamięci o zagładzie.

„Dla Żydów Oświęcim jest symbolem Holocaustu. Żydzi są zdziwieni i oburzeni, jeśli ktoś pojmuje ten symbol inaczej. Ale Polacy widzą w tym symbol niemieckiego gwałtu dokonanego na ich kraju i prześladowań polskiego narodu – mają dobre powody, by tak na to patrzeć.

Podobnie dla chrześcijan: krzyż jest znakiem miłości i nadziei. Trudno im pojąć, że dla większości Żydów krzyż jest symbolem uciemnienia, prześladowań, triumfalizmu Kościoła, nawracania «błądzących braci». Jak ich przekonać,

że krzyż w miejscu, które uchodzi za największy żydowski cmentarz w historii, obraża najgłębsze żydowskie uczucia?”

Mimo wszystko Scharf opowiada się za dialogiem:

„Trzeba przyjąć, że między Polakami a Żydami jest jakieś wiekowe, fundamentalne nieporozumienie. Nie wiem, jak temu zaradzić inaczej, jeśli właśnie nie poprzez otwartą i szczerą ze sobą rozmowę. I myślę, że w tej wymianie postaw winniśmy pamiętać słynną przestrożę Oliviera Cromwella: *I beseech you on the bowels of Christ, think it possible you may be mistaken* (Zaklinam cię na trzewia Chrystusa, przyjm tę możliwość, że jesteś w błędzie).

Mogę tylko mówić o tym, jak tę sprawę widzą Żydzi (niektórzy Żydzi) – i jestem zawsze gotów wysłuchać z uwagą, jak to widzą Polacy (niektórzy Polacy). Mówię w obu wypadkach o ludziach świątliwych, życzliwych, świadomych swych ułomności. W tej wymianie myśli (celowo unikam słów takich jak spór czy dysputa, ażeby zneutralizować akcenty konfrontacyjne – mówię raczej o wspólnym wysiłku dociekania prawdy), zgodzimy się, jestem pewny, że Żydzi są tą stroną pokrzywdzoną. Spotykam się czasami z argumentem, że tzw. «antypolonizm» jest nieprzyjemnym zjawiskiem, godnym potępienia, ale nie ma tego elementu demonizacji, utożsamiania przeciwnika ze wszelkim złem, które jest u podstaw antysemityzmu. Analizowałem to zjawisko na jednej z konferencji. Zapytywałem, czemu je przypisać, zapytywałem, czy tacy ci Żydzi z natury są perwersyjni i złośliwi, że skalują tę Polskę dla czystej frajdy, zmyślają zarzuty, robią z igły widły, odpłacają czarną niewdzięcznością za doznane dobrodziejstwa. Czy też nie jest bardziej prawdopodobne, że ich stanowisko i wypowiedzi są po prostu wyrazem poczucia doznanej krzywdy.

W tym jest sedno sprawy – dopóki tego nie zrozumiemy, nie wyjaśnimy i w jakiś sposób nie załagodzimy, rana będzie jątrzyć i wysiłek zdążający do zbliżenia pójdzie na marne”.

Chcę mówić z Polakami

„U podstaw leży odwieczny – pisze Scharf – pogardliwy i triumfalistyczny stosunek Kościoła do religii żydow-

skiej, do judaizmu, z którego się Kościół wywodzi. Powiedział ktoś, że antysemityzm to jest chrześcijańska choroba, na którą Żydzi umierają. Kościół w Polsce był w tej dziedzinie wysoko wyspecjalizowany, in capite et in membris, od kazań proboszcza w wiejskim kościele do listów pasterskich najwyższych dostojników. Nauka ta, przez całe pokolenia, wryła głębokie piętno na świadomości narodu, określała jego stosunek do Żydów. Jaki on był wiemy, posiew nienawiści nie wschodził zniwem miłosierdzia. Nie wiem, czy po dziś dzień kler w Polsce rozumiał i przyswoił sobie encyklikę *Nostra Aetate* i posoborowe interpretacje i poprawki. Nie jestem pewny, czy się tu coś radykalnie zmieniło – na szczęście nie ma to dla Żydów praktycznie większego znaczenia. Wydaje mi się, że ma to ogromne znaczenie dla Kościoła – ale to już nie moja sprawa i nie mnie się na ten temat wypowiadać.

Na liście roszczeń największy żal i rozgoryczenie budzi rozpamiętywanie okresu zagłady. W żydowskiej percepcji powszechnie dominuje pogląd – celowo formułuję to najłagodniej jak umiem – że poza nielicznymi wyjątkami, zachowanie się Polaków wobec swych współobywateli i bliźnich w tych niewypowiedziane tragicznych czasach było niemoralne. Trzeba przyznać, że Polacy byli wystawieni na iście szatańską próbę, na podejmowanie decyzji, jakich w normalnym życiu człowiek nie spotyka – ale z tej próby nie wyszli obronną ręką. Można się tylko zastanawiać, czy ktokolwiek inny wyszedłby z takiej próby chwalebniej – ale dla Żydów mała w tym pociecha.

Często w takich chwilach podnoszą się wśród Polaków głosy: «Im, Żydom, wydaje się, że tylko oni cierpieli!» Prawdą jest, że cierpienie własne nie wyczuła, jakbyśmy to chcieli, na cierpienie bliźniego, nie przerabia zwyczajnych zjadaczy chleba w aniołów; niestety, wręcz przeciwnie – zasklepia, zaślepia, dzieli. Nikt nie przeczy, że Polacy byli również zagrożeni, prześladowani, że przechodzili własną gehennę. Ale te sytuacje były niewspółmierne i nieporównywalne. Tylko Żydzi byli całkowicie skazani na zagładę, mężczyźni i kobiety, dzieci i starcy, bez wyjątku i bez apelacji, wyłącznie za to, że byli Żydami; tylko Żydzi (i Cyganie) ginęli w komorach gazowych milionami, a także

*setkami tysięcy po obozach i gettach, jak w Wilnie, Warszawie i Łodzi, i pod kulami Einsatzkommandos, jak w Babim Jarze.”*

|| Książki Scharfa nie można streścić. Można jedynie, co uczyniłem, przytoczyć wybrane fragmenty, które oddają temperaturę całości i kierunek myśli. To, jak już powiedziałem, kierunek na dialog – rzeczowy i stawiający przed jego uczestnikami określone wymagania. „*Jeśli ma być dialog – pisze Scharf – to trzeba mieć wyraźny obraz rozmówcy. Przyjmuję tu model «elitarny» – chcę zasiąść do stołu z tym, co najlepsze, nie z tym, co najgorsze. Nie z tymi, którzy Żydów nienawidzili przed wojną, wydawali Niemcom w czasie wojny albo wypędzili z Polski po wojnie. [...] Rozumiem, że Polak nie może prowadzić dialogu z ludźmi, którzy twierdzą, że każdy Polak to antysemita, którzy nic w Polsce poza antysemityzmem nie widzieli i nie widzą, że obozy zagłady były w Polsce, bo Niemcy mogli byli liczyć na obojętność Polaków, i że to wyczerpuje temat.*

|| *Chcę mówić z Polakami o Polsce, która zrodziła Kochanowskiego, Mickiewicza i Norwida, Konopnicką, Prusa, Orzeszkową, Gomułickiego, Dąbrowską, Natkowską, a także Turowicza, Błońskiego, Bartoszewskiego, Kołakowskiego, Szczypiorskiego, Annę Kamieńską, Wisławę Szymborską, Miłosza, Ficowskiego; o Polsce, gdzie kwitła – i gdzie zginęła – jedyna w swoim rodzaju i niepowtarzalna cywilizacja żydowska.”*

Siedzę na skraju osiedlowej piaskownicy, w której bawią się dzieci. W tej piaskownicy nie ma ludzkich kości. Dzieci są jeszcze małe. Nie bawią się w wojnę. Jeszcze nie znajdują przyjemności w destrukcji. Coś budują z zapalem. Czy przyszłość? Jaka?

Janusz MARCINIAK

Janusz Marciniak – pedagog, malarz i krytyk sztuki. Dr hab. Pracuje w ASP w Poznaniu. Jest autorem esejów poświęconych twórczości Józefa Czapskiego, wystawy „Dzienniki Józefa Czapskiego” (Muzeum Narodowe w Poznaniu, 1991) i albumu „Józef Czapski – podziemna korona” (Wyd. Obserwator, 1993). Wydał dwie książki: „Paradoks artystów” (Wyd. Dialog, 1994) i „Awangarda i wątroba. Eseje nie tylko o sztuce” (Wyd. Obserwator, 1998). Należy do Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki (AICA). Od 1996 roku współpracuje społecznie z Niemieckim Stowarzyszeniem Korczakowskim.

## O.K. Dobrzyń

Po blisko trzech dekadach nieobecności ojczyzna powitała mnie łomotem stempli. Bywałem w kraju jako turysta, tym razem wracałem już na dobre. Dla wracającego państwo to pan Olek – anonimowy pracownik lokalnego urzędu celnego. Za pierwszym razem cłę samochód, za drugim przywieziony osobno ciężki bagaż. W obydwu przypadkach odprawa celna to całodzienne zajęcie. Przez cały czas nieuchronne odczucie, że mitręga jest formą nakłaniania do łapówki. To odczucie przynajmniej w części jest fałszywe. Cały system celny cechuje nieprawdopodobna ślamazarność, przy celniku polski rolnik jest nowoczesny i wydajny. Zarówno pracujący dla Hartwiga kierowca jak i przypadkowo poznany przedsiębiorca, który kilka dni w miesiącu spędza na wyczekiwaniu w poczekalni oddziału celnego, potwierdzają jednak moje odczucie, że za tą koszmarną ślamazarnością czai się również nieustanne oczekiwanie na łapówki. Wszyscy o tym mówią, otwarcie pisze się o tym w prasie. Mimo wszystko nie bardzo chcę w to wierzyć. Pan Olek (imię podsłuchane, bo na końcowym dokumencie nie ma nie tylko nazwiska odpowiedzialnego urzędnika, ale ani na formularzu, ani na żadnej z pięciu pieczęci nie ma nawet adresu czy numeru telefonu placówki odprawiającej cło) patrzy na moją listę mienia i stwierdza: trzy radia tranzystorowe – to nie przejdzie. Wyjaśniam, że dwa z tych aparatów to kupiona za grosze tandeta. Nie ma znaczenia, stwierdza pan Olek, dając do zrozumienia, że to wszystko źle wygląda. Dwa magnetofony – mówi. I znów wyjaśniam, że jeden z tych magnetofonów służy do nagrywania wywiadów, a drugi to dyktafon. Do celów

zawodowych – ucieszył się pan Olek – przedmioty służące do wykonywania zawodu podlegają oczeniu. Pan napisze nową listę mienia przesiedleńczego z podaniem, które przedmioty służą do wykonywania czynności zawodowych.

Wcześniej, jeszcze w konsulacie RP w Londynie, otrzymałem pisemną informację oraz kopię ustawy o przywozie mienia przesiedleńczego. Mimo uważnego przestudiowania obu tych dokumentów rewelacje pana Olka były dla mnie nowością, potwierdził je jednak naczelnik oddziału. W tej sytuacji przystąpiłem do spisywania nowej listy mienia przesiedleńczego stwierdzając, że do wykonywania zawodu służą mi stoły, krzesła, fotele, książki, wszystkie aparaty radiowe, dwa komputery, telewizor i magnetofony. Najwyraźniej zła małem konwencję, bo pan naczelnik poprosił mnie na rozmowę i zapytał czy mogę wycofać tę listę. Mówił długo o trudnej służbie celnej i o swojej dumie z faktu, że jest Polakiem. Ostatecznie sześciogodzinna praca kilku osób zakończyła się zapłaceniem cła w wysokości 110 złotych za drugi komputer. Ustawa istotnie stwierdza, że wolno wwozić tylko jeden komputer osobisty i nie zgłaszałem tu żadnych zastrzeżeń mimo, że ten mój drugi komputer to dziesięcioletni staruszek nie mający już żadnej wartości rynkowej. Ta ciężka praca wielu osób sprowadzała się wyłącznie do przekładania papierków, bo samo sprawdzenie zawartości ciężarówki ograniczyło się do trzydziestu sekund, czyli do zdjęcia pieczęci w obecności celnika.

Kiedy po wielu tygodniach oglądam się wstecz, te dwa dni spędzone w urzędzie celnym były zdecydowanie najbardziej przykrym przeżyciem, ze względu na swoją lepką atmosferę i to właśnie w instytucji w dosłownym sensie reprezentującej państwo. Najbardziej pozytywnym doświadczeniem był mój pierwszy kontakt z bankiem we Włocławku, gdzie poziom kompetencji i sprawności w żaden sposób nie odbiega od zachodnich standardów. Wszystkie formalności w Urzędzie Skarbowym w Lipnie załatwiłem od ręki w ciągu piętnastu minut. Równoległe rozpoczęło się moje spotkanie z heroiczną rzemieślniczą niekompetencją, z ofiarnym i pełnym życzliwości partactwem polegającym na wielotygodniowej niemożności uruchomienia ogrzewania, odwrotnym podłączeniu wanien, na połączeniu komina dymnego z wyciągiem, na

montowaniu nowej instalacji elektrycznej bez uziemienia i pełnym wyśzości wyjaśnianiu, że takie właśnie są polskie normy; na odkryciu, że gipsowe sufity poddasza przybito do spróchniałych i naruszonych przez korniki belek stropowych.

Na moje nieszczęście naprawę sprawnymi rzemieślnikami okazali się tylko kafelkarze kładący wielokrotnie zrywane i ponownie zakładane kafelki. Próbowałem pamiętać, że niekompetencja nie jest wyłącznie rodzimą specjalnością. W tym samym czasie brytyjski urząd podatkowy przysłał mi czterokrotnie tę samą ankietę, z trzymiesięcznym opóźnieniem przesłał mi wyliczenie moich podatków, najpierw znacznie zaniżając należną sumę, a potem prostując swój błąd, równocześnie zwracając się do mojego funduszu emerytalnego o ściąganie pieniędzy, które już zostały zapłacone. Imperialna niekompetencja brytyjskich urzędników skłania do ostrożności przed zaliczaniem doświadczeń z heroiczną niekompetencją dobrzyńskich rzemieślników do narodowych wad Polaków. O siódmej rano, żegnając po całonocnej pracy brygadę ciepłowników, jestem pełen podziwu dla ich poświęcenia oraz pełen smutku, że nieskuteczne. Brygada ciepłowników naprawia błędy popełnione przez brygadę hydraulików i nie mam wątpliwości, że ich cierpkie uwagi pod adresem kolegów są głęboko uzasadnione. Martwi mnie jednak krytyka ich własnej pracy wyrażona przez kolejnego specjalistę z lokalnych wodociągów. Chwilowo moje przygody z ogrzewaniem przerwał Darek, młody chirurg-pediatra, zdradzający głęboko antropomorficzne podejście do techniki. Ostatecznie – tłumaczył mi – ilość możliwych związków przyczynowo-skutkowych w systemie domowego ogrzewania jest dziecinnie mała w porównaniu z tym, co dzieje się w ludzkim organizmie. Wysłuchał uważnie historii choroby, obejrzał schemat i zniknął w kotłowni. Wyszedł i stwierdził, że moi ciepłownicy są w błędzie podejrzewając wadę wymiennika ciepła. Niewydolność krążenia – oświadczył wyjaśniając, że piec ogrzewa zbyt dużo wody, która nie ma ujścia i że należy zmniejszyć ciśnienie gazu. Zmniejszył dopływ gazu ze zbiornika i wbrew instrukcjom panów ciepłowników ponownie włączył automatyczne sterowanie pieca. Diagnoza okazała się słuszna, Darek natychmiast rzucił się na źle osadzone drzwi wejściowe, a ja stanąłem przed



trudnym problemem delikatnego poinformowania przesympatycznego inżyniera ciepłownika, że wzywianie kolejnego fachowca od tego typu pieców nie jest już konieczne, ponieważ istniejącą wadę usunął pediatra.

Koszty siły roboczej są tu bajecznie niskie (dniówka rzemieślnika wynosi 30 złotych) jednak niekompetencja fachowców pociąga za sobą astronomiczne koszty finansowe, naraża na ustawiczne stresy i nastraja katastroficznie, gdyż nigdy nie wiadomo jakie nowe nieszczęścia spowoduje radosna twórczość ludzi twierdzących, że wiedzą co robią.

Dobrzyń nad Wisłą jest miasteczkiem mającym zaledwie dwa i pół tysiąca mieszkańców, mam wrażenie, że połowa z nich była już gośćmi w moim domu. Jest w tym pewna przesada, prawdą jest jednak, że przez nasz dom przewija się tłum rzemieślników, ale zdobywana tą drogą wiedza o moim nowym środowisku wydaje mi się daleko niewystarczająca. Moi nowi znajomi chętnie udzielają wszelkich informacji, ich relacje są jednak nieodmiennie relacjami stron o zimnej wojnie wszystkich ze wszystkimi. Organizowane przez Radio Maryja protesty są tylko ekstremalną formą postaw, które wydają się nagminne. Świat zewnętrzny jest światem ludzi złej woli. W naturalny sposób towarzyszy tym postawom głębokie przekonanie, że uczciwość nie może być receptą na sukces. Poza najbliższym kręgiem działają złe moce, które trzeba oszukać. Stąd też znikoma wiara w możliwości zbiorowego działania i skłonność do często absurdalnego wręcz kręactwa.

Zdaniem znajomego ogrodnika załatwienie kontraktu na łubin wymaga rozmowy z prezesem jednej instytucji, żeby wpłynął na prezesa drugiej instytucji. Na pytanie, czy nie można po prostu zadzwonić i zakontraktować trzy hektary białego łubinu dowiaduję się, że przesiąkniętym Zachodem i że „u nas to tak nie działa”. Moje próby udowodnienia, że jest inaczej znajdują łatwe i dość prawdopodobne wyjaśnienia – no tak, jestem na specjalnych prawach – przybysz z innego świata, a w dodatku dziennikarz.

Świat oglądany z Dobrzynia skłania do refleksji na temat wydajności. W tutejszych sklepach można kupić niemal wszystko, ekspedientka elektroniczną kasę sprawdza pisząc słupki na papierze w kratkę, w gminie na każdym biurku jest komputer, równoległe prowadzi się ręcznie ewidencję i mozo-

nie wypisuje kwitki opatrzone niezliczoną ilością pieczęci. Płace urzędników gminy są żałośnie niskie, ale pogoń za nowoczesnością znajduje swój wyraz raczej w nakładach na sprzęt niż na edukację pracowników. Urzeka życzliwość i chęć pomocy, przeraża inercja. W kiosku na rynku sprzedaje się przeciętnie piętnaście egzemplarzy *Gazety Kujawskiej* i dwa egzemplarze *Gazety Wyborczej*, nieco lepiej idą kolorowe magazyny. W piątki, kiedy jest program telewizyjny, sprzedaż *Gazety Kujawskiej* osiąga nawet sto pięćdziesiąt egzemplarzy. Nie jest to jedyny punkt sprzedaży prasy, ale z pewnością najbardziej popularny. Większość moich rozmówców potwierdza, że czytelnictwo prasy dramatycznie spadło. Wyjaśnienia, że ludzi nie stać na gazetę wydają mi się mało przekonujące.

Szukając innego obrazu tego miasta idę do Stowarzyszenia Gmin Ziemi Dobrzyńskiej. Stowarzyszenie próbuje być pośrednikiem między ludźmi, którzy mają inicjatywę. Tu można uzyskać pomoc, kiedy chce się wydrukować jakiś biuletyn, przez stowarzyszenie najłatwiej doprowadzić do zorganizowania wystawy rolniczej, czy seminarium na temat lokalnej historii. Prezes stowarzyszenia wręcza mi stertę wydawnictw na temat historii Ziemi Dobrzyńskiej. W tych zeszytach znajduję sporo ciekawych prac, ale wszystkie koncentrują się na okresie kiedy Dobrzyń był miastem pogranicza. Ustawicznie przechodził z rąk do rąk, aż wreszcie zdobyty i spalony przez Krzyżaków w 1409 roku utracił swoje znaczenie militarne. Późniejsza historia Dobrzynia jako lokalnego centrum handlowego nie porusza niczyjej wyobraźni. Mieszkający w Dobrzyniu specjalista od komputerów opowiada mi o swoich trudnościach zdobycia informacji na temat mieszkającej tu przed wojną społeczności żydowskiej. Jest jednym z nielicznych posiadaczy internetu i odnalazł go tu mieszkający w Stanach Zjednoczonych potomek rodziny żydowskiej z Dobrzynia. Cezary zdobył już zdjęcia zburzonej przez Niemców synagogi i próbuje przez starszych mieszkańców miasta dotrzeć do informacji, o które pytał internetowy znajomy z USA. On sam kończy właśnie dwuletnie, pomaturalne studium dla techników komputerowych i rozgląda się za możliwie najlepszą pracą. Cezary nie ma żadnych obaw, że zostanie na lodzie, na kilka miesięcy przed

uzyskaniem dyplomu zaczyna poszukiwania pracy interesującej. W samym Dobrzyniu ponad połowa jego kolegów ze szkoły jest już od kilku lat na zasiłkach dla bezrobotnych. Jak twierdzi, większość z nich nie ma żadnej ochoty na pracę i całkowicie akceptuje swój los. Po raz kolejny w tych rozmowach wraca problem poczucia beznadziei, alkoholu i minimalnej różnicy między wynagrodzeniem za pracę, a dochodami z zasiłków i prac dorywczych. Zasiłek oraz zarobki z prac dorywczych mogą dać nawet więcej, a młodzi nie myślą ani o emeryturze, ani o tym, że wydłużający się okres bezrobocia coraz bardziej zmniejsza ich szansę na zdobycie pracy. Ten margines beznadziei wynosi nieco ponad 20 procent. Reszta ma jakieś zajęcia. Tu jednak zaczyna się prawdziwy problem. Jaka część pracujących funkcjonuje wedle starych zasad, a kto zdołał się przestawić i dostosować do nowej rzeczywistości? Zmienną, której działanie widać najwyraźniej jest wiek. Wielu młodych myśli już w kategoriach rynku i tę zmianę widać już zarówno w handlu jak i w rolnictwie. Znacznie gorzej jest z reformowanym sektorem publicznym. Pracownicy tego sektora najwyraźniej nie bardzo wiedzą do czego mają się dostosować, co właściwie ma oznaczać sektor publiczny w gospodarce rynkowej? Pozostają pracownikami najemnymi opłacanymi przez państwo lub samorząd i w pełni zdają sobie sprawę z tego, że szanse poprawy płac i warunków pracy znajdują się poza nimi. Czy reformy i stopniowe przechodzenie w gestię samorządów są dla nich nadzieją? Dobrzyń nad Wisłą to Polska pod mikroskopem. W kraju, w którym nowych wojewodów wyznacza się na godzinę przed wejściem w życie nowego podziału terytorialnego, gdzie pracownicy dotychczasowych urzędów wojewódzkich poszli czwartego stycznia do pracy nie wiedząc czy nadal pracują, jakie mają obowiązki i komu podlegają, gdzie lekarz ośrodka zdrowia, na wszystkie pytania o nową organizację służby zdrowia odpowiada: nie wiem, bardzo trudno jest mieć nadzieję, że reformy przyniosą poprawę. W terenie pracownicy służb publicznych na reformy patrzą tak, jak ja na pracę moich rzemieślników – z głębokim przekonaniem, że mają do czynienia z kolejną fuszerką, która zamiast poprawy przyniesie więcej zamieszania i kłopotów. Jest to oczywiście samospełniające się proroctwo, ale proroctwo

oparte na długim doświadczeniu. Nadzieją jest samorząd, ale w samorząd mało kto wierzy, szczególnie, że finansowa niezależność władz samorządowych sprowadzona została do minimum, a coraz większa część społeczeństwa ma głębokie przekonanie, że to budowanie Polski samorządowej w niemałym stopniu sprowadza się do partyjnej walki o władzę.

Przyglądam się wysiłkom lokalnych rzemieślników. Minione dziesięciolecie przyniosło radykalne zmiany, kapitalizm dotarł do Dobrzynia, a jego najbardziej groteskowym wyrazem jest reklama w rynku informująca o „całodobowej sprzedaży trumien”. W lokalu, w którym niegdyś była księgarnia jest zakład pogrzebowy, jedyna restauracja zbankrutowała, ale pojawiły się nowe sklepy i nowe towary. Na rynku kupuję mechaniczną piłę, która przypomina mi mój pierwszy kontakt z Zachodem we wrześniu 1971 roku. W szwedzkiej Alveście, mieście niewiele większym od Dobrzynia, wyszliśmy ze znajomym na spacer z obozu dla uchodźców. Mój towarzysz, który podczas wojny stracił nogę przy wyrębie lasów na Syberii, zatrzymał się przy sklepie z narzędziami, jego uwagę zwróciła mechaniczna piła. „Z taką piłą – powiedział pan Jakub – jeden człowiek mógłby wyrobić normę całego obozu.” Do Dobrzynia dotarły już narzędzia pozwalające na radykalny wzrost wydajności pracy, brakuje umiejętności i bodaj w jeszcze większym stopniu brakuje rzetelności. Niedotrzymany termin, niedotrzymana umowa, brak reakcji na list czy telefon, to jest właściwie norma i nikt się z tego nawet nie tłumaczy. Klient już jest ważny, ale tylko w pierwszej fazie, kiedy jest nadzieja, że coś kupi. Byle jak wykonana usługa, wciśnięty marny towar, arogancka irytacja kiedy zgłasza się jakiegokolwiek zastrzeżenia. W lokalnym sklepie mogę już kupić hiszpańskie oliwki czy francuskie wino, ale nadal nie mogę uporać się z naprawą hydrofora. Ten powszechny brak rzetelności jest źródłem tysięcy zupełnie niepotrzebnych kłopotów i coraz częściej mam wrażenie, że jest on również najpoważniejszą przyczyną pseudopolitycznych swarów. Polityka w tak zwanym terenie ma wymiar osobistych, często zadawnionych animozji. Nie są to spory o priorytety, o metody realizacji celów, o sposoby wydawania publicznych pieniędzy. Nawet kiedy pojawia się jakaś wizja, to ma ona ograniczone szanse dotarcia do świadomości

elektoratu. Niedawny kandydat na burmistrza ma własny pomysł na ożywienie życia w tym miasteczku. Jego marzeniem jest port, który przynajmniej latem ściągnąłby tu turystów. Przez Dobrzyń nie przechodzi żadna poważna arteria komunikacyjna, ruch samochodowy na trasie Płock-Włocławek jest ograniczony, ale włocławski zalew z roku na rok staje się coraz bardziej atrakcyjny dla żeglarzy. Budowa porządnej przystani to ogromne pieniądze, od czegoś trzeba jednak zacząć. Tym początkiem jest prowadzony przez Ryszarda Przybytkę żeglarski klub. Czy ten klub będzie przy-  
czułkiem dla rozwoju turystycznego przemysłu? Chwilowo jest atrakcją dla sporej grupki młodych ludzi.

Przemysł turystyczny może tu z czasem dostarczyć pewnej ilości nowych miejsc pracy, ale również w przyszłości Dobrzyń będzie przede wszystkim ośrodkiem dostarczającym usług dla rolnictwa. Doświadczenie krajów zachodnich uczy, że na tym polu musi być współdziałanie rynku, samorządu i państwa, chwilowo, po długiej samowoli państwa, dominuje rynek, zaś państwo i samorząd poszukują dopiero swojej roli. Rynek z natury rzeczy orientuje się na tego klienta, który już ma pieniądze, państwowa i samorządowa interwencja potrzebna jest tam, gdzie trzeba przełamać inercję. Gminne ośrodki opieki społecznej ograniczają się do dzielenia skąpych środków, urzędy pośrednictwa pracy zajmują się przybijaniem pieczętek. Tu, na samym dole, nie widać żadnych prób zwalczania plagi bezrobocia, ani też przeciwdziałania temu, aby kolejne roczniki młodych ludzi nie rozpoczynały dorosłego życia od potwornie demoralizującej kuroniówki.

Tymczasem miasto wyrzuca na wieś swoich ludzi zbędnych. Na trasie Dobrzyń – Lipno zatrzymuje mnie młoda kobieta, jest matką dwojga dzieci, jedzie po zapomogę do ośrodka opieki społecznej, jeden autobus wypadł z kursu, od godziny stała przy drodze na mrozie. Oboje z mężem są bez pracy, przenieśli się tu ze Śląska, gdzie mąż stracił pracę w kopalni, mała dziewczynka dostarcza im ziemniaków, latem jest trochę prac dorywczych u okolicznych rolników, mąż dawno stracił prawo do zasiłku, zimą żyją za 100 złotych na miesiąc. Kiedy stwierdzam, że jest to absolutnie niemożliwe, kobieta patrzy na mnie z dumą i mówi: dzieci nie chodzą nigdy głodne. Po powrocie oglądam w telewizji długie i nud-

ne sprawozdanie z sejmowych dyskusji na temat lustracji. Kolejna mydlana opera z ulicy Wiejskiej.

Jakość polityki na Wiejskiej zmienia się, kiedy zmienia się jakość polityki w gminie. Stołeczne centrale polityczne wiszą w kawiarnianej próżni, zaś szary obywatel ciągle oczekuje od władz centralnych cudu. W lipnowskim starostwie kładą już w gabinetach dywany i niebawem na drzwiach pojawią się tabliczki powiatowych dygnitarzy, słowo samorząd jest tu jednak ciągle pojęciem na wyrost, jak granice tutejszych miasteczek, zaczynające się na długo przed zabudową. Stowarzyszenie Gmin Ziemi Dobrzyńskiej wydaje mi się bardziej autentyczną instytucją samorządową niż nowe władze powiatowe. Można tam spotkać ludzi, którym o coś chodzi. Mogę być w błędzie, gdyż jak na razie urządzenie domu i próba uruchomienia gospodarstwa pochłania mi tyle czasu, że mam ograniczone możliwości poznawania otaczającego mnie świata. Jednak nawet te skromne kontakty pozwalają już powiedzieć: O.K. Dobrzyń. Roboty jest tu dość, a odległość od Warszawy jest wystarczająca, żeby patrzeć na dzienniki telewizyjne z właściwym dystansem.

*Andrzej KORASZEWSKI*

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

**KSIĘGARNIA POLSKA**

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

## Archiwum polityczne

### Wschodząca gwiazda: Otto Schily

Na Otto Schily'ego niemieckie mass media zwróciły pierwszy raz uwagę w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy jako obrońca występował w procesach terrorystów. Dwadzieścia lat temu Schily zakładał razem z innymi entuzjastami partię zielonych (Die Grünen). Razem z dzisiejszym ministrem spraw zagranicznych Niemiec, Joschką Fischerem, w 1983 roku był członkiem pierwszego klubu parlamentarnego Zielonych w Bundestagu. W partii ekologów i pacyfistów Schily należał do skrzydła realistycznych polityków, którzy krytycznie odnosili się do Zielonych fundamentalistów. Także ze strony estetycznej Schily zwracał jako poseł uwagę dziennikarzy, na długo przed metamorfozą Joschki Fischera, niegdysiejszego parlamentarzysty w trampkach, a dzisiejszego szefa dyplomacji RFN w garniturach Armaniego. Schily jako jedyny przedstawiciel ekologów ubierał się konserwatywnie, jako jedyny poseł Zielonych nosił garnitur i krawat. Swoją postawą estetyczną starał się zachować swoją indywidualność, tak jakby przewidywał swoje przyszłe rozejście z ruchem Zielonych. W listopadzie 1989 roku Schily wystąpił z partii, oddając swój mandat poselski. Bawarska SPD zaproponowała Schily'emu kandydaturę z listy socjaldemokracji do Bundestagu zjednoczonych Niemiec. Wyglądało na to, że Schily na wiele lat zniknie jako szeregowy poseł w masie członków parlamentu. Dużą niespodzianką było pojawienie się Schily'ego w ubiegłym roku w gabinecie cieni Gerharda Schrödera podczas kampanii

wyborczej. Po zwycięstwie socjaldemokratów Otto Schily przejął w rządzie Schrödera funkcję federalnego ministra spraw wewnętrznych. Przy stole rządowym trafił na swojego towarzysza z czasów narodzin partii Zielonych, Joschkę Fischera.

Start rządu Schrödera wypadł fatalnie. Kanclerzowi zarzuca się brak konsekwentnej linii w realizacji swoich planów politycznych. Schröder jeszcze nie stracił swojej atrakcyjności dla mass mediów, lecz jako szef rządu na razie okazał się mało skuteczny. Niemiecka opinia publiczna wśród nowych ministrów najlepiej ocenia Fischera i Schily'ego. Nowy minister spraw wewnętrznych zebrał wiele pozytywnych ocen przedstawiając projekt reformy prawa obywatelskiego. Projekt znaczący, ponieważ powstałe w 1913 (!) roku niemieckie prawo obywatelskie, powołujące się na prawo krwi, zastąpi nowoczesna ustawa prawa ziemi, która przyczyni się do integracji drugiej i trzeciej generacji cudzoziemców, urodzonych już w Niemczech, jednak dotychczas nie posiadających prawa obywatelskiego. Najbardziej kontrowersyjnym elementem projektu Schily'ego jest akceptacja podwójnego obywatelstwa, co ma przyspieszyć integrację obcokrajowców.

Plany Schily'ego trafiły na silną krytykę opozycji. Chadecja zorganizowała zbiór podpisów przeciwko podwójnemu obywatelstwu, mobilizując przy tym swoich sympatyków. Kampania szybko przyniosła oczekiwane plony. W Hesji podczas pierwszych wyborów do parlamentu landu, po porażce rządu Kohla chadecja odniosła swój pierwszy spektakularny sukces, posyłając rządzącą socjaldemokrację na ławy opozycji. Kampania CDU budzi wiele kontrowersji. Mimo, że skupiona jest na jednym elemencie projektu Schily'ego, problemie podwójnego obywatelstwa, może ona pogłębić ogólną niechęć Niemców do integracji cudzoziemców. Z perspektywy polsko-niemieckiej kampanię cechuje też pewna nieszczerłość, na co zwrócił uwagę Schily. W przypadku niemieckiej mniejszości w Polsce rząd Kohla oczekiwał od Polski akceptacji podwójnego obywatelstwa a niemieckim przesiedleńcom przyznawano obywatelstwo RFN nie żądając od nich rezygnacji z polskiego paszportu, co powodowało, że większość *Aussiedlerów* jest obywatelami dwóch państw.

Kampania chadecji, jej zwycięstwo w Hesji zmusza socjaldemokratów do kompromisu. Otto Schily prawdopodobnie będzie musiał ograniczyć możliwość posiadania dwóch obywatelstw; prawdopodobnie możliwość ta zaistnieje jedynie w okresie przejściowym, na przykład wśród młodych ludzi, którzy już jako dorośli obywatele staną przed koniecznością ostatecznego wyboru paszportów. Mimo prawdopodobieństwa tego rodzaju rewizji, reforma Schily'ego zmieni oblicze państwa niemieckiego, powiększy grono niemieckich obywateli pochodzenia obcego.

Basil KERSKI

**KSIĄŻKI POLSKIE  
ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE  
DAWNE I NOWE**

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE  
POLECA

**ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI**

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

**SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI**

## Kraj

### Przeciążenie

1.

Henryk Goryszewski, przewodniczący sejmowej komisji finansów, opowiedział mi, że na uroczystej premierze „Ogniem i mieczem” jednym z gości, który zebrał owacyjne oklaski, był Leszek Balcerowicz. Była to Prawdziwie Wielka Premiera, na którą sproszono Prawdziwie Wielki Świat – polityki, mediów i pieniędzy. Pieniądze oklaskiwały Balcerowicza.

Rozmawiam z korespondentem *Financial Times*, Krzysztofem Bobińskim, o możliwych zmianach w polskim rządzie (rekonstrukcja jest zapowiedziana).

– Co z tego w ogóle obchodzi Twoją redakcję?

– Nic.

– A gdyby poleciał Balcerowicz?

– A, to byłaby czołówka na pierwszej stronie – odpowiada rozmarzony Bobiński. Przypomina mi się, jak w 1990 roku, kiedy Krzysztof Bielecki pod nadzorem Wałęsy formował nowy rząd, ambasador USA złożył nagle oficjalną wizytę ustępującemu wicepremierowi Balcerowiczowi. Wałęsa zrozumiał i Balcerowicz pozostał w rządzie.

Wicepremier Balcerowicz jest jedynym polskim politykiem, który dysponuje tak zdeklarowanym i świadomym własnych interesów zapleczem, w kraju i zagranicą. W tym sensie rzeczywiście przypomina panią Thatcher, zwłaszcza że zagraniczne zaplecze polityczne ich obojga jest skoncentrowane w Stanach Zjednoczonych i reprezentowane zarówno przez dyplomację jak też finanse Stanów.

Wizja świata wicepremiera jest klarowna i nieproblemowa. Jedynym problemem bywa ludzka niewiedza, toteż Balcerowicz jest nieustannie pedagogiem. Do polityków, dziennikarzy, telewizorów przemawia jak nauczyciel arytmetyki: przy ostatnich ogniach wywoła zaczyna się uśmiechać z delikatną, dobrotliwą ironią, ufny, że słuchacze pojmują już teraz przemożną oczywistość wniosku i absurdalność postulatów jakoby trzeba było płacić więcej lekarzom, pielęgniarcom, nauczycielom, górnikom, kolejarzom, zbrojeniowcom, włókniarcom, chłopom...

Inaczej wszakże niż Margaret Thatcher – która była zwierzęciem politycznym i doskonale wiedziała, kogo niszczy – Leszek Balcerowicz odzęgnuje się od polityki i ideologii. Z trudem znosi ideowo-polityczne dyskusje nie tylko z koalicjantami, lecz nawet we własnej partii. „Etos solidarnościowy”, „etos inteligencki”, „etos Unii Wolności” – takich terminów unika jak diabeł święconej wody. Dwoistym skutkiem tego ideowego *désinterressement* wicepremiera jest umiejętność doboru sprawnych profesjonalnie młodych kadr w ministerstwie i zarazem bardzo kiepska orientacja w politycznym *who is who*. Toteż wobec polityków trzeźwy Balcerowicz kieruje się doznaniem. Nieraz równie bezzasadną sympatią jak podejrzliwością.

W rezultacie, poza kilkoma postaciami z historycznej Unii (Geremek, Onyszkiewicz) nominaci UW na rozmaitych stanowiskach w rządzie i administracji są to dość bezbarwne i niczym się nie wyróżniające postaci. Leszek Balcerowicz może zapewne liczyć na ich lojalność i (jako taką) sprawność, ale nie na dobrą polityczną radę i wsparcie w istotnych kwestiach strategii rządowej. Kiedy zaś rzecz trafia do parlamentu, gdzie w klubie UW jest przynajmniej kilkunastu deputowanych pierwszej sejmowej klasy – na ogół jest już za późno na dobry wybór: unijni fachowcy w Sejmie mogą co najwyżej ratować filizanki, ale cała zastawa leci na podłogę. W sezonie 1998-1999 Sejm wyprodukował w ten sposób kilka oczywistych kiksów ustawodawczych i Balcerowicz jeździł do prezydenta prosząc o otwarcie o ich zawetowanie.

Najbardziej jednak obciąża teraz Balcerowicza nieumiejętność trzeźwego rachunku możliwości przy planowaniu czterech reform, którymi gabinet Buzka uszczęśliwił Polskę

w 1998/1999: administracji terytorialnej, rent i emerytur, służby zdrowia i oświaty. Zadufanie i bezmyślność z jakimi zaplanowano tę operację, obciążają najpierw premiera, jego kancelarię i ministerstwo administracji i spraw wewnętrznych. Ale to Leszek Balcerowicz był tym który liczy i który powinien był nakazać a nie tylko zalecać (głośny Raport Balcerowicza) ostrożność. Tym bardziej, że już od początku 1998 wiadomo było, że idą gorsze czasy. Jeśli nadto ktoś, tak jak wicepremier, uważa, że trzeba chłodzić gospodarkę, to tym bardziej niezrozumiałe wydaje się, że godzi się ostatecznie finansować wszystkie reformy naraz, których wstępny koszt Henryk Goryszewski obliczył na 8 miliardów złotych. Nasuwa się podejrzenie, że wicepremier po raz drugi w swej karierze (po raz pierwszy w 1991) przecenił wytrzymałość materiału ludzkiego. Nadto wskutek swej politycznej naiwności przecenił również lojalność koalicyjnych partnerów. AWS był najgorętszym rzecznikiem reform, przeforsował kształt kluczowych dla konfliktu społecznego reform zdrowia i oświaty, domagał się pośpiechu – to Wiesław Walendziak lansował jako zasadę, że reformować trzeba od razu w pierwszym roku po wyborach bo potem reformy się rozleżą – ale kiedy coś idzie nie tak, to właśnie AWS i jego ministrowie pierwsi podają tyły. AWS „oddał” opozycji i prezydentowi cztery województwa, chociaż reformę administracyjną przygotowywali jego właśnie ludzie i to takie „asy” jak Tomaszewski, Kulesza i Stępień. AWS najpierw ustąpił Balcerowiczowi w budżecie służby zdrowia (z 11% do 7,5% składki), potem jego minister zdrowia Maksymowicz mrugał do pertraktujących z nim związków, że też uważa 7,5% za składkę zbyt małą i że to się potem poprawi (!). Premier Buzek mówił to samo na spotkaniu z klubem UW... A koncepcja reformy z kasami chorych była dziełem właśnie AWS i wszystkimi kasami zarządzają ludzie AWS. Dopiero zobaczymy, co będzie z oświatą: minister Handke z AWS zapewnia, że w tym roku reforma nie będzie wiele kosztować, tyle w praktyce co 2000 pomarańczowych autobusów na dowozy dzieci do szkół, dopiero w przyszłym roku zaczną się koszty, ale na to będzie pokrycie w budżecie 2000 r. A jeśli nie będzie? Bo Balcerowicz stanowczo odmawia składania przed czasem obietnic z przyszłorocznych budżetów... Kiedy zaś chłopci stanęli na drogach,

a rząd nie chciał rozmawiać przed zdjęciem blokad, wówczas Marian Krzaklewski kazał ministrom pertraktować i z Lepperem, i z diabłem jeśli trzeba – biskup Andrzejewski został przez niego mianowany mediatorem, a Balcerowicz publicznie wraz z Unią Wolności odzęgnął się od takich rozmów.

Wypada bardzo wyraźnie zaznaczyć, że powyższa wylizanka nie przesądza o słuszności takich czy innych zachowań władz wobec konfliktu społecznego, wywołanego przez ich własne działania bądź zaniechania (jak na wsi). Zapewne Marian Krzaklewski, który ma za sobą doświadczenie aparacza związkowego i potem cierpliwego klejenia prawicy z odłamków, wie lepiej niż inni, kiedy trzeba się cofnąć. Rzecz jednak w czym innym. Tym razem nie chodzi o wybór tego czy innego zagrania w rozgrywce politycznej, partyjnej bądź parlamentarnej, lecz o kształt państwa, a zatem o długie perspektywy i z trudem tylko odwracalne wybory. Szanujący się polityk musi wiedzieć, czego chce: mieć zdanie i... zgadzać się z nim. Nie ustępować, w imię ratowania stołka czy nawet gabinetu.

Tymczasem zaś dymisji Balcerowicza domagają się wszyscy manifestanci. Oklaski zbiera w kinie.

2.

Z reformami rzecz się ma następująco.

Z reformy terytorialnej nie ma, jak dotąd, żadnych pożytków. Nie wiadomo, co robią władze powiatów, a w każdym razie, czy robią cokolwiek, czego by nie mogły z powodzeniem zrobić władze w poprzednim systemie. Pod tym względem obywatel nie odczuwa żadnej zmiany, ani na lepsze ani na gorsze. Urzędników jest teraz więcej, ale to właśnie oni, zwalniani, przyjmowani, przenoszeni – żyją w strachu. Urzędnicy cierpią. Kwitną radni i promineneci samorządowi. Koszty osobowe wynoszą wskutek tego ponad 70% powiatowych budżetów. Prasa a za nią rozmaite zgromadzenia domagają się ukrócenia samorządowych swobód: dotychczas to radni uchwalają pensje zarządom i diety sobie. Ponoć będzie wniesiona do Sejmu odpowiednia nowelizacja ustawy. Byłoby więc trochę mniej samorządności i mniej publicznego zgorzienia.

Zaczyna być głośniejsze o reformie emerytalnej, o której dotąd było cicho. Najpierw, zakorkował się ZUS. Następnie niezadługo rozpocznie się masowa aktywizacja klientów dla Powszechnych Funduszy Emerytalnych – II filaru reformy. Pierwsze cztery są już zarejestrowane, w trzech z nich partnerami są wielkie towarzystwa z Zachodu: Commercial Union, American Insurance Group i Nationale Nederlanden. Przy okazji publiczność dowiaduje się, ile będzie płacić za tę przyjemność. Wg Szymona Karpińskiego z *Rzeczypospolitej*, „opłaty nie będą niskie”, od ok. 7% do ponad 15% składki. Wg Michała Rutkowskiego, który jest dyrektorem sektora zabezpieczenia społecznego w Banku Światowym i jednym z twórców naszej reformy, opłaty będą jeszcze wyższe: od 12% do 25% wpłacanych kwot. Pan Rutkowski uprzedza, że „towarzystwa starają się ukryć, ile właściwie wynosi ich prowizja. Wymyślają różne sposoby na jej zaprezentowanie. Normalny człowiek się w tym gubi”.

Na reformę służby zdrowia obywatele zużyli już cały zapas śliny. To właśnie pierwszy miesiąc jej „wdrażania” był głównym powodem gwałtownego spadku poparcia dla rządu Jerzego Buzka. Wg sondażu PBS 73% respondentów uznało, że rząd nie zrobił wszystkiego, co mógł aby zapewnić sukces reformy, a tylko 7% było odmiennego zdania. W rezultacie – tym razem wg OBOP – już po pierwszym tygodniu stycznia 51% respondentów uznało, że reforma się nie powiedzie, a tylko 29% wróżyło odwrotnie (z innymi reformami nie było wprawdzie świetnie, ale przewagę mieli optymiści: 47:33 dla reformy administracyjnej i 46:32 dla reformy rent i emerytur). W sondażu z 23-26 stycznia (OBOP) 58% Polaków źle oceniało rząd Jerzego Buzka, dobrze zaś – 29%. Prof. Kolarska-Bobińska z Instytutu Spraw Publicznych uznała ten wynik za „dramatyczny”<sup>1</sup>. Premier Buzek afiszował optymizm: „reformy wypaliły” – powiedział – „i oby nas szlag nie trafił” – dodał wartownik ze straży marszałkowskiej, z którym w Sejmie oglądałem telewizję.

Po tym, jak już od miesiąca anestezjologowie porzucają pracę, KOROSZ czyli Komitet Obrony Reformy Opieki Zdrowotnej, w skład którego wchodzi wszystkie poza Solidarnością

1. W sondażu Pentora rząd wypadł jeszcze gorzej: 74% minusów.

związki zawodów medycznych, zapowiedział na 19 lutego rozpoczęcie bezterminowego strajku, który polegałby na pracy jak na tzw. ostrym dyżurze, tylko dla nagłych przypadków. Pracownicy służby zdrowia spodziewali się po reformie rzeczywistej poprawy uposażeń. Obiecywał ją AWS, który proponował 11%, obiecywał SLD – 10% składki. Stanęło na 7,5%, czyli wg wyliczeń Ministerstwa Finansów o ok. 5,3% realnie więcej niż w poprzednim budżecie, ale teraz w pieniądzech tych uczestniczą również kasy chorych. Wiadomo, że nastąpią wymuszane przez kasy oszczędności na lekach i zabiegach, komasacje placówek, redukcje personelu, zwłaszcza pielęgniarek i młodszych lekarzy. Zaszkozi to pacjentom, pomoże prywatnym placówkom opieki zdrowotnej, ale w publicznej służbie zdrowia wywołuje sprzeciw i bunt. Rząd musi coś zrobić, ale tymczasem – nie wie za co. A pacjenci chorują i czekają. Jeden dyrektor szpitala już popełnił samobójstwo.

### 3.

W końcu stycznia na drogi wyszli chłopci. O ile reformy rządowi nie bardzo się udały (prawda, jak delikatnie formułując?), o tyle zaskoczenie chłopską akcją i jej ogólnokrajowym zasięgiem świadczyło o zupełnym braku wyobraźni. (Dopiero *post factum* premier Buzek ogłosił, że „pakiet dla wsi” był właściwie przygotowany już w końcu grudnia!)

W lipcu ub.r. odbyła się w Warszawie manifestacja rolników protestujących przeciw pogarszającej się już wtedy sytuacji wsi. Kukła Balcerowicza dostała bity, a wicepremier kozę, żeby ją sobie doił zamiast doić chłopów. Oburzona *Polityka* piórem Joanny Solskiej „dała odpór” w komentarzu pt. „Kto kogo doi”. Chłopci miasta, oczywiście. Przedtem chłopów potraktowano gazem łzawiącym i spałowano. Manifestację przewodził PSL.

W styczniu br. wystąpienie chłopów poprowadziła właśnie „Samoobrona” Leppera, związek kółek rolniczych i Solidarność RI (Rolników Indywidualnych) przyłączyły się z konieczności, chłopci popychali swych przywódców. Andrzeja Leppera opisano od tego czasu obficie. Zacytuję z tekstów Kazimierza Orłosa i Adama Michnika: „człowiek, który z racji popełnionych przestępstw powinien trafić do więzienia”,

„towarzysz kandydat na polskiego Łukaszenkę” (Orłós) – „awanturnik, cham, demagog, watażka”, „rozmówcą dla niego powinien być prokurator” (Michnik).

Niezależnie od epitetów, obaj autorzy (i dziesiątki innych) bronili dwóch zasadniczo wartości. Orłós dopatrywał się za Lepperem ręki Moskwy (ew. Mińska). Michnik bronił demokratycznego państwa prawa. A jeśli demokratyczne państwo prawa doprowadza do rozpacz i wyprowadza na margines społeczny miliony ludzi?

Prezes PSL, Jarosław Kalinowski (w rozmowie z Danutą Zagrodzką):

„Pan twierdzi publicznie, że to Balcerowicz stworzył Leppera.

– Jest jego ojcem chrzestnym, bo powstanie Samoobrony (1992) było protestem ludzi zadłużonych w wyniku pierwszego planu Balcerowicza”.

Znakomitą sylwetkę Leppera przedstawił Jarosław Kurski w *Gazecie Wyborczej* z 6-7 lutego. Ukazał w niej człowieka, w którym jest materiał na Jakuba Szelę – ale zarazem nie jest to całkiem na serio. Andrzej Lepper jest bowiem człowiekiem mediów, najlepiej istnieje w telewizji. Jego retoryka stanowi zdumiewającą mieszaninę wszystkich demagogii, które miały wzięcie w Polsce od bez mała 20 lat. Ich wspólną cechą jest zdolność pobudzania mas i poniżania autorytetów. Lepper jest naprawdę przywódcą marginesów. Fakt, że taki przywódca stawia dziś na nogi chłopów, jest smutnym dowodem socjopsychicznej sytuacji polskiej wsi.

Statystyki dotyczące struktury zawodowej wsi są mało wiarygodne. W „Raporcie o stanie polskiego rolnictwa” przedstawionym w lutym w Brukseli powiada się, że w rolnictwie pracuje 20% ludności zawodowo czynnej, podczas gdy w 1991 było jej 27%. Według ocen ekonomistów, których cytuje Edmund Szot (*Rzeczpospolita* z 4 lutego) rolnictwo jest źródłem utrzymania dla 10-11% ludności kraju, podobnie jak na początku dekady. Poniżej minimum socjalnego żyje na wsi 62% mieszkańców (w dużych miastach 29%), poniżej tzw. relatywnej granicy ubóstwa 23% (odpowiednio 4%), a poniżej minimum egzystencji 9% (1%).

Z około 2 mln gospodarstw wiejskich jest ok. 250-300



tys. tzw. rozwojowych, które przewyciężyły pułapkę kredytową z r. 1990 (pierwsza reforma Balcerowicza spowodowała niebotyczny wzrost oprocentowania uprzednio zaciągniętych pożyczek). „Radzenie sobie” na wsi polega na dwóch różnych strategiach: gospodarstwa rozwojowe zwiększają i doskonalą produkcję<sup>2</sup>, inni stopniowo wycofują się z rynku i „dorabiają” gotówkę w usługach, handlu, rzemiośle, transporcie – jeśli jest praca. Wg cytowanego już Edmunda Szota, 60-70% chłopskich gospodarstw stoi dziś na granicy bankructwa. W roku 1998 rynek wymierzył wsi potężne uderzenie, które oczywiście najbardziej dotknęło właśnie gospodarstwa rozwojowe. Indeks nożyc cen (produktów rolnych, notowanych co miesiąc przez GUS, do środków produkcji) pogorszył się o 18,3% do poziomu z bardzo złego r. 1991. Najpierw, na jesieni 1998, nastąpił kryzys skupu zbóż, w zimie – świń. Dochody gospodarstw rolnych były w 1998 o 35% niższe niż w 1996 i o 20% niż w 1997. Załamał się od połowy 1998 eksport żywności do Rosji. Tymczasem nakłady z budżetu na podtrzymanie rynków rolnych zmniejszone już w budżecie 1998 zostały ponownie i jeszcze ostrzej obcięte w 1999. Warto pamiętać, że triumf w walce z inflacją w r. 1999 – wynik lepszy niż planowany – rząd zawdzięcza wyłącznie relatywnemu a w niektórych grupach bezwzględnemu spadkowi cen rolnych.

Ustępstwa jakie uzyskała wieś dzięki akcji protestacyjnej, nie są małe, aczkolwiek polegają głównie na obietnicach dalszych rozmów nad „Paktem dla rolnictwa”. Doraźnie ustalono cenę skupu żywca wieprzowego (3,20 zł/kg w klasie U i E, chłopi żądali 3,40 zł, rząd płacił 2,80 zł). Od 20 lutego podjęty ma być interwencyjny skup masła i mleka w proszku. O pół roku odracza się spłatę kredytów obrotowych zaciągniętych w 1998, będą przesunięte terminy płatności preferencyjnych kredytów inwestycyjnych, a limit kredytów preferencyjnych na produkcję rolną zostanie zwiększony do ponad 50%.

Obiecano nowy wzmocniony system zabezpieczeń przed importem (cła, kontyngenty, ochrona weterynaryjna i fitosanitarna), a do 30 kwietnia rząd przedstawi projekt ustaw

2. Wg Komisji Europejskiej produkcja z hektara wynosi w Polsce – bez dotacji – 285 ecu, podczas gdy w krajach UE – 281 ecu.

wzmacniających pozycję związków producentów wobec pośredników w handlu żywnością „często kosztem rolnika i konsumenta”. Rząd przedsięwziął zabiegi w Moskwie (via MSZ) o przywrócenie eksportu wieprzowiny do Rosji.

Ostatnie trzy punkty stanowią oczywiście odwrót od oficjalnej polityki „liberałów, którzy dominowali we wszystkich rządach od 1989” (J. Kalinowski, prezes PSL). Leszek Balcerowicz przedstawił obradującym w Warszawie ministrom finansów Węgier, Czech, Słowenii i Estonii, kandydatów wraz z Polską do UE, projekt apelu do Unii, aby „zaprzestała dotowania eksportu żywności. Pozostali ministrowie poparli Balcerowicza. Jak słyhać z Brukseli, Komisja Europejska jest „zaskoczona” tym apelem i nie planuje żadnej dalszej redukcji dopłat do eksportu (w grudniu 1998 UE zmniejszyła o połowę dopłaty do eksportu wieprzowiny na rynki 5 krajów kandydackich). Z ostatniej chwili dowiadujemy się, że dotowanie eksportu do Rosji wzrośnie. Balcerowicz oczywiście wiedział, że apel nie będzie wysłuchany, ale zapewne chciał w ten sposób stworzyć alibi dla polskich odstępstw od liberalizacji handlu. Jest też bardzo możliwe, że apel Balcerowicza i kolegów bardzo się spodobał w Waszyngtonie, który ma kolczaste dossier sporów z Unią Europejską na ten temat. Skąd inąd Amerykanie również zniekształcają rynek żywnościowy swoimi dostawami pomocy rozprawdanej za darmo (Rosja). Polityka i humanitaryzm bywają, okazuje się, ważniejsze od liberalnych zasad wolnego rynku i bardzo dobrze...

Najciekawszy, jeśli oczywiście coś z niego wyjdzie, jest punkt o poskromieniu pośredników. Przez cały czas głębokiego spadku cen rolnych u producenta marże pośredników (hurtu, przetwórstwa i detalu) stale rosły. A jeszcze nie wysechł atrament na dokumencie porozumienia, gdy rozpoczęła się kampania w prasie, że teraz ceny wędlin etc. nieuchronnie wzrosną.

Od lat wiadomo, że jedynym właściwym modelem dla organizacji rynków rolnych w Polsce jest Dania i jej sieć spółdzielcza. Niestety, złe doświadczenia ze spółdzielczością socrealistyczną, niechęć liberalnych polityków do wszelkiej spółdzielczości i podobne, choć inaczej motywowane, oddziaływanie kleru – blokowały, jak dotąd, te możliwości. Czy teraz coś się ruszy?

4.

Rządzenie Polską staje się coraz trudniejszą sztuką, nie tylko z powodu ogólnej dekoniunktury.

Ujawniają się stopniowo gorsze strony faktów i procesów, które dotąd uchodziły za jednoznacznie pozytywne. Na przykład – napływ kapitałów z zagranicy, kapitałów inwestycyjnych. Są bardzo potrzebne, ale... Połowa inwestycji zagranicznych to supermarkety i sieci handlowe – tymczasem liczba punktów sprzedaży, a więc i miejsc pracy w handlu, maleje szybko, sklepów spożywczych np. o 10% w ciągu dwóch lat. Jak się ocenia, wymiana zagraniczna generowana przez zainwestowane w Polsce obce kapitały stanowi o 70% naszego deficytu handlowego (!). Tymczasem w 1998 deficyt ten doszedł do 13,6 miliarda dolarów, a deficyt obrotów bieżących (handel plus przepływy pieniężne, o których informują polskie banki) wyniósł 6,8 mld dol. czyli 4,4% PKB (3% w 1997). Firmowy liberał prof. Waław Wilczyński twierdzi, że jeśli nie powstrzyma się tego trendu grozi nam katastrofa. Co robić? Wszelkimi sposobami hamować import: cłami, gdzie się da bez retorsji, barierami poza celnymi (wygórowane normy jakości itd.) – radzi liberał.

Inną dwuznaczną cechą kapitału inwestycyjnego z zagranicy jest np. to, że zaledwie w 5% kieruje się on ku przemysłom tzw. wysokiego przetwarzania. Wbrew popularnej tezie kapitał ten jest więc w niewielkim stopniu motorem postępu technicznego...

Prof. Jadwiga Staniszkis znana z niekonwencjonalnych choć bardzo pravicowych poglądów wygłosiła niedawno w telewizji TVN w rozmowie z Moniką Olejnik opinię, że jest bardzo rozczarowana AWS-em i aktualnym rządem. Polska popada pod władzę tego, co marksiści nazywali kapitałem kompradorskim: splotem zagranicznych monopolii i podporządkowanych im lokalnych grup o właściwie mafijnym charakterze. Jej swoboda ruchu kurczy się coraz bardziej. Był to pierwszy znany mi tekst, w którym pani profesor nie wyróżniła postkomunistów.

O działaniach opozycji politycznej w Polsce nie było w tym artykule mowy, bo w istocie nie było o czym. PSL popierał, w deklaracjach, protest chłopski, od którego był w

istocie całkiem odcięty. SLD nawet na to sobie nie pozwalał. Leszek Miller pozostawił Wiadernemu z OPZZ wspieranie Leppera, sam „rozumiał racje ale potępił metody”. Miller ma zresztą ostatnio kłopoty z radykałami w SLD: radykalizuje Wiaderny, bo musi, radykalizuje Ikonowicz z PPS, bo lubi... Tymczasem Miller, Borowski i inni członkowie kierownictwa SdRP, trzonu SLD, rozkoszują się nieszczęściami rządu, ale bardzo się boją, żeby się nie wyrzucił. Najpewniej nie przyłączą się do wniosku PSL o votum nieufności dla Balcerowicza (bo jakby jeszcze trochę awuesowców się przyłączyło to byłby klops...)

SLD wie, że nie jest przygotowany do przedterminowej kampanii wyborczej. Nie ma nowej ordynacji wyborczej ani nowej geografii, rozmowy pod stołem AWS-SLD są dopiero w stadium pierwszych pozdrowień. Ale najpewniej SLD nie chciałby podejmować się próby władzy w trudnej sytuacji i niepewnych układach (bo z kim w koalicję?)

Z całą pewnością czynnikiem, który do reszty wybija SLD z głowy wszelkie bojowe zachcianki, jest prezydent Kwaśniewski. Podpisał on właśnie ustawę o wprowadzeniu w życie reformy szkolnictwa 1 września br. upewniwszy się przedtem starannie, że wszyscy obywatele wiedzą, iż prezydent ma poważne wątpliwości i podpisuje jedynie po uroczystym zapewnieniu go przez premiera (na piśmie!) o należytych przygotowaniach reformy. A i tak zespół prezydencki będzie śledził bieg rzeczy i prezydent rezerwuje sobie prawo wniesienia w czerwcu inicjatywy ustawodawczej, jeśli trzeba było coś poprawić (odroczyć?)

Kwaśniewski najwyraźniej postanowił czekać i nie dawać żadnego pretekstu rządzącej koalicji do oskarżeń o utrudnianie jej i tak trudnego życia.

I cóż za niewdzięczność! *Gazeta Polska* nagradza ministra Pałubickiego za „odwagę słusznego nazwania prezydenta RP”. (Pamiętamy: „prezydent wszystkich ubeków.”) A premier Buzek z małżonką specjalnie opuszcza na 10 minut Prawdziwą Wielką Premierę, żeby uczestniczyć w ceremonii i pogratulować ministrowi. Zdaje się, że od trudów premierostwa charakter naszemu pierwszemu ministrowi fatalnie się psuje. I obyczaje również.

PS. Przyjaciół Tadeusz Kowalik zwraca mi uwagę, że nie może być mowy o odejściu Balcerowicza przy takim deficycie bilansu: kapitał by uciekł i złoty fajtnął. Dopóki nie mamy nadwyżki, Balcerowicz musi rządzić.

Krzysztof WOLICKI

## Kartki ze skażonej strefy

Komisaryczny marszałek Mazowieckiego Sejmu Wojewódzkiego, wiedząc, że odchodzi i wiedząc, że jego mianowania ważne są tylko miesiąc, mianował ośmiu radnych-dyrektorów. Pracowali niespełna 30 dni, a on im z pełną świadomością przyznał odprawę roczną, czyli po 90 tys. zł (circa 25 tys. dolarów) każdemu. Jak takie postępowanie nazwać? Pojedynczy skandal? Nie, niestety, jest to norma. Są powiaty, gdzie radni poustanawiali sobie takie wynagrodzenia, że mało co zostaje na działalność. Limit płac nie istnieje. Limitem w tej dziedzinie może być tylko przyzwoitość ludzka. Przyzwoitość pomyślana nie tylko jako cecha etyczna, ale jako regulator porządku demokratycznego. Brak takiej przyzwoitości grozi zawaleniem demokracji. Czy ktoś o tym wie? Czy się interesuje? Czy spojrzysz, jak jest u innych, w rozwiniętych demokracjach?

Peter Mandelson, brytyjski minister handlu i przemysłu oraz najbliższy doradca premiera Blaira, podał się do dymisji, ponieważ w roku 1996, kiedy nie śniło mu się o żadnym stanowisku rządowym, pożyczył na korzystnych warunkach od przemysłowca sumę równowąszą 678 tysięcy dolarów. Nasi władcy nie pojęliby, czym się przejmuje, po co odchodzi.

W Niemczech, po zniesieniu monopolu telefonicznego, cena za jeden impuls rozmowy spadła z 58 fenigów do 24. U nas istnieje Urząd Antymonopolowy, ale jest *de facto*

fikcją. Zresztą, telefonii się u nas nie demonopolizuje tylko prywatyzuje. Oznacza to praktycznie dla abonenta wyższe opłaty i gorsze połączenia. Natomiast prywatyzacja telekomunikacji zwiększyła pulę lukratywnych stanowisk dla zarządu z klucza partyjnego.

Skoro przy telefonach jesteśmy – jak to się dzieje, że na takiej Ukrainie, daleko gospodarczo za nami, w każdej chacie, gdzie za potrzebą biegnie się za stodołę – jest telefon, z którego można bez przeszkód łączyć się z całym światem? Byłam, widziałam.

Nawiasem mówiąc, z trzech telefonów Klubu Parlamentarnego AWS-u w ciągu zaledwie czterech miesięcy wyroz-mawiano co najmniej 8.000 (osiem tysięcy) minut z ekstradrogimi numerami 0-700, czyli z tak zwaną Party Line, linią erotyczną. Za te pogaduszki Sejm musiał zapłacić 23 tysiące 322 złote. Niesamowite, ale prawdziwe.

Trapi mnie pytanie, gdzie podział się nasz instynkt samozachowawczy. Bo nawet najbardziej chciwym powinien gdzieś w głębi głowy stukać głos rozsądku, naznaczający granicę, do jakiej mogą się posunąć, choćby przez wzgląd na własne bezpieczeństwo. Nam nic takiego w głowie nie stuka. Polak, który dorwał się do złobu, przypomina pirata, złoczyńcę, oszalałego poszukiwacza złota z westernu. „Mamona, mamona – zdają się mówić jego usta – mamona otworzy mi wszystkie nieba...”

Ubrani w bezbłędne garnitury, pazury prawidłowo ukryte w kieszeni, pozornie opanowani – stajemy się w coraz większym stopniu żarłocznymi chciwcami ze strasznych bajek. Spójrzmy na radnych i wyznaczane sobie wynagrodzenia!

Oddający władzę komuniści pokazali drogę: „skoro zabrali nam rządy, my zabierzemy im forszę”. Zrobili to z podziwu godną umiejętnością... i znaleźli godnych naśladowców w swoich politycznych przeciwnikach i następcach; tak bystrych, że uczniowie prześcignęli mistrzów. Bo postkomuniści już „z domu” byli bogaci, więc nie musieli się wysilać, podczas gdy związkowcy, którzy obecnie nami rządzą, siedzieli na związkowych posadkach zagryzając zęby, paląc kukły prominentów, cholerując na manifestacjach i czekając na swoją kolej. Na swoje TKM, czyli: „teraz, kurwa, my”, jak mówi powiedzonko. Ich kolej nadeszła i nic już nie jest w

stanie pohamować żądy brania wszystkiego, co pod ręką.

W popularnej telewizyjnej audycji „Tok-szok” prowadzący ją dziennikarze, Najsztub i Zakowski zademonstrowali prosty mechanizm łapania posad. Oto młodzutki „pampers”, czyli do niedawna dziennikarz telewizyjny ze stajni Walendziaka, dostaje w pacht Agencję Inwestycji Zagranicznych. Nie odbywa się to na drodze żadnego jawnego konkursu sprawdzającego wiedzę i odpowiednie kompetencje. Odbywa się po cichutku. „Jesteś swój, naznaczam cię” – rzecze władza (dawny koleś). I załatwione.

Mówi się o Balcerowiczu, i nie bez racji, że pozbawiony wrażliwości społecznej. Ale on przynajmniej tego nie kryje. Niczego nie gra, nie wspominając już o tym, że osobiście nie jest pazerny. Z żelazną konsekwencją pilnuje swojej roboty, ale również z podziwu godną cierpliwością godzi się na nonsensy wynikłe ze spartaczonych reform. Gdy powstają strajki, jedynym remedium jest forsa. I Balcerowicz płaci. Płaci, oznajmiając nam lojalnie, że idzie to z naszych podatków, które trzeba zwiększyć. Płacimy więcej za niegospodarność. Aż ręka zaciska się w pięść. Chciałoby się spytać, kiedy on sam nie wytrzyma, kiedy trzaśnie w stół i powie: „nie dam!” Ale on tego nie robi. *Quousque tandem...*?

Zło wynikające z pazerności obozu solidarnościowego polega też na tym, że gęba pełna fałszywych frazesów: chcą wszystko rozdać biednym, są dla biednych, służą. Gównoprawda! Nikt mi nie wmówi, że rozbuchany niebotycznie i wciąż wznoszący się bez krztyny opamiętania fundusz płac urzędników, polityków i tak zwanych samorządowców, nie ma istotnego wpływu na krótkość budżetowej kołdry. Niech mi na to odpowie minister finansów. Ale milczy.

Za postawą bezkrytycznego rozpasania idzie mentalność bezkarności, idzie poczucie, że można do woli szastać groszem podatnika. Jeżeli podatnik tworzy silne lobby, jak na przykład górnicy, to mu się zatyka gębę ochłapem, jeżeli słaby – zignuruje. Pies szczeka, karawana idzie dalej. Pytanie, dokąd w ten sposób dojdzie.

Jeżeli już o tym mowa, tendencja określana barwnym skrótem „TKM” zarysowała się już na samym początku istnienia Solidarności, w roku 1980. Będąc częstym gościem w jej ówczesnej Kwaterze Głównej, na Grunwaldzkiej we

Wrzeszczu, widziałam, jak apetyty rosły. Pamiętam przygotowania pierwszej delegacji związku do wyjazdu do Rzymu, do Papieża. Chodziłam z delegatkami po ubożuchnych gdańskich butikach, gdzie wybierały sobie coś stosownego do ubrania. Nie było to zdrożne. W końcu, trzeba było jakoś się przyodziać. Ale już wówczas przeleciała mi przez głowę nieśmiała myśl, którą szybko odepchnęłam, skąd oni biorą na to pieniądze. Bo po ubraniach, przyszedł stół, już nie w bufecie czy w stołówce, ale po restauracjach; przyszedł błyskawiczny przedwyborczy rajd Wałęsy z ekipą po kraju, gdzie szastano forszą na prawo i lewo. Świat dawał, świat patrzył – któż by im żałował? Nikt, dosłownie nikt z naszego obozu. Chodziło tylko o drobiazg, żeby zdali relację z wydatków. Wtedy jeszcze nie było konspiracy, można było nie lękać się władzy. Nie powiedzieli, a nikomu z nas nie przychodziło do głowy, żeby zapytać.

Natura ludzka nie jest z marmuru, tylko z pośledniejszego kruszcu. Któż zresztą by się oparł pokusom? Pamiętam, jak jeden z szefów małego, skromnego regionu planował wycieczkę do Francji na „festiwal homarów”. „Przepadam za homarami” – mówił głośno publicznie, a my słuchaliśmy jak zaczarowani. Chcieliśmy w nich widzieć samą szlachetność, samo dobro, bezinteresowność i wzorzec patriotyzmu. A byli to ludzie, podobni wszystkim. A że zorganizowali się pierwsi przeciwko komunie, to już inna sprawa.

Wspominam o tym, nie żeby ganić, bynajmniej nie z populistycznych zapędów – ale żeby stwierdzić, że zaczątki zachłanności „Pierwszej kadrowej” Solidarności budowały się od samego początku. To, co później ks. Tischner nazwał „homo sovieticus” siedziało w nas głębiej niż ozdrowieńczy protest przeciwko totalitaryzmowi. Stąd zresztą wzięła się roszczeniowa postawa solidarnościowej emigracji, tak rząząca starych polusów. Ale tego, co się z nami dzieje dzisiaj, nie przewidział nikt. Nawet najzawziętsi krakacze.

Smecz, mój sąsiad z łamów *Kultury*, nazwał mnie „posępną”. Przymiotnik „posępny” pochodzi od sępa. Sęp upatruje padlinę, żeby się na nią rzucić. I ja próbuję to robić. Nie udaje mi się jednak, co udaje się sępowi – sprzątnąć paskudztwo. Szkoda.

*Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiej stronie,  
do Płużyn ciemnego boru*

*Wjechawszy, pomnij zatrzymać swe konie,  
Byś się przypatrzył jezioru...*

Moja kuzynka, młoda polonistka ucząca w Gdańsku klasę maturalną, kazała przeczytać uczniom na lekcji „Świtez”, zamknąć książki, streścić wiersz na pół strony, otworzyć ponownie książki, sprawdzić, czy nie porobili błędów, poprawić i przeczytać na głos swoje streszczenia.

I otóż, czego dowiadujemy się: uczniowie piszą, że autor przestrzega, żeby nie zbliżać się do jeziora!

Polonistka zdębiała. Skąd oni to wzięli?! Ale że jest zapaloną lingwistką, dociekała sprawy. Otóż w najnowszym slangu uczniowskim (a zmiany tu następują błyskawicznie) słowo „zapomnij!” oznacza niedawne „odwal się”, „zejdź mi z oczu”, „przepadnij”. Co się więc nasuwa? Najpewniej Mickiewiczowskie „pomnij” uczniowie skojarzyli ze swoim „zapomnij”. Przy powszechnym w tym pokoleniu braku wrażliwości humanistycznej, braku rozbudzenia i wycucia języka literackiego u młodzieży, która na dobrą sprawę nic nie czyta – wysnuli taki oto swój wniosek.

Skoro mowa o uczniowskim slangu. Pojawiło się jeszcze jedno słówko, a mianowicie: „żydzisz”, czyli oszukujesz. „Przestań żydzić” – przekrzykują się uczniowie przez ławki.

Moja polonistka zrobiła im lekcję o antysemityzmie. Nikt się do niego nie przyznał. Twierdzili zgodnie, że nie ma sprawy. Żyd to taki sam człowiek jak każdy. Jeżeli czuje się Polakiem, jest Polakiem i koniec. Mówili zgodnie, że nie czytają książek rozprawdzanych przez księdza Jankowskiego; śmieją się z nich; nie znają nawet tytułów.

Ja je poznałam. Poszłam do Św. Brygidy, kiedy jeszcze sprzedawano te wydawnictwa w kościele. W glazurowanych okładkach, z portretem księdza w białym paradnym wojskowym mundurze, z orderami zajmującymi cały tors. Tytuły ledwo się mieszczą obok portretu: „Zguba twoja, Izraelu, od ciebie samego pochodzi”. I drobniej: „A jednak ks. Jankowski miał rację”. Następna pozycja (ks. Jankowski znów jako generał) pt. „Ukrzyżować księdza Jankowskiego”. Pozycja trzecia: „Ks. Henryk Jankowski a problem żydowski w

Polsce”. Byłam przy tych stoiskach w niedzielę przed sumą. Kręciło się przy nich kilka osób; bardziej z ciekawości niż z chęci kupna, mimo zachęt sprzedawczyń, kobiet o twardym polskim akcencie, podsuwającym – jak mówiły – „nowości”.

Bez wątpienia ks. Jankowski ma swoją klientelę, ale nie przeceniałabym ani jej rozmiarów, ani znaczenia. Są też tacy, którzy kupują antysemitki druki, żeby się pośmiać, pogorszyć cytatai w towarzystwie.

*Gazeta Wyboreza* rozpracowała wydawnictwa ks. Jankowskiego na swoich łamach. Obawiam się, że niewiele się tym przejął, przeciwnie, był zadowolony, że o nim głośno.

Moim zdaniem, tacy Jankowscy w pojedynkę nie są groźni. Mało to dziwolągów na świecie, chcących epatować publiczność czym się da? Muszę wyznać, że bardziej zmartwiła mnie nie dość klarowna, nie dość stanowcza postawa jego zwierzchnika, arcybiskupa Tadeusza Gołłowskiego. Owszem, zganił postępowanie ks. Jankowskiego, ale nie tak, żeby nie pozostało na nim suchej nitki. A tak by trzeba, żeby stanowisko Kościoła było jasne.

Nie odmawiam zasług ks. Jankowskiemu. Pięknie wznioł z gruzów kościół Św. Brygidy (Ołtarz Bożonarodzeniowy w roku 1998 był tam najpiękniejszy, jaki udało mi się zobaczyć). W swoim czasie pomagał represjonowanym stoczniovcóm (choć już wtedy w jego kręgu usłyszałam niepokojące zdanie: „nasze dzieci będą miały sto razy lepsze kolonie niż dzieci czerwonych...”). Nie mam mu za złe żalostnej próżności; ot, słabość ludzka, którą sam się ośmiesza w oczach innych. Mam za złe ordynariuszowi – chociaż „za złe” to niewłaściwe wyrażenie – boleję nad stanowiskiem arcybiskupa, który na przykładzie ks. Jankowskiego mógł w sposób nie pozostawiający cienia wątpliwości rozprawić się z pojęciem antysemityzmu. Zaprzepaścił okazję.

Niektórzy będą odmiennego zdania; powiedzą: „lepiej dla sprawy – zmilczeć, nie tykać”.

Niestety, nie jest tak, że to „reklama” rozhuśtuje uczucia antysemitki. To nie ks. Jankowski ani napisy na murach czynią z ludzi antysemitów. Antysemityzm istnieje w Polsce głęboko w duszach. Jest jakąś atawistyczną skazą. Stąd pewnie owo spontaniczne „żydzisz” w najnowszej gwarze uczniów. „Żydzisz”, którego rozumowo nie umieją wytłumaczyć.

Spędziłam dwa zimowe tygodnie w Trójmieście. Co za ulga po Warszawie! Co za różnorodność klimatu, ludzi, architektury! Inny kraj, inne towarzystwo.

Cóż, nie waham się powiedzieć, że warszawiacy w swojej masie są wredni. Ekspedienci, aptekarze, przechodnie, urzędnicy – wszyscy. Nieuprzejmość w sklepach i urzędach, przepychanie łokciami w autobusach, ponuractwo wymalowane na twarzach.

Odkąd się ten stan datuje – nie wiem. Powszechna opinia mówi, że od powojnia. Wiocha (czyli głównie podwarszawskie męty) wlała się na gruzy miasta, prawdziwi warszawiacy wyginęli w Powstaniu. No i ta wiocha wraz z jej potomstwem, które w komunie nie miało szansy prawdziwie ucywilizować się, fatalnie wpłynęła na stosunki międzyludzkie.

Zmianę na lepsze widać, gdy się tylko opuści rogatki. Jakby nożem ciął. Im dalej od Warszawy, tym ludzie lepsi, chleb lepszy, woda lepsza.

A już prawdziwym cudem jest Trójmiasto. Przede wszystkim, życzliwość. Kioskarka biegnie za klientem, bo zapomniał wziąć wkładki do gazety. Obdarza czekoladką, bo parę razy u niej kupił. Przybysz pytający o drogę spotyka się od razu nie tylko z rzeczą, ale dogłębną informacją, tak, żeby na pewno trafił, gdzie chce.

Co kształtuje takie stosunki międzyludzkie? Mówią, że to element wileński tu osadzony po wojnie zmieszany z Kaszubami wytworzył świetny konglomerat. Istotnie, dużo tu tradycji wileńskiej przechodzącej w pokolenia. Odwiedziłam w Gdańsku znajomą na świeżo powstałym osiedlu ochrzczo-nym Wzgórzem Mickiewicza. Mieszka przy ulicy Stolnika, obok Rejenta, Pana Tadeusza, Telimeny...

Dawno nie byłam w Gdańsku. Teraz wjeżdżając w jego mury, zadziwił mnie ogrom Starówki. Jest taka, jaką wspominał Günter Grass. Weszła za Motławę, gdzie do niedawna rozciągały się podmiejskie pustacie. Starówkę odbudował prywatny kapitał. Gdańsk wyglądem dorównuje już prawie odpucowanemu szczotką i mydłem hanzeatyckim miastom Niemiec.

Za to Sopot stał się całą gębą kurortem secesji. Tutaj też odrestaurowano z pietyzmem, co się dało, łącznie z detalem

w postaci witraży z odpowiednią roślinną ornamentyką w oknach prywatnych domów.

Główny deptak, zwany przez mieszkańców „Moncia-kiem” (oficjalnie, ulica Monte Cassino, a za komuny – Aleja Rokossowskiego) wabi stylowymi knajpkami. Piękny kompleks budowli nadmorskich z Grand Hotelem i mołem – też wabi. Na plaży ludzie karmiący łabędzie z ręki. Zdegenerowaliśmy ptaszyska tym jadłem tak, że przestały odlatywać zimą. Gdy Zatoka zamarza (dość rzadko, na szczęście), one zamarzają wraz z nią.

W zasięgu spaceru wzdłuż Łazienek północnych – Koli-ba. Góralski szałas z góralską muzyką, grzonym piwem, winem, chlebem ze szmalcem i osczypkami w różnej postaci. Na drzwiach napis: „nawaleni i z własną gorzałą – won!” a wewnątrz – ognisko. Północ Polski przyciąga Południe – prawidłowo.

Małą wioskę kaszubską, Gdynię, architekci Eugeniusza Kwiatkowskiego zamienili w latach dwudziestych w nowo-czesny port i miasto. Doskonale wytyczone arterie i domy przetrwały w swoim głównym zarysie komunistyczne zanied-bania. Teraz, po generalnych remontach, po odnowieniu tyn-ków, po przemalunkach, Gdynia stała się wesołym, ultra-współczesnym miastem.

Rozciągnięte wzdłuż linii Zatoki Gdańskiej Trójmiasto ma w naturalny sposób wrysowaną historię urbanistyki trzech różnych epok – unikat w skali Europy.

Unikatem, jak powiedziałam, jest też klimat ludzki. Nie tylko w życzliwości kontaktu. Tu się zawsze mniej bano. Przybysz ze środka Polski oddychał tu swobodniej, swobod-niej gadał, swobodniej się poruszał. Nie dlatego, iżby tota-litaryzm był tu łżejszy; był jak wszędzie. Ot, tajemnica, *genius loci*. Może więc nie należy się dziwić, że stąd się wszystko zaczęło.

Jak przyjemnie uciec na chwilę od centralnych władz, od sejmu i rządu – czyli od stężonego skażenia.

W czasie, gdy piszę te słowa (koniec stycznia '99), trwa w Polsce kolejna Lepperiada. Andrzej Lepper, samozwańczy

przywódca chłopski na początku niepodległych rządów, stworzył ruch pod nazwą Samoobrona, który od razu dał o sobie znać. Lepperowcy domagali się niskich kredytów inwestycyjnych dla rolników. Dostali je i przełulali. Długi poszły w miliardy. Niespłacone, oczywiście.

Potem Lepper zorganizował spektakularne wyprawy Samoobrony do Sejmu. Chcieli Sejm wziąć siłą, chcieli do Sejmu wtargnąć. Tak się złożyło, że widziałam to najście z dolnej biblioteki sejmowej jak z łoży. Opisałam je na bieżąco: „przełamali bariery policyjne od tyłu i wlewali się z dołu, od Górnośląskiej. Potrzęsali widłami, na których zatknęli szkielety zwierząt rzeźnych z ochłapami świeżego jeszcze mięsa. Widziałam, jak chłop uczeplił się pretów poręczy i wył wysokim tonem zarzynanej świni. Policjanci usiłowali go odczepić; kurtka ortalionowa zadarła się do góry ukazując nagi wielki brzuch z profilu...”

Sejmu nie wzięli i na chwilę Samoobrona nieco przygasała, a Lepper, warchoł o niewyparzonej gębie, poszedł za coś siedzieć. Już nie pamiętam za co, ale pamiętam, jak w obecności kamer głośno modlił się w więzieniu.

W roku 1995 Lepper kandydował na prezydenta. Ale wśród kandydatów było wtedy tyle pociesznych postaci, że utonął w ich gronie.

Obecnie Andrzej Lepper z grupą wyznawców blokuje nie tylko polskie granice, ale i mosty, przelotowe drogi, skrzyżowania. W sumie kilkaset blokad. Stoją na szosie brony, traktory, kombajny, beczki z gnojowicą do polewania policjantów, a paru chłopów z kosami ustawionymi na sztorc pozuje dla telewizji. W jednej ręce kosa, w drugiej – telefon komórkowy. Oto Polska.

Policja, odciągnięta od łapania złodziei i zbrodniarzy, otacza ich z bronią u nogi; to znaczy, z pałkami i sikawkami. Lepperowcy wesoło krzyczą, że krew się poleje, a świeżo upieczeni wojewodowie trzęsą się ze strachu, żeby nikomu nie otrzeć paluszka.

Lepper zapytany, czego chce, bez żenady odpowiada, że obalenia rządu. Nic mniejszego go nie zadowoli. Ale moim zdaniem, i tego będzie mało. Jest to taki typ człowieka, który pójdzie na całość.

Tymczasem policja, nie wprawiona do działań w demo-

kracji, boi się własnego cienia. Miała kilka wpadek w nadgorliwości, teraz woli nie ryzykować. Jesteśmy młodym społeczeństwem demokratycznym. Na dobrą sprawę, nikt, łącznie z sędziami, nie wie, jak rozpoznawać działanie w obronie koniecznej; nie wie, co jest jeszcze prawem, a co już bezprawiem.

Pielęgniarki zamknęły się w warownym zamczysku Ministerstwa Zdrowia na Miodowej w Warszawie. Chcą zwiększenia składki ubezpieczeniowej nie orientując się, że to wcale nie oznacza podniesienia im płac, ale na pewno – zwiększenie naszych podatków.

Doskonałe kliniki kardiologiczne na Śląsku stoją z powodu niedogadania się świeżo powstałych kas chorych, lekarzy i dyrektorów szpitali. Nikt nie wie, jak to „jeść”, a pacjent z tętniakiem aorty sercowej, który powinien być operowany „cito”, bo w każdej chwili grozi mu śmierć, zajmuje szpitalne łóżko od sześciu tygodni, i nic. Nie operują go, bo u chirurgów i anestezjologów strajk.

Powiaty zalegają z opłatami zastępczym rodzinom wychowującym po kilkanaście dzieci. Żywią je miłośni sponsorzy, ale na ślizgawkę czy kino już nie starcza.

Tymczasem karnawał rządowy trwa. Bał za balem. Pan premier jest doskonałym i niezmordowanym tancerzem; otrzymuje najwyższe noty w tej konkurencji.

Taka jest Polska zimą 1999 roku. Byłe do wiosny!

Koniec stycznia 1999

Ewa BERBERYUSZ

## Z ukosa

Jako męczące odczuwam zbliżanie się do roku 2000. W tym okrągłym roku będę miał lat 50. Nie do wiary! Ja, sceptyczny niedowiarek, nie potrafię uwierzyć, że ukończę pół wieku. To próg zjeżdżalni, po której zsuwać się już można

tylko do basenu starości. Procesem starzenia bardzo przeżywałem się gdy miałem 19 lat, a wszystko zmierzało ku temu, że zaraz ukończę lat 20. I to poczucie metafizycznej katastrofy przy utracie pierwszego stałego zęba. Teraz jestem niepokojąco spokojny. Łatwo mi jednak obliczyć, że gdybym po stopniach swoich przeżytych lat ruszył na dół, pół wieku w jednym stopniu, to zaledwie po kilkunastu, czyli już na parterze mojego dwupiętrowego domu spotkałbym się z Chrystusem. Czy byłbym wtedy równie sceptyczny jak byłem na lekcjach religii?

Pamiętam, gdy dałem na amen nogę z tych lekcji, które odbywały się w baraczkę przy pobliskim kościele. Mój dziecięcy organizm nie był w stanie przeżyć rozziwu między pięknem biblijnych opowieści, a brzydotą nauczających. Wtedy rodzice postanowili wziąć mnie religijnym podstępem. Zostałem posłany na prywatne lekcje religii do księdza Jana Twardowskiego. Był wówczas początkującym poetą, przychodził do rodziców i czytał im swoje wiersze. Jak zaczął, nie bardzo potrafił skończyć, bo lubił czytać swoje wiersze, a ta poczciwa słabość została księdzu do dzisiaj. Ojciec od razu zauważył, że to prawdziwa poezja, ale bywał czasami zmęczony recytacjami. Ksiądz zgodził się wtedy rozpocząć moją prywatną reedukację religijną. Mieszkał tam gdzie mieszka do dzisiaj, w pięknym parafialnym domku przy kościele Wizytek, zanurzonym w magicznym ogrodzie, który krzewi się, jakby nie miał nic wspólnego z Warszawą. Pamiętam drewnianą ławeczkę, przed tym domem i cud kwitnienia ogrodu, jabłka wielkie jak rajskie głowy, które ksiądz mi dawał, na zachętę. Po kilku tygodniach tej nauki, ksiądz spotkał na ulicy moją matkę. Zapytała, jak mi idzie? „Chłopiec jest inteligentny, zadaje tyle pytań, czasami bardzo trudnych, ale muszę powiedzieć...” tu ksiądz zakłopotał się, „on jest antytalent religijny”. I tak mi zostało do dzisiaj. Potem ksiądz chrzczył mojego syna, i sytuacja powtórzyła się. On też jest antytalent religijny. Ale chciałbym aby wszyscy nasi wierzący byli tak moralni, jak ten młody, niewierzący i nieprzyzwoicie ładny fizycznie i umysłowo chłopak, który właśnie zaczyna pracę jako prawnik. Niech mu Polska lekka będzie.

Pamiętam sprzed lat publiczne spotkanie z księdzem, w

podziemiach kościoła św. Krzyża w mrocznych latach po stanie wojennym. Tego dnia milicja zabrała mi paszport, miałem lecieć na stypendium do Stanów. Byłem rozsierdzony, ale ciepła atmosfera spotkania utuliła mój gniew. To były jeszcze czasy, gdy na takie spotkania przybywały setki ludzi, pełnych zapału by coś wspólnie przeżyć, a łączyła nas niezgoda na stan wojenny. Tyle było wspólnej pozytywnej energii. Dopiero dzisiaj widzimy, jak wiele za tą piękną zasłoną spało istotnych różnic. W podziemiach kościoła na przemian z księdzem czytaliśmy wiersze, były jak ogień i woda, jego religijne, moje polityczne. Mam wrażenie, że bardzo niewiele wierszy z tamtego okresu przeżyło próbę czasu. Zbyt były gorące. Ale mnie to nie boli, nic a nic. Były wtedy potrzebne i spełniły swoją rolę. A niedawno ujrzałem księdza, jak podpisywał swoje tomiki poezji, tyle lat go nie widziałem, przykleknałem ze łzą w oku, przytuliłem się i dałem mu garść swoich wierszy, sprzed lat. Przesłał mi potem karteczkę, tak serdeczną i wdzięczną jak jego wiersze.

Kiedy to piszę dzwoni do mych drzwi ksiądz, ale inny, który chodzi po kołędzie. Nie otworzę, udaję, że mnie nie ma. Ale przecież nie boję się księdza. Nie chcę tylko sprawiać jemu albo sobie przykrości. Może myślę się sądząc, że nie mamy sobie nic do powiedzenia. Ale o kwestiach wiary nie będziemy przecież dyskutować, wiara to wiara. Ja bym chętnie pomacał społeczny światopogląd księdza, co myśli o Polsce, o polityce, o swoich kolegach w sutannach, którzy kompromitują kościół, jak ksiądz Rydyk czy ks. Jankowski. Zapytałbym go też, czemu to z kręgów kościelnych tak uparcie płyną słowa: „Polska dla Polaków”, „prawdziwy Polak”, „Daj Boże aby rządzili nami prawdziwi Polacy”. Chrześcijaństwo ze swojej istoty jest ponadnarodowe, do szpiku kości. Jest krzyżącym i gorącym zaprzeczeniem nacjonalizmu. Jeśli więc tak często mu służyło i służy, to kolejny dowód, że nie ma takiej idei, myśli religii, której nie można zaprząć do dowolnego wozu. Nasz przeciętny narodowy katolik jest pewien, że Chrystus był Polakiem. I ta wzruszająca pewność, kto jest prawdziwym Polakiem, a kto nie? Rozumiem, że są grzyby jadalne i trujące, ludzie uczciwi i nieuczciwi, tacy co potrafią kochać i nie potrafią. Są też monety prawdziwe i fałszywe. Ale co znaczy prawdziwy Polak? Bo nie



kryterium uczciwości jest używane, to pewne. Prawdziwymi Polakami są przecież oblegający moje podwórko alkoholicy. Nie są zaś nimi, to pewne, przeciwnicy mnożenia krzyży w Oświęcimiu, postkomuniści, zwolennicy Europejskiej Unii, popierający liberalną ustawę aborcyjną, nie są ateści, masoni, jakże nieliczni ludzie o tożsamości żydowskiej mieszkający w Polsce. Można by zlekceważyć takie myślenie, ale nie potrafię, bo z tego paranoidalnego i spiskowego myślenia wypłynęły dwie czarne rzeki naszego stulecia, stalinizm i hitleryzm. Niemal wszystkie faszyzujące pisemka, które tak łatwo można kupić w każdym kiosku, podpierają się katolicyzmem. Kościół nie potrafi lub nie chce odciąć podłoża i głupstwa, i stanowczo, jak kiedyś Chrystus pogał przekupniów ze świątyni. A oni gorsi od tamtych, bo handlują w świątyni ksenofobią i krzyżami. Jest dwóch, trzech biskupów, którzy o tym mówią pełnym głosem, ale są w druzgocącej mniejszości. *Gazeta* ujawnia, co nie jest tajemnicą, że w kościele księdza Jankowskiego sprzedaje się paranoidalne bzdury. Tam w żydowsko-masoński spisek wrabia się wielu szacownych biskupów, nawet premiera Buzka i pocziwego Mariana Krzaklewskiego, „którego matka ma leżeć na żydowskim cmentarzu”. O arcybiskupie Tadeuszu Gocłowskim pisze Jan Marszałek w swym dwutomowym dziele „Pod wszechpotężnym naciskiem stalinowskiej i neostalinowskiej lewicy laickiej pozbawił ks. Jankowskiego probostwa i zakazał mu wygłaszania kazań w ogóle.” A co na to arcybiskup Gocłowski, metropolita gdański? Odpowiada, że te książki w świątyni to skandal, ale „dziennikarze niepotrzebnie szukają sensacji. Byłoby roztropniej ze strony *Gazety Wyborczej*, gdyby nie zajmowała się książkami sprzedawanymi w kościele św. Brygidy i nie robiła im niepotrzebnej reklamy”. Doprawdy trudno komentować tak kuriozalny komentarz. Nazajutrz jednak ks. Jankowski dostaje od przełożonych list z reprimendą i jakby nigdy nic, przenosi swoje książki ostrożnie jak wronie jajka z kościoła do korytarza probostwa. Ale przecież w wielu kościołach w Polsce kwitnie taki handel, tylko o tym się nie mówi. To wszystko są kuriozalne marginesy, należy je wskazywać palcem, ale nie ma powodu by rwać szaty. To jest cena wolności. A całą sprawę pokryłbym milczeniem, co miesiąc obiecuję sobie nie tykać żydowskiego tematu. Ale on

się wciska na chama. W tym przypadku poruszyło mnie, że autorem dwutomowego dzieła jest mój dobry kolega, ba przyjaciel z czasów studenckich. Z Jasiem przepłynęliśmy w jednym kajaku wiele rzek i jezior. Był starszy ode mnie, z zapadłej wsi, pisał wiersze, do kościoła nie biegał, bo biegał za panienkami. Brał udział w manifestacjach marcowych. Pamiętam jak w moim mieszkaniu w telewizji oglądaliśmy słynne marcowe przemówienie Gomułki. Ten spektakl bawił nas i przerażał zarazem. Zapachniało faszyzmem. Co stało się z Jasiem Marszałkiem przez te 30 lat, że myśli i pisze rzeczy które podłą głupotą biją na głowę paranoiczne gędzenie I sekretarza w roku 68. Mamy odruch tłumaczenia wszystkiego szaleństwem, czy to nie za proste? Znajomy psychoterapeuta, pyta mnie ironicznie, czy możliwe, aby w Polsce było kilka milionów szaleńców? A czemu nie. Może jednak rzeczywiście nie nazywajmy tego chorobą, a upośledzeniem umysłowym. Z upływem lat widzę coraz wyraźniej, że sfera irracjonalna jest u ludzi większa niż nam się wydaje, u nas samych jest większa niż sądzimy. A człowiek nawet niezwykle mądry, nie jest dostatecznie mądry, by czasami nie wierzyć w niezwykle nonsensy. Patrzę na grupkę moich znajomych z dawnych lat. Mogę z tych bliskich mi osób skompletować pokazną kuriozalną trzódkę.

Oto K. jest dzisiaj podporą *Naszej Polski*, faszyzującego pisemka. Studiowaliśmy razem, miałem z nią wtedy konflikty, była gorliwą komunistką, a ja gorliwym antykomunistą. Po latach odkryłem, że jest moją sąsiadką. W okresie stanu wojennego stała się nagle bojowniczką podziemia. Z powodów konspiracyjno-sercowych w moim mieszkaniu popełniała samobójstwo, podkreślałam jednak, że nie z mego powodu. Przez jakiś czas pracowała w *Gazecie Polskiej* teraz króluje w tym faszyzującym tygodniku, jako reporterka. Znajomy z dawnych lat, krytyk sztuki, w jednym z „tych” pisemek, publikuje pełen miłości tekst o Eligiuszu Niewiadomskim, mordercy prezydenta Gabriela Narutowicza. A mój przyjaciel z dzieciństwa, który po przygodach z KPN-em, po rzecznikowaniu Partii Emerytów i Rencistów, przewodzi organizacji, która walczy z lekarzami, tymi co krzywdzą swoich pacjentów. To nawet ma pewien sens, ale czy napęd jego działalności jest maniakalno-narcystyczny? Bardzo mi bliska X,

kiedyś niewierząca, dzisiaj niemal cały swój wolny czas spędza w kościele. Dzwoni do mnie jej mąż – „zrób coś, ratuj!” A co tu ratować? Jej przecież jest dobrze. Za to M. włąła w sektę jakiegoś indyjskiego guru i oszalała ze szczęścia. Jest wielka presja upływu czasu, zmiana sposobu życia, drapieźność nowego świata walki. Jesteśmy więc wolni, ale w supłach. I szukamy rąk, które je rozplączą.

Mój bliski kolega Tomek Wołek, redaktor naczelny *Życia*, gdzie on z kolei pofrunął? Tomka znam jeszcze z czasów pierwszego wcielenia „Solidarności”. Jechaliśmy razem na zjazd „Solidarności”. Miał szczękościsk radykalno-prawicowy w latach 80-tych. Potem wytrzeźwiał, łudziłem się, że na zawsze. Był to dla mnie miły przykład, że czasami ludzie zmieniają się na rozsądnie. Kiedy upadło *Życie Warszawy* a narodziło się *Życie*, stałem mu naiwne faksy, „trzymaj się środka bo dryfujesz na prawo”. Nie wiedziałem, że on nie chce być w środku, czyli w tym miejscu, którego tak potrzebuje polska polityka i nasze mass media. To prawda, że prawicowe *Życie* czasami próbuje cywilizować paranoidalną prawicę, współczuję tej beznadziejnej misji. Ale ten dziennik stał się „niewolnikiem” *Gazety Wyborczej*, próbuje być jej prawicowym cieniem. Ale jak tu zachować mądrość gdy osiąś myślenia zespołu tego pisma jest antykomunizm. To dzisiaj ślepotą. Źródła zagrożenia biją wszędzie tam gdzie kwitnie myślenie nieracjonalne i nasycone nienawiścią. Wizja jednego wroga zaciemnia widzenie problemów autentycznych. Postkomuniści są na ogół dosyć okropni, ale czy lepsi są populiści i narodowo-prawicowi opętańcy? I oto Tomasz Wołek, redaktor naczelny *Życia* wraz z radiomaryjnym Markiem Jurkiem i Michałem Kamińskim [ZChN], fruną z pielgrzymką do aresztowanego w Londynie generała Pinocheta. Z wyrazami poparcia. Niegdyś szef *Gazety Wyborczej* chadzał na kolacje do generała Jaruzelskiego. Też zupełnie bez sensu. Nie mam zdania, czy Anglicy powinni zamykać starego generała? Nie mam też pełnego rozeznania w skali terroru jaki był za jego czasów w Chile i jakie było naprawdę komunistyczne zagrożenie? Problem, że tego w Polsce prawie nikt nie wie, jak nikt w Chile nie potrafi pojąć skomplikowań stanu wojennego w Polsce roku 81. W tej sytuacji może warto zażyć pastylki na zaparcie wydawania sądów ostatecznych w tej

sprawie – porządny człowiek, czy morderca? A może prawda stoi pośrodku? Ale nawet taki środek nie jest przyjemny. Pamiętam, że przed wieloma laty w gorącej dyskusji broniłem zamachu Pinocheta. Żywiłem wtedy przekonanie, że komunizm jest największym złem świata, więc aby z nim walczyć można się sprzymierzać ze złem mniejszym. Demonizm komunizmu, uważałem, oparty był na perfidii, na zrzecznej grze pozorów, faszyzm miał tego jednak mniej. Poraziła nas wtedy niezwykła trwałość komunizmu. Tam gdzie zainstalował się, trwał niewzruszenie, zdawało się na zawsze, niszcząc i korumpując. Inne totalitaryzmy były autodestruktywne, hitlerizm obrócił świat w perzynę i zgiął. A komunizm żył, przepoczwarzał się, cyniczniał, zatruchiwał dusze. Ale oto nagle rozpadło się jego królestwo, jak zgniła deska. Wtedy chyba odzyskałem proporcje w widzeniu, by ujrzeć, jak niebezpieczne jest myślenie w kategoriach mniejszego zła. Mniejsze zło ma bowiem to do siebie, że lubi rosnać. Ale moje czarno-białe widzenie było wtedy łatwe do usprawiedliwienia. Żyliśmy pod cegłą. I potrzebna była wyraźna motywacja do walki. A teraz widzę, że są w Polsce ludzie którzy myślą dzisiaj jak ja, wtedy, w tak innym miejscu i okolicznościach. Dla nich komunizm jest nadal śmiertelnym, żywym wrogiem. Nie ten w Korei Północnej, a tutaj. To jest taka sama fikcja, jak masoni, cykliści, Żydzi, spisek zachodnich bankierów, obcy co wykupują Polskę. Ten antykomunizm zbliża wyznawców nowej wiary do komunistycznego myślenia, o czym biedacy nie wiedzą. Jedną osią komunistycznego myślenia był wyraźny, mityczny wróg. I jedna prawda. Takie żywe fragmenty myślenia, z okresu paranoi tego systemu, żyją na brzegach skrzydeł wszystkich skrajnych ugrupowań, od lewej strony do prawej. Nawet jeśli Zachód stosuje podwójną moralność aresztując Pinocheta, to jaką moralność prezentuje nasza prawicowa wycieczka? Słucham jak Marek Jurek świętobliwy, radiomaryjny, mówi o generale Pinochecie ze słodyczą w ustach, że uratował Chile od komunizmu. Pytany o tysiące zamordowanych, macha na ten szczegół ręką. Można sobie dopowiedzieć, „tam gdzie drwa rąbią, wióry lecą”. Trochę tortur, jakieś rozstrzeliwania, warto, dla dobrej sprawy. Uderza, przy braku wiedzy, ten brak wątpliwości jakże typowy dla inkwizytorów. I gdzie jest chrześci-

jańskie współczucie dla ofiar? Nie kocham generała Jaruzelskiego a stan wojenny zdruzgotał moje życie i życie milionów Polaków, ale po 20 latach, powiedzmy prawdę, ten zamach był przeprowadzony w rękawiczkach. Jego konsekwencje, to poszarpanie naszej duszy, ale skala terroru, zabójstw, tortur była minimalna, działa się z reguły tam gdzie coś wymknęło się spod kontroli. Mając nawet skromną wiedzę na temat Chile, jest niemal pewne, że skala terroru w Polsce była bez porównania mniejsza niż w Chile, a społecznego oporu wobec zamachu większa niż tam. Ciekawe, co nasi trzej królowie zawieźli pocziwemu generałowi? A co mogą wieść narodowo-prawicowi pocziwcy z Polski? Oczywiście, ryngraf z Matką Boską. A gdzie bochen polskiego chleba? I znowu to mieszanie Matki Boskiej w niegodziwości świata. Dajcie przynajmniej jej spokój! Wedle prasy wizyta miała rodzinny charakter, generał przyjął pielgrzymów z Polski w obecności dwóch córek i wnucząt. Z Tomaszem Wołkiem rozmawiał m.in. o południowoamerykańskim futbolu. Pamiętam swoją podróż z Tomkiem za granicę. Nie byliśmy zbyt dobrze przygotowani do rozmów w sprawie sprzedaży pewnej gazety. Ale problem załatwiła piłka nożna. Tomek jak komputer był w stanie wyrecytować składy drużyn piłkarskich sprzed kilkunastu lat. Powaliło to naszych gospodarzy na kolana, uznali, że mają przed sobą fachowców. Jestem więc pewien, Tomek zaimponował generałowi wyrzucając z pamięci nazwiska piłkarzy z kolejnych reprezentacji Chile. Ja mając taką pamięć też zrobiłbym karierę, ale do Pinocheta bym nie pojechał.

Nowa Polska rodzi się w cierpieniach i w walce milionów ludzi. Gdziekolwiek się ruszę wszyscy młodzi potwierdzają, że na ich oczach rzeczywistość drapieźniej. Ten trud nie może być roztrwoniony. Dlatego z trwogą zerkam na naszą scenę polityczną, gdzie zdrowy rozsądek ściera się z paranoją. AWS staje się partią polityczną, której ledwie żywy premier staje się ledwie żywym przewodniczącym nowej partii. To wygodna atrapa dla Mariana Krzaklewskiego. Premier został wybrany zaocznie, z powodu grypy wylądował w szpitalu, do wczoraj rządowym, a od dzisiaj geriatrycznym. To też jakoś źle się kojarzy. Na dodatek premier kładzie się w szpitalu, a cała Polska drży ze strachu przed chorobą. Trwa bowiem paraliz

służby zdrowia. Reforma służby zdrowia jest wdrażana w potwornym bałaganie. Każdy obywatel będzie teraz przypisany do swego lekarza, mają być też lekarze rodzinni, idę więc do pobliskiej przychodni by się zapisać. Nigdy tam nie byłem, więc doprawdy nie wiem kogo wybrać? Z braku informacji o naszym zdrowiu i życiu decydują recepcjonistki, szatniarki, nawet sprzątaczką ma coś do powiedzenia. Pytam recepcjonistki, do kogo mi radzi. Radzi iść do pani lekarki najstarszej. Ale sprzątaczką jest innego zdania, uważa, że lepiej zapisać się do młodej, a do tego jest ładna. Idę za radą sprzątaczką. I tak to mniej więcej wygląda w całej Polsce.

Służba zdrowia jest ciężko chora. Niby państwowa, ale częściowo sprywatyzowana przez samych lekarzy i nieszczęśliwych pacjentów, którzy płacą pod stołem operacyjnym i pod blatem biurka. Reforma nie została dobrze przygotowana, przedyskutowana, teraz zagubieni są w niej wszyscy, lekarze i pacjenci, a moi znajomi lekarze, też przyznają, że prawie nic z tego nie rozumieją. A na marginesie strajku, pierwsi pacjenci zaczynają umierać z powodu strajku anestezjologów. Trwa dysputa w mass mediach czy anestezjolodzy postępują moralnie? Zaczynają strajkować pielęgniarki, grożą strajkiem chirurdzy. Nie mają tylko jak strajkować pacjenci. Gdyby mogły zastrajkować choroby? Reforma miała spowodować by lekarze byli nareszcie przyzwoicie wynagradzani. Wygląda na to, że w najbliższym czasie w naszej służbie zdrowia nie będzie pieniędzy, sprzętu, profesjonalizmu, ani czułości dla pacjenta. Czuję w powietrzu zapach następnych strajków. Słabość rządu do tego zachęca. Prawie wszyscy dzisiejsi politycy przy władzy narodzili się jako politycy w wirze strajków z dawnych lat, i rozumiem, że ogromnie im trudno dzisiaj podobne strajki dławić. Ale ich niemoc zaczyna być groźna dla kraju.

W rządzie konflikt między AWS-em a Unią przeradza się w zimną wojnę między koalicjantami. Jest tam pewien element irracjonalny, dlatego tak trudno uchwycić siłę niechęci. Obok powodów mitologicznych są jednak bardzo praktyczne. Dawny minister z ramienia liberałów i UW Janusz Lewandowski pisze, że nigdy jeszcze od roku 90 nie było tak wolnej prywatyzacji. Polska gospodarka jest fatalnie ste-

rowana przez AWS. Lewandowski zauważa, no może z małą przesadą, że „ideowe przywództwo w AWS-ie sprawuje środowisko zbliżone do Radia Maryja. To ono nadaje ton swoim inicjatywami. [...] Właściwy dla tego środowiska fundamentalizm społeczno-gospodarczy okazuje się w swych skutkach groźniejszy niż radykalizm światopoglądowy czy symboliczny antykomunizm. [...] Działacze owego nurtu szczerze wierzą w swe pomysły. Idą na głosowanie pokrzepieni mszą w kaplicy sejmowej”. Wedle Lewandowskiego, jak na dłoni widać, że w myśleniu o gospodarce, „obok ekonomii istnieje jakby antyekonomia. Coś jakby chemia i alchemia”.

W tym samym czasie Leszek Balcerowicz pisze poufny raport, poufny z wyraźną intencją by został ujawniony. To długi i przygnębiający tekst, gdzie wylicza wszystkie partactwa i zaniedbania obecnego rządu, którego jest przecież wicepremierem. „Grozi nam wzrost bezrobocia i chaos w służbie zdrowia”, ma miejsce „pogorszenie praktycznie wszystkich problemów odziedziczonych w 1997”.

AWS się odgryza, lecz jak na tak dużego lwa atakowanego przez małą i grzecznie uczesaną Unię, odgryza się bardzo niemrawo. W AWS-ie paranoja walczy ze zdrowym rozsądkiem. Jest nurt radiomaryjny ale jest też Rokita i Hall. A też żywe jest przerażenie, że rozwód z Unią, to wizja nowych wyborów do parlamentu. A przecież tyle stoików z miodem zostało otwartych. W sytuacji nowych wyborów SLD je wygrywa, na swoje nieszczęście. Trzeba być durkiem by brać sobie na głowę kraj z takimi problemami. Więc z radością czekają jeszcze dwa lata, aż koalicja skompromituje się do końca. Jest wiele niekompetencji, ale jest też spuścizna kilkunastu lat ekonomicznego bezsensu. Wielu obecnych liderów SLD popierało tamten system. Teraz będą korzystać z tego, że Polska długo jeszcze będzie wygrzebywać się z dawnej katastrofy. I boli, że w najbliższych latach nie ma raczej szansy na powstanie partii o profilu socjaldemokratycznym, która nie będzie obciążona dziedzictwem postkomunizmu. Mamy jednak większe problemy na głowie. A bęcwałstwo narodowe, które wylewa pomyje na postkomunistów, jest bardziej obrzydliwe. Niestety.

Koniec roku w błysku fajerwerków ukazuje śmietnik, w

którym żyję. Coraz więcej papierów, z napisanymi tekstami, których druk coraz szybciej blednie. Wydruki faksowe są nieczytelne już po roku. Coraz więcej fotografii, najpierw czarno-białych, potem kolorowych, ale ich kolory nie wydają się trwałe. A tam twarze odmienne od obecnych, jak wyrzut sumienia czasu – nie po to ktoś wymyślił entropię, abyśmy z niej kpili utrwalając co ma zniknąć. Listy, których żal mi wyrzucić sprawiają, że szuflady wydają się być w ciąży. Tak na fotografiach jak i w listach zmarli mieszają się z żywymi, ale listy żywych po latach, też martwe. W dzikiej desperacji pod koniec roku rzucam się by zrobić w tym porządek, ale przegrywam. Już nigdy nie zrobię porządku w słowach i w obrazach czasu, który minął. To one pewnego dnia zrobią ze mną porządek. Amen.

Niedawno zainstalowałem w komputerze e-mail, to jest ta nowa forma kontaktu, który wobec listu czy prawdziwej rozmowy w cztery oczy, jest mutantem tyleż pożytecznym co żalnym. Nie mogąc trafić samochodem do znajomych, w przyływie wielkiego gniewu kupiłem sobie telefon komórkowy. Niezwykłe urządzenie, bo zwiększa nasze poczucie bezpieczeństwa ale zwiększa też poczucie zagrożenia. Złe i dobre wiadomości docierają równie szybko. Czyli, jednak moje pokolenie załapało się na rewolucję, cywilizacyjną. Podstawowy problem jest jednak w komunikacji z samym sobą, czyli z własnym „ja”. Jesteśmy tak zabiegani, że nie mamy kiedy pogadać ze sobą. Nie mając też czasu by spotykać się z ludźmi, stosujemy zastępcze formy kontaktu. Posiadamy więc coraz więcej środków szybkiego, ulotnego kontaktu, gdy coraz mniej jest żywej tkanki spotkania.

Pani Frania, z podwarszawskiej wsi, która czasami sprząta moje mieszkanie, opowiada, jak to u nich na wsi zrobiła się marmolada ze spotkań między ludźmi. Kiedyś zachodziło się do sąsiadów, były pogaduszki, czasami było śpiewanie i muzykowanie. Istniała autentyczna wiejska kultura. Dzisiaj nie ma już nic. Rodzina siedzi przed telewizorem. Ze sobą nie gadają, najwyżej kłócą się, na jaki kanał przełączyć telewizor. Zwierząt w porę nie nakarmią, bo leci właśnie ciekawy film.

Polska, to mutacja tradycji szlacheckiej i chłopskiej. Wiesz której od wieków niszczone duszę, której tkanka gniła. Jak

niezwykłe są opisy wielkiego niemieckiego poety Heinego, który portretował w swoich reportażach polską wieś XIX wieku. Polska wieś po wojnie ruszyła na miasta. I częściowo je podbiła. Komunizm tworzył otwartą nomenklaturę, byli równi, równiejsi, ale równiejszym mógł być każdy. Wieś, to największy polski problem, od dziesięciu lat niewidziany, jak belka w oku. Gdy jedzie się samochodem, wystarczy odskoczyć kilka kilometrów w bok z głównej trasy, by ujrzeć inny świat, nieznan, obcy, nadgniły. On też się ciut zmienia, cywilizuje, ale za wolno. Dzisiaj gwałtownie spadają dochody rolników. Uderza to nie tylko w najbiedniejszych, ale też w tych, którzy są nadzieją polskiej wsi, dużo inwestują i powiększają gospodarstwa. Kiedy to piszę kraj jest niemal sparaliżowany przez chłopskie blokady dróg. Za chwilę mam jechać samochodem do Austrii, na narty, więc jestem wściekły na chłopów i na bezradny rząd. Pretekstem konfliktu są nieszczęsne wieprze, których się nie zarzyna, bo chłopom to się nie opłaca, ich skup jest poniżej tego co w nieszczęsne świnię wsadzili. Ile egzekucji zostało odroczone! Nie inaczej odracza się egzekucję kilkuset tysięcy wiejskich gospodarstw, które powinny zniknąć. Oblicza się, że z 2 mln powinno zostać 600 tysięcy. I co zrobić z tym paszтетem? Od lat lementuję, że brak wielkiej debaty na temat wsi, brak programu i koncepcji doprowadzi do wybuchu. Zalewa nas tania żywność z Zachodu. Nierentowni, nienowocześni chłopci żądają by ich marne gospodarstwa dotowało państwo. To tylko przedłuży agonię marnych gospodarstw i może zabić naszą ekonomię. Ale chłopci chcą żyć. To jest błędne koło. Ale nawet takie błędne koło można obracać i próbować otwierać lepiej i gorzej.

Znowu widzimy populistycznego przywódcę chłopskiej „Samoobrony” Andrzeja Leppera. Krzyczy: „rozwiązać ten sejm, bo to jest sejm antyludzki, antypolski”. Tu Lepper atakuje biskupów, przypomina jednemu, że nawet biskupów kiedyś w Polsce wieszano, no proszę, z powodu wieprzków chłopci nie boją się nawet Pana Boga. O rządzie Lepper mówi bez wahania, że to „rząd zdrady narodowej”, grozi chłopskim powstaniem. Ze wszystkich stron coraz głośniejsze są głosy, że trzeba robić powstanie. Ksiądz Bogusław Paleczny, wojowniczy duchowny, obrońca bezdomnych, wspiera Leppera. Na

jego wezwanie bezdomni mają stanąć u boku chłopów na barykadach dróg. To są na szczęście tylko marginesy Kościoła. Biskup Tadeusz Pieronek celnie definiuje sytuację „Metoda przyjęta przez protestujących rolników jest mniej więcej taka: jeśli mnie bolą zęby, to wybije zęby komuś innemu”. Prymas też ostro krytykuje chłopów, że mszczą się na niewinnych podróżnych. Już widzę siebie i mego kolegę profesora, jak stoimy, przed chłopskimi kłonicami na szosie, która ma nas wieść na alpejskie szlaki, a prymas nas broni przed chłopem. Ale widzi też mi się, że cena wieprzka dla chłopów ważniejsza niż słowa prymasa. Autorytet Kościoła jest w Polsce specyficzny i połowiczny.

A rząd skarży się, że Leppera podpuszcza SLD. Ten rząd raz mówi, że nie będzie z watażką gadać, a zarazem potem z nim rozmawia. To kolejny akt upokarzania rządu. A też pokaz niekompetencji, i jak to trafnie określił Adam Michnik, „Mieszanki tchórzostwa i arogancji”. A Polska jak stała, tak nierządem stoi. Wielu polityków AWS-u zaczyna krytykować własny rząd, że swą słabością się kompromituje. „On ma miękką charyzmę”, tak życzliwi pieśzcotliwie określali premiera, ale teraz miny im rzedną. Nie ma wątpliwości, że to byłby dobry dyrektor liceum. Mijają miesiące i coraz wyraźniej widać kiepskość kolejnych ministrów.

Nadszedł czas sumowania się różnych niekompetencji. Determinacja rządu by wprowadzić kilka reform na raz, przypomina słynną operację o jeden most za daleko, różni się od niej tym, że tych mostów jest kilka. AWS wykazuje się niekompetencją, i o dziwo cynizmem, co zawsze przypisywano SLD. Unia Wolności często trafnie diagnozuje błędy koalicjanta, ale przecież za sytuację na wsi, w służbie zdrowia, odpowiedzialne są wszystkie kolejne ekipy, a minister Balcerowicz zdaje się nie widzieć, że pełny liberalizm rzeczywiście doprowadzi do powstania na wsi.

Odchodzi ostatecznie generacja, która była mi bliska, nie tylko duchowo, odchodzą też ostatni przyjaciele mojego ojca. Z nimi umiera pamięć i tradycja przedwojennej polskiej inteligencji, myślenie romantyczne i otwarty polski patriotyzm, daleki od nacjonalizmu i bezmyślenia. Niedawno umarli: Marian Brandys, Juliusz Żuławski, Jerzy Turowicz.

Najlepiej znałem Żuławskiego, był ze wspaniałego klanu Żuławskich. Sąsiad z domu na ulicy Iwickiej. Ten dom pisarzy, to moja nienapisana książka, budzę się co rano z jej nienapisaniem. Widywałem go niemal codziennie przez tyle lat, a teraz mam tylko kilka okruszków wspomnień, które mieszczą się bez trudu na dłoni. Może najwyraźniej widzę go w jasnym świetle mojego dzieciństwa, a dzieciństwo ma inne światło niż lata późniejsze, gdy stoi w dramatycznym rozkroku między swoim balkonem a murem pobliskiej ruiny, której cegły podważa alpinistycznym czekaniem. A wszystko z powodu dzikich kotów, które po ruinie włączyły do mieszkania. Wyraźność tej sceny jest taka, jakby to było wczoraj. Zawsze mnie fascynuje jak niekonsekwentny jest mechanizm pamięci.

Jerzego Turowicza ostatni raz widziałem trzy lata temu. W gmachu telewizji na Woronicza szliśmy korytarzem, a korytarze pokryte linoleum, gdzie mieszkają pokolenia robaków, zrodzonych z cenzury i paranoi komunizmu. I tyle demonów w ścianach, niemal wszystkie włączyły za skórę nowych pracowników tego gmachu, bez względu na ich polityczną orientację. Pracownicy stają się pracownikami mafii, której na imię TVP. Ciekawe zjawisko. Połączenie pieniędzy i narcyzmu daje tytanowy stop. Idąc tym korytarzem mówiłem z Turowiczem o Radiu Maryja, o narastaniu w łonie polskiego Kościoła ciemnoty. Mówił jak bardzo jest tym strapiiony, „źle to widzę”, westchnął. I to westchnienie to moje ostatnie o nim wspomnienie.

*Gazeta Wyborcza* niemal oszalała z żalu, drukuje o Turowiczu kilka bitych stron, a na stronie pierwszej jest „ołtarz” z jego portretem. Niezwykle szanowałem Turowicza, ale ta suma żalu i relacji, to jaskrawa utrata proporcji wobec nieszczęść świata i Polski. I pomnik niepokoju środowisk liberalnych wobec tego, co w naszym Kościele mroczne i chmurne. Ludzie tacy jak Turowicz zdawali się te chmury zaklinać, by się rozproszyły. To było działanie pocziwe, ale czy skuteczne? Sam Turowicz stał się wielkim wrogiem naszych radykalnych katolików. I jest bolesny brak autorytetów. Kiedy odchodzą ludzie tacy jak Turowicz, rośnie puste po nich miejsce, kto w nie wejdzie? Nieubłaganie znika pewna formacja, a po niej zostanie „nie ma”. Autorytetami

stają się prezenterzy telewizyjni, gładkie mydłki, z flakonem perfum lub wody kolońskiej zamiast mózgu.

A jak na śmierć Turowicza zareagował związany z Radiem Maryja *Nasz Dziennik*, o ileż bardziej jednak od rydzikowego radia umiarkowany? Na pierwszej stronie tego katolickiego dziennika ani słowa o tym. Na drugiej, jest kilka skąpych zdań, z taką oto wzruszającą puentą: „Jego odejście stało się okazją do wypowiedzenia rozmaitych, nierzadko skrajnie różnych, sądów. Niezależnie od pojawiających się opinii, zmarłego polecamy modlitwie i oddajemy Bożemu Miłosierdziu”. Rzeczywiście, miłosierni.

*Myśl Polska* już nie ma miłosierdzia, niby katolicka, a nie słucha nawet Papieża, który publicznie i z bólem żegna się ze swoim przyjacielem. Piszą: „Jego rzeczywistą ‘zasługą’ było wytrwałe podkopywanie tradycyjnego katolicyzmu w Polsce i coraz bardziej groteskowy filosemityzm”.

Radio „Tok-FM” rozmawia ze słuchaczami, a nawiązując do śmierci Turowicza, pyta, czy jest podział w polskim Kościele na Kościół otwarty i zamknięty. Wierni gniewają się, nie ma konfliktu, Kościół jest wspaniały i jeden. Płynię z telefonów rzeka agresji. Na tym polskim skrzyżowaniu gdzie stoi religia, Kościół, sprawy narodowe, jest w sporej części polskich głów bigos i groch z kapustą. Co za potrawa!

Mariana Brandysa widziałem jeszcze niedawno w Oborach pod Warszawą. Obory, piękny pałac, dom pracy twórczej, produkt Polski Ludowej, gdzie zapewniono inżynierom ludzkich dusz luksusowe warunki. Gdy zawiedli partię, a nawet zbuntowali się, przywileje odbierano powoli i opornie, Obory zostały. Jak na szybko montowanym filmie widzę na tarasie pałacu: Słonimskiego, Wańkowicza, Parandowskiego, Andrzejewskiego, w koronach włosów najpierw ciemnych, potem siwych. Ile książek tam powstało, które dzisiaj w Hadesie, ile wielkich afer politycznych, artystycznych, erotycznych. Ile załamów, przełomów, dylematów politycznych, mąk twórczych. Teraz, gdy idę oborską ścieżką, widzę jak wśród pogrubionych drzew, idzie obok mnie koniec pewnej epoki. Stajemy przy XIX-wiecznym grobie psa, ten grób też umiera.

Jest wielka kompromitacja wielkich reform. Były one niezbędne, ale ich przygotowanie to pokaz nieudolności, amatorstwa i partactwa. To był skok do basenu bez wody. Może nie na głowę ale na kruche nóżki. I spójrzmy prawdzie w oczy. To nie jest tylko partactwo jakiejś partii politycznej, obawiam się, że to uniwersalne wschodnioeuropejskie partactwo. Do mojego kwartału przybył akt segregacji śmieci. Chwila małego triumfu! Nareszcie będzie śmieciowy zdrowy rozsądek i nie zasypią nas odpady. Już sam fakt segregacji śmieci, może być aktem obywatelskiej solidarności, choćby ze środowiskiem naturalnym. Jeśli w innych sprawach tak trudno o poczucie dobra wspólnego, to skoncentrujmy się na śmieciach. Znam kraje gdzie tak jest. Na moim Mokotowie górnym najpierw ustawiono żółte pojemniki, potem miały stanąć pojemniki zielone, na szkło, ale nie stanęły. Czekałem na akcję informacyjną, powinna trwać przez miesiące, przecież ludzie u nas nie mają pojęcia, jak i po co? Zamiast tego pewnego wieczora do mych drzwi zastukała dozorczyńni. Przyniosła plastikowe worki (jej mąż w tym czasie pił w bramie wino z menelami, ale póki co nie ma worków na pijaków). Na workach napisano, ale mało przejrzyście, co i gdzie wrzucać. Te worki przybyły raczej jednorazowo, a dozorczyńni była raczej zdezorientowana. Będąc częścią bałaganu, naszym zwyczajem, narzekala na bałagan. Do dzisiaj się biedzę, gdzie co wrzucać. Inni sąsiedzi na ogół nie przejmują się. Jak wyrzucali hurtem śmieci, tak wyrzucają. Całą akcję przeprowadzono tak, jakby chciano powiedzieć ludziom „to właściwie nie ma sensu”. Czy o wiele lepiej przygotowano wielkie polskie reformy? To nasze bałaganiarstwo stawia przed nami pytanie, czy Polska nie jest jednak skazana przez czas jakiś, a powiedzmy...pewną drugorzędność?

Ale na każdym kroku są przecież dobre wiadomości. Ekonomia, schłodzona słusznie, czy nie, są na ten temat nierozstrzygalne spory, jednak się rozwija. Rozwija się nawet myślenie liberalne w sprawach międzyludzkich. Jest wrzask bęcwałstwa, który może zbyt gorliwie odnotowuję. To demokracja dała im megafony, a nawet stacje radiowe, więc wydaje się, że Polacy są coraz bardziej ksenofobiczni, ale to nieprawda. Powtórzono badania sprzed dziesięciu lat i okazuje

się, że dzisiaj o ponad 10% więcej Polaków jest skłonnych akceptować Chińczyka, Litwina, Murzyna, Żyda, Rosjanina, jako kandydata na męża lub żonę dla kogoś bliskiego. Wzrost tolerancji potwierdzają moje szkolne ankiety. W młodym pokoleniu to zjawisko rośnie lawinowo. A z pobliskiej restauracji przynoszą mi jedzenie na telefon. Codziennie za wycieraczką samochodu znajduję inną ofertę np. „Zupełnie bez zahamowań. 18-letnie nimfomanki, pełna dyskrecja, nastrojowy lokal, dojazd do klienta. Luksusowe. Całodobowo.” Mój luksus, że z tego nie korzystam. W pobliżu domu odkrywam salon masażu, co jest zbawieniem dla moich pleców. I coraz więcej wokół nowych sklepów, a w nich więcej towaru i miła obsługa. Ostatni moi znajomi, którzy nie mieli telefonów, dostali je. We Wrocławiu spiesząc się na dworzec, kupuję marynarkę, nareszcie trafiłem na taką, jakiej szukałem. Była jednak nieco za długa, a pociąg mi uciekał. Ale bez problemu skrócono mi ją gratis w warszawskim sklepie tej samej firmy. A kiedy wykupywałem narciarskie ubezpieczenie w „Warcie”, pani odpukała aby mi się nic nie stało i życzyła miłego pobytu w górach. Panu Darkowi D. z parteru sąsiedniego domu, który tak dzielnie walczy o ład, czystość i kulturę naszego podwórka udało się nie tylko zmusić administrację by zamontowała światło nad śmietnikiem, w bramach stanęły blokady, by nie najeżdżały nas samochody. I mają nawet odremontować bramę, którą wkracza się na moje podwórko. Piszę teraz jak poczciwa ciotka pisuje pochwalne listy do rubryki „listy” w dzienniku. Ale to jest właśnie codzienne życie, ono jednak się poprawia, powoli i czasami koślawo, jak rosną drzewa.

SMECZ

## Sąsiedzi

### Kronika niemiecka

GOSPODARKA I SPRAWY SOCJALNE: Zdaniem Przewodniczącego Zarządu koncernu Siemens Heinricha von Pierera, Polska zużywa w przeliczeniu na głowę mieszkańca trzy razy więcej energii niż przeciętnie w krajach Unii Europejskiej. Twierdzi on, że wprowadzenie unijnych norm ekologicznych mogłoby spowodować wydatki do wysokości 240 miliardów dolarów. Siemens chce zwiększyć swe zaangażowanie w Polsce. ■ Mimo kryzysu w Rosji handel Niemiec z Europą Wschodnią wzrósł do października o 19,5% osiągając rekordową sumę 110 miliardów marek. ■ Po Stanach Zjednoczonych Niemcy są drugim co do wielkości eksporterem na świecie. ■ Pod względem własnych inwestycji zagranicznych Niemcy znajdują się na trzecim miejscu na świecie po USA i Wielkiej Brytanii, natomiast jako miejsce dla inwestycji zagranicznych wśród krajów uprzemysłowionych są najmniej atrakcyjnym krajem i zajmują miejsce ostatnie. ■ Według oceny prezydenta Niemieckiego Związku Rolników DBV Sonnleitnera, 1/3 niemieckich gospodarstw rolnych boryka się z bardzo poważnymi trudnościami, a od 25 tys. do 530 tys. zagrożonych jest w tym roku upadłością. ■ Według wewnętrznej ekspertyzy fachowców z UE zajmujących się polską gospodarką budowlaną, w kontekście planów przyjęcia Polski do Unii, liczba polskich firm budowlanych przy granicy polsko-niemieckiej – działających w większości na potrzeby rynku niemieckiego – w tym głównie berlińskiego, zwiększyła się w ub.r. z 20 do 40. Obecnie 80% cementu używanego na budowach w Berlinie pochodzi z Polski. Przeciętne zarobki robotników polskich w Niemczech są o 30% niższe od zarobków robotników niemieckich. Eksperti sądzą, że konkurencja polskich firm budowlanych jeszcze wzrośnie, co spowoduje upadek dalszych firm tej branży w

Berlinie, gdzie bezrobotny jest obecnie co czwarty robotnik budowlany. ■ 40% gospodarstw domowych w Niemczech posiada mieszkania własnościowe bądź domy. ■ POLITYKA: Prezydent niemieckiego Bundestagu Wolfgang Thierse zaapelował do USA o zwrot dokumentów z archiwów STASI (enerdowskiej bezpieki), które w początkowym okresie przemian politycznych w NRD trafiły do Stanów Zjednoczonych i Rosji. Zawierają one nazwiska 13.000 szpiegów STASI i dane na temat enerdowskiego wywiadu. Thierse twierdzi, że dokumenty mogą pomóc jako dowód przeciwko 20.000 byłym enerdowskim szpiegom za granicą. ■ Zdaniem Joachima Gaucka, do kierowanej przezeń instytucji, zajmującej się badaniem akt personalnych i archiwów STASI, co miesiąc wpływa ok. 10.000 nowych podań od osób prywatnych, chcących uzyskać wgląd do swych teczek. W Urzędzie Gaucka pracuje na etatach prawie 3.000 osób. Od roku 1991 działalność tej instytucji kosztowała, zdaniem Gaucka, 1,4 miliarda marek. ■ Według najnowszych danych, na terenie III Rzeszy pracowało w czasie II wojny światowej ogółem 5,6 miliona robotników przymusowych przeważnie przy produkcji zbrojeniowej. ■ Republika Federalna odrzuca wszelkie żądania reperacji wojennych ze strony Grecji, która domaga się 50 miliardów marek w ramach odszkodowań za wymordowanie 130.000 cywilów, śmierć 300.000 osób zmarłych na skutek akcji władz okupacyjnych i zniszczenie 125.000 budynków oraz zwrotu 25 miliardów marek „przymusowego kredytu”, jaki Bank Rzeszy wymusił na bankach w Grecji. Rząd Niemiec wskazywał w tym kontekście na brak „Układu pokojowego” z Grecją oraz na fakt wypłacenia w roku 1960 odszkodowań w wysokości 115 milionów marek, czyli około 270 marek za osobę zabita. Obecnie twierdzi się, że żądania te są bezpodstawne. ■ Wywłaszczeni w NRD posiadacze parceli i gruntów nie mają prawa do ich zwrotu także wtedy kiedy powód wywłaszczenia zniknął z chwilą upadku NRD. ■ W ramach postępowań przeciwko członkom władz byłej NRD oskarżonym o popełnienie przestępstw rozpatrzono 22.550 wniosków o wszczęcie procesu, z czego 21.270 postępowań zostało wstrzymanych, a tylko 774 pozostaje otwartych. Ogółem wydano 506 aktów oskarżenia przeciwko 877 osobom, z których skazanych zostało jedynie 211 osób, przeważnie na kary w zawieszeniu. Kary więzienia otrzymały 22 osoby, w tym trzy za nadużycie prawa, dwie za malwersację,



jedna za działalność w STASI, 5 za przestępczość gospodarczą i 11 za zastrzelenie uciekinierów. Postępowanie sądowe z „powodu niezdolności do udziału w procesie ze względu na stan zdrowia” wstrzymano ostatnio przeciwko naczelnemu szefowi STASI Erichowi Mielke, przedterminowo z więzienia zwolniony został też ostatni minister obrony NRD Heinz Keßler. ■ Ekshumacja zwłok 32 mężczyzn pochowanych w masowym grobie koło Magdeburga wykazała, że są to żołnierze sowieccy torturowani i zamordowani następnie przez KGB w lecie 1953 za odmowę strzelania do protestujących osób w czasie tzw. „Powstania 17 czerwca” w 1953 roku. ■ Z najnowszych danych naukowców rosyjskich i niemieckich wynika, że w specjalnych obozach KGB na terenie byłej NRD z więzionych w latach 1945-1950 ogółem 157 tys. osób, 120 tys. miało obywatelstwo niemieckie, co trzecia z więzionych osób straciła tam życie przeważnie na skutek głodu, chorób i zimna. ■ Na początku lat 50-tych w szeregach partii komunistów enerdowskich SED znajdowało się 100.000 byłych członków NSDAP przyjętych w ramach ich integracji społeczno-politycznej. ■ W ciągu następnych trzech lat wysokość odszkodowań państwowych dla ofiar terroru nazistowskiego osiągnie 126 miliardów marek. ■ Nowy kanclerz Niemiec Gerhard Schröder uzasadnił odmowę powtórzenia formuły „Tak mi dopomóż Bóg” podczas ceremonii zaprzysiężenia tym, że chociaż „jest członkiem Kościoła ewangelickiego” sądzi, iż „religia jest sprawą prywatną”. ■ Partie CDU, SPD i FDP odrzuciły propozycję zmiany niemieckiego hymnu narodowego przedłożoną przez przedstawicieli partii Sojusz 90/Zieloni jako przyczynek do wewnętrznego zjednoczenia Niemiec. ■ Kardynał Joachim Meisner z Kolonii spotkał się z krytyką rządu za porównanie pigułki antycyżowej RU 486 z „cyklonem B”. ■ W drugim kwartale ubiegłego roku liczba zabiegów aborcyjnych w Niemczech zmniejszyła się. Zwiększyła się natomiast ponownie w Bawarii, gdzie panują najostre przepisy antyaborcyjne. ■ W berlińskich szkołach wprowadzona zostanie obok nauki religii konfesji katolickiej i ewangelickiej nauka Koranu dla uczniów wyznania mahometańskiego. ■ W tym roku liczba osób odmawiających odbycia służby wojskowej ma osiągnąć rekordową wysokość 170 tysięcy. ■ W roku ubiegłym, w Saksonii, z obowiązku odbycia zasadniczej służby wojskowej zwolniono 78 osób z powodu ich przekonań i akcji skrajnie prawicowych. ■ Liczba wystąpień z obu Kościołów w Niem-

zech spadła o 7% w porównaniu do roku poprzedzającego do 120 tysięcy. ■ Podczas tegorocznego Kongresu Towarzystw Niemiecko-Polskich (50 organizacji i 5 tys. członków) i Towarzystw Polsko-Niemieckich (19 organizacji i 600 członków), zorganizowanego w Suhl, zażądano zmniejszenia dotacji na działalność organizacji niemieckich wypędzonych BdV i przeznaczenia ich na działalność Towarzystw. ■ Od chwili założenia przed 25 laty, organizacja Maximilian-Kolbe-Werk zebrała 75 milionów marek z datków, które przeznaczyła na pomoc dla byłych polskich więźniów obozów koncentracyjnych bez wymagania od nich dowodów na prawne podstawy ubiegania się o pomoc, stwierdził na uroczystości jubileuszowej w Berlinie jej prezydent Werner Remmers. Obok pomocy finansowej organizacja udziela pomocy materialnej, medycznej i humanitarnej i obok założonego w Krakowie Centrum Porad założyła w roku 1987 dom starców dla byłych więźniów w Węgierskiej Górze. ■ Nowy minister spraw wewnętrznych Otto Schily z SPD stwierdził, że dalszy napływ cudzoziemców przekracza granice możliwości Niemiec. ■ Z 8.300 do 11.000 wzrosła liczba osób w zeszłym roku nielegalnie przewiezionych do Niemiec. ■ SPD i Zieloni mimo ostrego sprzeciwu partii CDU i CSU zamierzają wprowadzić możliwość zatrzymywania obywatelstwa kraju pochodzenia przez cudzoziemców, chcących nabyć obywatelstwo niemieckie. ■ Około 2 milionów obywateli Niemiec, w tym niemal 200.000 Turków, posiada także obywatelstwo innego kraju. ■ Dyplomaci zagraniczni na placówkach w Berlinie wyrazili swe zaniepokojenie z powodu napadów z pobudek rasistowskich na cudzoziemców w Brandenburgii. ■ Wyrokiem Sądu Pracy w Berlinie wypowiedzi antycudzoziemskie i rasistowskie mogą być powodem zwolnienia osób uczących się zawodu. ■ W Berlinie doszło do kilku spektakularnych aktów antysemitycznych. W wyniku zamachu bombowego zniszczono płytę nagrobną na grobie byłego przewodniczącego Centralnej Rady Żydów w Niemczech Heinza Galińskiego, a w centrum Berlina Wschodniego nieznanymi sprawcami wypuścili świnie z umieszczonym na jej grzbiecie nazwiskiem obecnego przewodniczącego Rady Ignatza Bubiśa. ■ Izrael odmówił wpuszczenia do kraju działacza skrajnie prawicowej partii Republikanów Siegerista. ■ Jako przewodniczący tej partii został zatwierdzony na dalsze dwa lata 43-letni Rolf Schlierer. ■ W czasie prywatnego spotkania prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego z kanclerzem Gerhardem

Schröderem w Berlinie poruszone zostały m.in. takie tematy, jak rozszerzenie Unii Europejskiej i NATO, kwestie stosunków polsko-niemieckich i sytuacji w obu krajach. Mówiono też o Rosji i Ukrainie. Na konferencji prasowej prezydent stwierdził, iż kanclerz zadeklarował gotowość płacenia przez Niemcy dotychczasowych składek, ale tylko pod warunkiem, że te środki będą kierowane na rozszerzenie Unii i dodał: „Mamy także możliwość współdziałania na obszarze współpracy z takimi krajami, jak kraje bałtyckie i Ukraina. Wydaje mi się, że nowy rząd niemiecki po pierwszym okresie, w którym z natury rzeczy skoncentrowany jest na sprawach wewnętrznych, zacznie w coraz większym stopniu patrzeć na kwestie związane z otoczeniem, a w tym otoczeniu Polska jest największym po Francji sąsiadem Niemiec”. Na moje pytanie o ocenę reakcji na jego inicjatywę zwrotu dzieł kultury, Aleksander Kwaśniewski powiedział, że w stosunkach polsko-niemieckich „nie jest to sprawa o znaczeniu najistotniejszym, skoro już żyliśmy z tym tyle lat. Niemniej trzeba tę sprawę kontynuować i rozmawiać. Potrzebna jest tu rozmowa ekspertów, intelektualistów i polityków. Tak rozumie to też kanclerz Schröder. I rozumie to, co mówiłem w wywiadzie i powtórzyłem podczas spotkania, że pierwszy krok należy do Niemiec. Niemcy mają szczególnie moralny obowiązek, bowiem wiele dzieł sztuki w Polsce zostało zniszczonych w wyniku wojny, którą oni rozpoczęli, wiele jest ciągle zaginionych, poszukiwania odbywają się, powiedziałbym, dość leniwie. Niemcy muszą zastanowić się, jak z tego wybrnąć. W moim przekonaniu jest szansa, żeby przez spokojną dyskusję wyjaśnić sobie wszystkie argumenty tak, żeby nikt nie czuł się pokrzywdzony.”. Na me pytanie o jego stosunek do prac nad „kartą Polaka” i jego podejście do polskiej emigracji prezydent odpowiedział: „Sądzę, że Polacy mieszkający w świecie mają pełne prawo mieć poczucie polskości i włączać się do tego, co w Polsce się dzieje, działać zarówno społecznie jak i gospodarczo. (...) Mnie ogromnie cieszy coraz więcej osób, które powracają do Polski (...) Oni mają dom w Ameryce czy Francji, ale także mieszkanie w Warszawie. To bardzo pozytywne, bo my z tego potencjału umysłowego tych ludzi, z potencjału energii możemy korzystać. I są tego bardzo pozytywne przykłady. (...) W ramach mej inicjatywy, w trybie uproszczonym już ponad 200 osób otrzymało z powrotem polskie obywatelstwo (odebrane im w roku 1968 – AS). I mogę obiecać wszystkim

środowiskom emigracyjnym, że jeśli są takie sytuacje, iż ktoś ze względów politycznych został pozbawiony obywatelstwa, to jeżeli tylko zwróci się do mnie nawet najkrótszym listem, to postaram się, żeby ta krzywda została naprawiona. Traktuję to jako swój moralny obowiązek”. ■ KULTURA I POLONICA: Na skutek nacisku środowisk żydowskich w Niemczech i za granicą, z programu Teatru im. Maxima Gorkiego w Berlinie zdjęta została sztuka autorstwa Reinera Fassbindera pt. „Der Müll, die Stadt und der Tod” (Śmieci, miasto i śmierć), w której dopatrują się one elementów antysemickich (por. *Kultura*, 10/98). ■ Z powodu przemówienia wygłoszonego podczas uroczystości wręczenia Pokojowej Nagrody Księgarzy Niemieckich przez jej ubiegłorocznego laureata, znanego pisarza niemieckiego Martina Walsera, doszło w Niemczech do trwających do dziś niezwykle ostrych dyskusji i kontrowersji. Ich powodem jest jego żądanie „zakończenia instrumentalizacji Holocaustu”, który używany jest „jako moralna maczuga”. Prowadzi to do tego, że „zamiast być wdzięczny za stałą prezentację naszej hańby, zaczynam się od tego odwracać”. Tego rodzaju postępowanie nie służy nikomu, bowiem „jego motywacją nie jest nakaz pamięci, lecz instrumentalizacja Auschwitz do innych celów”. Wypowiedź Walsera rozpoczęła największą i najgwałtowniejszą w powojennych Niemczech debatę publiczną na temat obchodzenia się z najnowszą historią tego kraju. Do debaty włączyli się najwyżsi rangą politycy, przedstawiciele różnych środowisk i organizacji. W obronie Walsera przed atakiem i ze strony czołowych przedstawicieli środowisk żydowskich, stanęli liczni intelektualiści i politycy. W liście do berlińskiej gazety *Der Tagesspiegel* jeden z czytelników napisał: „Pan Walser wyraził tylko to, co myśli ponad 50% wszystkich Niemców, ale nie powiedzą tego otwarcie, gdyż musieliby się obawiać, że natychmiast zostaną uznani za „antysemitów” lub „neonazistów”. ■ Mimo wielu narad i dyskusji na forum Berlina i federalnym nie uzgodniono kształtu i miejsca pomnika pamięci ofiar Holocaustu. Środowiska żydowskie żądają lokalizacji nonumentalnego projektu przy Bramie Brandenburskiej, przeciwnicy domagają się zamiast niego „gmachu spotkań i pamięci”. ■ Podczas kongresu zjednoczeniowego PEN-Clubu zachodnio- i wschodnioniemieckiego sekretarzem generalnym wspólnej organizacji został pisarz wschodnioniemiecki Christoph Hein. ■ Laureatką prestiżowej nagrody niemieckiej Akademii Języka

i Poezji za rok 1998 została pisarka austriacka Elfriede Jelinek. ■ Główną nagrodę na Festiwalu Filmu Wschodnioeuropejskiego w Cottbus zdobył film kirgiskiego reżysera Aktana Abdikalikowa. ■ Z powodu trudnej sytuacji finansowej gmin co roku w Niemczech zamykanych jest 300 bibliotek publicznych. ■ Polski Instytut Kultury w Berlinie zorganizował wystawę plastyczną pt. „Małe jest piękne” z udziałem artystów z Niemiec, Litwy, Polski, Rosji, Białorusi i Japonii. ■ Udział filmów niemieckich w kinach w Niemczech spadł w roku ubiegłym z 17 na 10%. ■ W Berlinie odbył się Międzynarodowy Kongres Pisarzy pt. „Europa – Marzenie czy Widmo”. Udział w nim wzięli m.in. Mario Vargas Llosa, Györgi Konrad, Jorge Semprun i Andre Gluksmann. ■ W 25-tysięcznym mieście Reinbek (nieдалеко Hamburga), w którym co roku ma miejsce ponad 300 różnych imprez kulturalnych, zorganizowany został „Miesiąc kultury polskiej”. ■ Według danych niemieckich od 1991 roku liczba uczniów w Polsce uczących się języka niemieckiego wzrosła z 664.000 do 1,6 miliona. W całej byłej Europie Wschodniej niemiecki znajduje się na drugim miejscu po angielskim. ■ Największe wsparcie finansowe wśród działających w Berlinie wolnych teatrów o wysokości 400.000 marek otrzymał od senatu miasta „Teatr Kreatur” prowadzony przez polskiego malarza Andrzeja Worońca. Senat pokrywał też będzie opłaty za wynajem pomieszczeń. ■ UNESCO włączyło Weimar do obiektów „światowego dziedzictwa kulturowego”. ■ Polski Instytut w Lipsku w ramach cyklu programowego „Nasi sąsiedzi” zorganizował w grudniu spotkanie pt. „Patrz, Litwa...” połączone z projekcją filmu Vity Zlakeviciute-Drygas o tym samym tytule oraz wystawę fotograficzną pt. „Polacy, Niemcy i Kaszubi”. ■ Według wypowiedzi dyrektora Collegium Polonicum w Ślubicach 20% spośród ogółem 600 studentów mają stanowić studenci z Niemiec. ■ Nowym przewodniczącym Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Bonn został Günter Ermisch. ■ Z okazji 250 rocznicy urodzin poety rok 1999 obchodzony jest w Niemczech jako „Rok Goethego”. ■ Od stycznia br. języki oficjalnie uznanych mniejszości narodowych w Niemczech (m.in. dolno- i górnoserbskośluzki, fryzyjski, duński oraz język niemieckich Sintów i Romów) znajdują się pod specjalną ochroną zgodnie z Kartą Europejską. ■ W dniach od 22 do 29 listopada odbyły się szeroko zakrojone „Dni kultury polskiej w Brunszwiku”. ■ Kolejny krok na

drodze do zjednoczenia Polonii w Republice Federalnej, dokonany podczas Walnego Zebrania Polskiej Rady w Niemczech 17.10.1998 r., stał pod znakiem... wykluczenia 5 dotychczasowych członków. Ostatnim krokiem w kierunku pełnego zjednoczenia powinno być już chyba tylko wykluczenie pozostałych członków i rozwiązanie się Rady. Do wykluczonych organizacji należą: Związek Krajowy w Szlezwiku-Holsztynie z Kilonii, Polskie Centrum Kultury i Mediów „Zamek Wildenburg” z Kolonii, Polskie Media „Nord” z Kilonii, Polska Rada Społeczna z Berlina, Związek Nauczycieli i Pedagogów „Lingua Polonica” z Bremy.

Andrzej STACH

## Litwa ostatnim ogniwem w integracji nordycko-bałtyckiej

Litewski dziennik businessu *Verslo Zinios* opublikował niedawno dane dotyczące zagranicznych inwestycji na Litwie: pierwsza dziesiątka największych inwestorów (do października 1998 włącznie) przedstawia się następująco – dla przejrzystości podajemy wszystkie liczby w milionach szwedzkich koron (1 USD = 7,85 SEK):

Szwecja	3.001
Finlandia	2.583
USA	2.209
Niemcy	1.002
Dania	833
Wielka Brytania	742
Luksemburg	474
Irlandia	467
Norwegia	454
Estonia (sic!)	383

Wysforowanie się Szwecji i Finlandii na pierwsze dwa miejsca wśród inwestorów na Litwie oznacza, że już w całym Balticum państwa nordyckie mają pozycję dominującą i to w dodatku w kluczowych sektorach (telekomunikacja, bankowość, mass media, przemysł lekki). Zarysowuje się dość wyraźna tendencja tworzenia zintegrowanego w dużym stopniu bloku gospodarczego z pięciu państw nordyckich i trzech bałtyckich.

Jest dość oczywiste, że wielcy inwestorzy nie mogą interesować się pojedynczymi, stanowiącymi rynek mikroskopijny, państwami bałtyckimi, a jedynie całym regionem. Dlatego nordyccy politycy i business od chwili rozpadu Związku Sowieckiego traktować chcieli Balticum jako jeden obszar, integrowany z Norden przynajmniej gospodarczo. Przeciwno takiemu łącznemu traktowaniu Balticum gwałtownie protestowały same państwa bałtyckie. Stosunki między nimi były napięte. Do tego doszła później bezkompromisowa rywalizacja w wyścigu do Unii Europejskiej. Ostatecznie – co było do przewidzenia – wygrała go Estonia, zakwalifikowana do formalnych negocjacji.

Nikt nie ma zamiaru deprecjonować zdumiewających wręcz osiągnięć Estonii. Pod wieloma względami było jej zresztą łatwiej niż Polsce – nie miała Estonia przemysłowych dinozaurów rozdrobnionego rolnictwa czy nadmiernie rozbudzonych aspiracji konsumpcyjnych ludności, a związki zawodowe jeszcze dziś są w Estonii pojęciem mało znanym. Nie mając liczącej się opozycji, śmiało sięgała przy budowie niepodległego państwa po cudzoziemców (np. ojcem estońskiej reformy walutowej jest Szwed, Bo Kragh) i własną emigrację, obsadzając nią zwłaszcza szczeble wykonawcze, wymagające bardzo konkretnych umiejętności. Będąc społeczeństwem kultury chłopskiej, z surową, luterańską tradycją pracy i oszczędzania, mogli Estończycy dość bezlitośnie wprowadzać reformy; wolnorynkowy szok, jaki estońscy neoliberalowie zafundowali swojemu społeczeństwu był znacznie boleśniejszy od terapii Leszka Balcerowicza, a kraj ich został w maksymalnym stopniu otwarty dla zagranicznych inwestorów. Bardzo ostro ruszyła więc prywatyzacja: w latach 1993-98 sprzedano 668 firm o wartości 873 milionów koron (np. już 90%

bankowych aktywów Estonii znajduje się w rękach prywatnych), a z początkiem lutego ogłoszono plan zakończenia prywatyzacji w roku bieżącym. Nie mając liczącego się przemysłu, postawili Estończycy na usługi, dziś wytwarzające aż 70% PKB, w tym na turystykę, marketingowaną w sposób może i przesadnie agresywny (co jednak daje wyniki, skoro półmilionowy Tallin odwiedza co roku 3,5 miliona turystów) dochodzi tzw. ekoturystyka na estońskie szkiery, do rezerwatów przyrody etc.).

Poparcie dla Litwy było z różnych względów najślabsze: bo to kraj katolicki i z uporem w eksploatacji rzeczywiście niebezpiecznej elektrowni jądrowej w Ignalinie, a ponadto – nie posiadający w Norden swojej emigracji. I ponownie dała Estonia dowód swojego – tak cenionego w Norden – chłopskiego praktycyzmu: gdy tylko osiągnęła cel główny, dopuszczenie do negocjacji o członkostwie, powróciła nagle do idei ścisłej kooperacji państw Balticum. Często ci sami estońscy politycy, którzy jeszcze niedawno podkreślali, że nie mają nic wspólnego z Bałtami oraz grozili możliwością wprowadzenia wizowego obowiązku dla Litwinów i Łotyszy, teraz zaczęli mówić o wspólnocie losu oraz kulturowych więzach trzech państw bałtyckich i wysuwać różne pomysły wspólnego działania; zwłaszcza zainteresowani są kooperacją gospodarczą i wspólnym przyciąganiem poważnych inwestorów zagranicznych. Jest to i zgodne z życzeniami państw nordyckich, i logiczne. Jeżeli jakiś wielki koncern będzie działać we wszystkich trzech krajach bałtyckich, to może na tym skorzystać i Estonia (która członkiem Unii zostanie w pierwszym rzucie), i Litwa oraz Łotwa (które później będą przyjęte do europejskiego klubu). Mówiąc szczerze, stracić mogą tylko nordyccy pracobiorcy, co już dziś ma miejsce. Przykładowo – Baltic Color, *joint venture* szwedzkiej firmy Alcro-Beckers AB i fińskiej Tikkurila Paints Oy, opanował bałtycki rynek farb i lakierów oraz rozpoczął eksport z Balticum do Szwecji, co spowodowało zamknięcie dwóch szwedzkich fabryk.

Dyrektor Neste Balticum, Arvo Ruotsalainen podał, iż na niewielkim obszarze trzech państw bałtyckich koncern dokona inwestycji o łącznej wartości 95 milionów dolarów, ze szczególnym uwzględnieniem zaniebdywanej dotąd Litwy, gdzie Neste m.in., planuje łącznie 58 stacji benzynowych.

Przy okazji nadmienimy, że zachodnie zainteresowanie litewskim rynkiem paliw płynnych wywołuje wielki niepokój dotychczasowego potentata w tym kraju, jakim jest rosyjski Lukoil. Fakt, że amerykański koncern Williams International kupił za 150 milionów dolarów 33% rafinerii Mazeikiu uznał Lukoil za dodatkowe zagrożenie i zredukował swoje dostawy surowej ropy. Jest to desperacka próba obrony, rykoszetem godząca w obsługujących litewską rafinerię rosyjskich producentów.

Oczywiście inny jest klimat psychiczny w Estonii (gdzie całkowita prywatyzacja w tym roku będzie zakończona), a inny – na Litwie (gdzie prywatyzacja dopiero się zaczyna). W kraju liczącym 3,8 milionów mieszkańców pochodzące z Norden 890 milionów dolarów może się Litwinom wydawać jakąś koncentracją kapitału. Drugi sekretarz szwedzkiej ambasady w Wilnie, Björn Liderfalck przyznaje, iż wywołuje to czasami pewne obawy gospodarzy, zwłaszcza iż kapitał szwedzki ulokowany jest w dość newralgicznych sektorach. Jednak w ostatnich latach rozsądek Litwinów znacznie wzrósł, a głosy o *wyprzedaży kraju* są coraz rzadsze, zwłaszcza iż często zachodzi możliwość wyboru między kapitałem nordyckim lub rosyjskim. Tak np. wśród chętnych do nabycia Lisco (Lithuanian Shipping Company) znajdujemy sześciu armatorów z Norden i jednego cypryjskiego: Menzi Navigations, w której to firmie są też pieniądze rosyjskie.

Gospodarcza integracja dwóch regionów, bałtyckiego i nordyckiego, i tak nastąpi, a w interesie Litwinów leży, aby nie byli z niej wyłączeni.

Anna DEKLICK

## Kronika ukraińska

13 grudnia 1998 obchodzono w Ukraińskiej Wolnej Akademii Nauk w Nowym Jorku jubileusz 90-tych urodzin uczonego, krytyka literackiego i publicysty, Jurija Szewelowa, autora kapitalnych prac z dziedziny ukraińskiej porównawczej lingwistyki, historii literatury i szkiców publicystycznych. Szewelow drukował swoje prace w *Kulturze* pod pseudonimem Jurij Szerech. ■ Pod koniec ubiegłego roku obchodził 80-lecie Mychajło Woskobijnyk, wybitny polityk pochodzący ze wschodniej Ukrainy. Wraz z pisarzem Iwanem Bahrianym przeciwstawiał się przymusowej repatriacji z Niemiec po drugiej wojnie światowej. Był redaktorem pisma nowej emigracji *Ukraiński Wisti*, współorganizatorem „Ukraińskiej Rewolucyjno-Demokratycznej partii”, przewodniczącym parlamentu „petlurowskiego rządu emigracyjnego”; ■ 5 lutego 1999 zmarł w Monachium w wieku 92 lat Iwan Koszeliweć, historyk ukraińskiej literatury okresu sowieckiego, długoletni redaktor miesięcznika *Suczasnist*, współredaktor Encyklopedii Ukrainoznawstwa. Był wielkim przyjacielem i autorem *Kultury*. ■ Nowym ambasadorem Ukrainy w Warszawie został mianowany Dmytro Pawłyczko, poeta i polityk, członek „Ruchu”. Po ogłoszeniu niepodległości był przewodniczącym komisji spraw zagranicznych w parlamencie. Przed ponownym wyborem do zgromadzenia posłów, przebywał jako ambasador w Bratysławie. Pawłyczko tłumaczył poezje Mickiewicza i Słowackiego. ■ W Berlinie staraniem filantropki i działaczki społecznej Barbary Monheim odbyła się debata dwóch ambasadorów, polskiego w Kijowie, Jerzego Bahra i ukraińskiego w Bonn, Anatolego Ponomarenki na temat współpracy polsko-ukraińskiej. Była to znakomita lekcja pogładowa dla Niemców. ■ 17 lutego druga izba parlamentu Rosji – Rada Federacyjna – zatwierdziła układ międzypaństwowy rosyjsko-ukraiński, uprzednio ratyfikowany przez Dumę 25.12.1998. Początkowo Rada Federacji przeciwstawiła się zatwierdzeniu pod wpływem negatywnej postawy prezydenta miasta Moskwy Łużkowa i gubernatora Krasnojarska eks-generała Lebiedia, który zmienił swoje stanowisko wobec Ukrainy. Ponowne głosowanie zakończyło się zatwierdzeniem układu. Łużkow zaklinał gubernatorów, aby nie poparli traktatu. Zwyciężyło

poparcie ze strony premiera Primakowa. ■ 17 lutego parlament Ukrainy pozbawił Pawła Łazarenka szefa partii „Hromada” nietykalności poselskiej i oddał go pod gestię prokuratury. Łazarenko był przed dwoma laty premierem. Jako szef systemów energetycznych, czyli importów ropy i gazu z Rosji, miał sobie przywłaszczyć kilka milionów dolarów. W grudniu był przejściowo w areszcie w Szwajcarii. Miał zamiar kandydować na prezydenta państwa.

B.O.

## Kronika białoruska

Witebski Uniwersytet Państwowy przyznał p. Tomaszowi Niegodziszowi, dyrektorowi Instytutu Polskiego w Mińsku, dyplom honorowy Uniwersytetu za przygotowanie i przeprowadzenie w Witebsku imprez kulturalnych i naukowych sprzyjających rozszerzeniu i umocnieniu kontaktów między Polską a Białorusią. ■ 2-go lutego br. odbyła się publiczna prezentacja białoruskiego numeru *Kultury* paryskiej. Gościem honorowym był redaktor Ziemowit Fedeki, który mówił o swoich związkach z *Kulturą*. Była obecna telewizja białoruska. W czasie swej wizyty redaktor Fedeki spotykał się z młodymi pisarzami i dziennikarzami w Domu Literatów. Miał spotkanie z przedstawicielami fundacji „Nasza Niva” oraz spotkał się z p. Adamem Maldziszem i współpracownikami Centrum im. Skaryny. ■ 25-27 stycznia przebywali w Mińsku przedstawiciele Teatru „Ósmego Dnia” z Poznania dla przygotowania przyjazdu całego zespołu Teatru z dwoma przedstawieniami. Przedstawienia odbędą się w drugiej połowie kwietnia br. Jednocześnie odbyło się seminarium poświęcone Teatrowi „Ósmego Dnia” oraz pokaz filmu przedstawiającego historię Teatru. ■ W Galerii „Nowa” w Mińsku została otwarta wystawa poświęcona twórczości Jana Bułhaka. ■ Wiosną br. ukaże się w Mińsku przekład „Zniewolonego umysłu” Czesława Miłosza wraz z jego wstępem.

## Ci, co odeszli

### Jerzy Turowicz, 1912-1999

27 stycznia br. zmarł w Krakowie w następstwie ciężkiego ataku serca Jerzy Turowicz, założyciel i naczelny redaktor *Tygodnika Powszechnego*, najwybitniejszy świecki przedstawiciel polskiego katolicyzmu otwartego, jeden z najbliższych „towarzyszy intelektualnych” Papieża, człowiek niezwykłej mądrości, pracy i zasług, od dziesiątków lat powszechnie i słusznie uważany w Polsce za autorytet moralny najwyższej próby. Należał do szczupłego grona postaci, które głęboko i trwale naznaczyły „dobrą” polską historię upływającego stulecia. Jego śmierć sprawia wrażenie symbolicznego zamknięcia pewnej epoki.

Całe życie Jerzego Turowicza związane było z Krakowem. Urodził się tam 10 grudnia 1912 r. w rodzinie inteligentnej (ojciec prawnik, matka ze środowiska ziemiańskiego) o bardzo silnym zaangażowaniu katolickim: ojciec Zmarłego był wieloletnim działaczem Akcji Katolickiej archidiecezji krakowskiej i bliskim współpracownikiem abp. (później kardynała) Sapięhy oraz ks. Machaya, proboszcza Bazyliki Mariackiej, zaś obaj starsi bracia Jerzego Turowicza (miał sześćcioro rodzeństwa) zostali księżmi. On sam ukończył w Krakowie klasyczne gimnazjum im. Jana Sobieskiego (matura w 1930), a następnie zaczął studia na Politechnice Lwowskiej, lecz po pewnym czasie uznał ten wybór za pomyłkę i w 1934 r. przeniósł się na filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W 1938 r. uzyskał absolutorium z tego kierunku, ale ponieważ jesienią tego samego roku ożenił się i pragnął jak najszybciej się usamodzielnąć, zrezygnował z obrony rozprawy magisterskiej i z początkiem 1939 r. podjął

pracę zawodową. Był nią etat dziennikarza w *Głosie Narodu*, najpoważniejszym wówczas katolickim piśmie w Krakowie, redagowanym przez ks. Jana Piwowarczyka, późniejszego współzałożyciela *Tygodnika Powszechnego*. Po kilku miesiącach, gdy ks. Piwowarczyk przeszedł do pracy duszpasterskiej i nie mógł już zajmować się piśmem, Jerzy Turowicz stopniowo przejmował jego obowiązki i na dwa miesiące przed wybuchem wojny został oficjalnie mianowany redaktorem naczelnym. Ten błyskawiczny sukces zawodowy – z oczywistych przyczyn krótkotrwały, bo z początkiem września *Głos Narodu* przestał się ukazywać – był formalnym ukoronowaniem wieloletniej już wówczas działalności publicystycznej i społecznej Jerzego Turowicza. Swoją pierwszą artykuł opublikował jeszcze jako uczeń gimnazjalny w piśmie Sodalicji Mariańskiej, a w czasie studiów we Lwowie i Krakowie pisywał już dużo, głównie do czasopism ideowo zbliżonych do Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”, którego był członkiem i to bardzo aktywnym. Działalność młodego Turowicza w tej organizacji nie ograniczała się do pisania artykułów – „Odrodzenie”, które miało filie we wszystkich miastach uniwersyteckich Polski, a które optowało za nowoczesną, uniwersalistyczną koncepcją katolicyzmu czy zgoła ekumenizmem *avant la lettre*, organizowało też odczyty, publiczne debaty i wieczory dyskusyjne z przedstawicielami innych organizacji młodzieżowych. Okres ten stanowił dlań świetną szkołę „techniki współżycia” zarówno z ludźmi o podobnych poglądach (np. działającymi w Wilnie Antonim Gołubiewem i Stanisławem Stommą) jak i przeciwnikami ideowymi czy to spod znaku endecji, czy też lewicowego radykalizmu. W chwili wybuchu wojny Jerzy Turowicz był już znaną postacią, a co ważniejsze sam orientował się dobrze w polskich środowiskach intelektualnych, miał sprecyzowane zdanie na temat „co robić” i wiedział, gdzie szukać sojuszników. To wówczas już skryształizował się program, który później w zmienionych okolicznościach starał się realizować w *Tygodniku Powszechnym*. W dziedzinie ideowej główną wytyczną było propagowanie w Polsce pogłębionej i rzeczywiście chrześcijańskiej (w odróżnieniu od ciasno konfesjonalnej, nietolerancyjnej) postawy wobec świata, a w dziedzinie

społecznej – nacisk na sprawiedliwość społeczną czyli aspekt humanitarny praw i instytucji, nawet kosztem umniejszenia ich „optymalnej sprawności”.

Okupacja, którą pp. Turowiczowie spędzili poza Krakowem, w Goszycach (majątku rodzinnym żony), pokrzyżowała te plany ale ich nie unicestwiła; były redaktor *Głosu Narodu* nawiązał kontakt z wydawanym konspiracyjnie w Warszawie przez Jerzego Brauna piśmie *Kultura Jutra* (organem środowiska „Unia”) i już w latach 1943-44 powstał projekt utworzenia w powojennej Polsce tygodnika społeczno-kulturalnego typu *Wiadomości Literackich* czy *Prosto z mostu*, ale o charakterze wyraźnie katolickim. Już wówczas też przyszły zespół zamierzał powierzyć stanowisko redaktora naczelnego Jerzemu Turowiczowi, który mimo wojennej niepewności jutra zaczął „rekrutację” współpracowników. Zajęcie regionu krakowskiego przez Rosjan w styczniu 1945 i przymusowa parcelacja Goszyc przez „władzę ludową” sprawiły, że rodzina Turowiczów (już z dwiema córkami) przeniosła się do Krakowa, gdzie Jerzy Turowicz uzyskał nieco fikcyjną lecz konieczną ze względów administracyjnych posadę asystenta-wolontariusza na Uniwersytecie Jagiellońskim. Prawie natychmiast też został zaproszony do grona osób (przeważnie profesorów UJ), z którymi abp Sapieha omawiał przyszły kształt czasopisma, na wydawanie którego udało mu się uzyskać zezwolenie. Rej wodził w tym zespole były szef Turowicza z *Głosu Narodu*, ks. Jan Piwowarczyk, który też – mimo niedopracowania szczegółów organizacyjnych – należał na jak najszybsze rozpoczęcie druku. Tak się też stało i pierwszy numer *Tygodnika Powszechnego* ukazał się już z datą 24 marca 1945; mimo atmosfery improwizacji za kulisami (cała redakcja mieściła się w jednym pokoju w Kurii) widniały w nim już tak „mocne” nazwiska jak Juliusz Osterwa, Tadeusz Kudliński i ks. Piwowarczyk. Wkrótce potem w piśmie pojawiły się artykuły Stefana Kisielewskiego, Antoniego Gołubiewa, Stanisława Stommy i innych filarów „pierwszej generacji” piszących do *Tygodnika* (obecny stały skład, to już „trzecie pokolenie” z załóżkami czwartego). Początkowo pismo nie miało oficjalnego głównego redaktora, choć *de facto* miało ich dwóch: ks. Piwowarczyka, który kierował *Tygodnikiem* w zakresie spraw doktrynalnych i

kościelnych, i Jerzego Turowicza, który załatwiał konkrety (pertraktacje z cenzurą, zdobywanie autorów, codzienne „trzymanie ręki na pulsie”) oraz kształtował politykę kulturalną całości. Dopiero po kilku miesiącach, gdy władze zażądały konkretnego nazwiska „osoby odpowiedzialnej”, na życzenie ks. Piwowarczyka a zapewne i episkopatu Turowicz stał się także *de iure* redaktorem naczelnym *Tygodnika Powszechnego* – i pozostał nim przez 54 lata.

Od tego momentu biografia Zmarłego jest tak ściśle związana z losami *Tygodnika*, że nie sposób ich od siebie oddzielić, a z kolei pismo to odegrało tak ważną rolę w powojennej Polsce, że stanowi część jej historii. Znaczenie *Tygodnika* polegało nie tylko na tym, że był nieomal jedyną w zasięgu komunizmu trybuną uczciwej (bo naturalnie nie całkiem „nieskrępowanej”) wypowiedzi, ale stanowił też punkt krystalizacyjny poglądów, koncepcji i aspiracji, które niekiedy można *ex post* oceniać krytycznie, ale którym nigdy nie można było odmówić dobrej woli, patriotyzmu i troski „o chrześcijańską kulturę jutra” (to ostatnie sformułowanie jest tytułem przedwojennego artykułu Turowicza na łamach wileńskiego miesięcznika *Pax* [no relation!]). W niniejszym krótkim wspomnieniu można więc tylko odnotować najważniejsze etapy dziejów splotu: pismo – Redaktor. *Tygodnik Powszechny* od samego początku traktowany był przez władze komunistyczne jako „ostoja reakcji” a przez czytelników jako pismo opozycyjne, toteż jego egzystencja była stale zagrożona. Jak daleko sięgało to zagrożenie wykazały naocznie losy pokrewnego krakowskiemu pismu *Tygodnika Warszawskiego*: już w 1948 r. został on rozwiązany, a jego redaktorzy (m. in. Jerzy Braun) skazani na długoletnie więzienie. Mimo programowej powściągliwości w sprawach doraźnie politycznych (Turowicz orientował się zawsze na długofalowe oddziaływanie, nie na bieżącą aktualność) i pewnej ochrony przez Kościół, redagowanie *Tygodnika* wymagało prawdziwego hartu ducha, zwłaszcza w okresie stalinowskim. Pierwszym wielkim kryzysem pisma i skupionych wokół niego ludzi było zamknięcie *Tygodnika* zaraz po śmierci Stalina: Redakcja odmówiła zamieszczenia hołdowniczego nekrologu i pismo zostało zlikwidowane – w ówczesnej atmosferze wydawało się, że na zawsze. Był to

ciężki okres w życiu Jerzego Turowicza: nie tylko stracił źródło utrzymania siebie i rodziny (powiększonej w międzyczasie o jeszcze jedną córkę) i daremnie szukał innej pracy, ale w dodatku *Tygodnik Powszechny* został oddany w gestię PAX-u i – ku konfuzji czytelników – wznowiony w dawnej szacie graficznej i z ciągłą numeracją (nr-y 415-563), choć w redakcji byli zupełnie inni ludzie. Dla „ex-redaktora” była to nie tyle sprawa „prestizowa”, co bolesne doświadczenie zawodu w stosunku do wielu osób z bądź co bądź „tej samej sfery”.

Pod wpływem zmian popaździernikowych w 1956 prawdziwy *Tygodnik Powszechny* znów zaczął się ukazywać, ale do znanych już z poprzednich lat kłopotów z cenzurą dołączyły się nowe problemy. Środowisko tygodnikowe zdecydowało się w tym okresie na próbę bardziej bezpośredniego działania i zgodziło się uczestniczyć w PRL-owskim sejmie (grupa „Znak”). Sam Turowicz nie chciał tracić na to czasu ani energii, ale ponieważ „posłowali” jego najbliżsi współpracownicy,  *nolens volens* Redaktor został wciągnięty w politykę. Dla władz komunistycznych *Tygodnik Powszechny* stał się szybko swoistym zakładnikiem i przedmiotem szantażu – ulubioną „karą za krnąbrność” na arenie politycznej było zmniejszanie przydziału papieru na druk – a równocześnie wśród niektórych dawnych czytelników „neopozytywizm” redakcji wzbudził uczucie zdziwienia i nieufności. II Sobór Watykański i posoborowe zmiany – entuzjastycznie przyjęte przez część środowiska *Tygodnika* – przyczyniły Redaktorowi dodatkowej okazji do wykazania talentu dyplomatycznego i zmysłu równowagi, gdyż kardynał Wyszyński i większość episkopatu sceptycznie podchodzili do nadmiernej modernizacji Kościoła, toteż chwilami wydawało się, że pismo znajdzie się w sytuacji walki na dwa fronty. Że do tego nie doszło i że autorytet *Tygodnika* z roku na rok rósł zarówno w oczach komunistów jak i władz kościelnych było w ogromnej mierze osobistą zasługą Naczelnego Redaktora. *Tygodnik* stał się swoistą instytucją narodową i fakt ten niewątpliwie przyczynił się później do przewyżnienia drugiego wielkiego kryzysu, czyli kilkumiesięcznego zawieszenia pisma na początku stanu wojennego.

Ten autorytet pisma i jego środowiska sprawiał też, że w



*Tygodniku* coraz częściej zaczęły pojawiać się artykuły autorów zdecydowanie „niekonfesyjnych” – wręcz emblematyczne jest tu nazwisko Antoniego Słonimskiego, który jeszcze w latach 70-tych, pod koniec swego życia, regularnie zamieszczał tam felietony. W okresie „Solidarności” podaż nowych sił – bardzo często z „przeciwego obozu” – niebawem się zwiększyła. A oto jak sam Redaktor oceniał to po latach (w wywiadzie udzielonym Jackowi Żakowskiemu dla pisma *Powściągliwość i Praca*, nr grudniowy 1987 r.):

„My oczywiście nie wszystkie propozycje przyjmowaliśmy. Wzdragaliśmy się przed współpracą z osobami, których nazwiska niedobrze nam się kojarzyły, ale nie mieliśmy obaw, że napływ nowych autorów może *Tygodnikowi* zaszkodzić. Wręcz przeciwnie. Ci, którzy do nas dołączyli, są nie tylko ciekawymi i uczciwymi ludźmi, ale także doskonałymi publicystami. Dawniejszy *Tygodnik* operował wprawdzie dość dużym, ale jednak bardzo jednorodnym zespołem współpracowników. (...) Oczywiście, że obecność tych wszystkich [nowych] osób wpłynęła na zawartość *Tygodnika*. Ale nie wiem, czy on się przez to zasadniczo zmienił. Chyba tak i nie. Zmienił się, bo zmieniły się czasy, zmieniło się otoczenie, klimat. Zmienili się też niektórzy ludzie, ale są również tacy, którzy się nie zmieniają. Ja w każdym razie się zbyt nie zmieniam i w jakimś sensie jestem w *Tygodniku* gwarantem ciągłości, co nie znaczy, że jestem takim samym człowiekiem, jakim byłem 40 lat temu.”

Z wywiadu tego (*nota bene* dobrze byłoby go wznowić w bardziej dostępnej formie) warto jeszcze przytoczyć wypowiedź Redaktora o jego wizji katolickiego czasopisma – bo ona właśnie stanowiła podstawę tej ciągłości *Tygodnika*, o której powyżej mowa.

„Pismo katolickie to po prostu takie, które redagują katolicy z myślą o służeniu Kościołowi jako wspólnocie wierzących. „Służyć” w tym przypadku znaczy dla mnie wspólnotę uświadamiać, mobilizować, pogłębiać katolickie postawy, kształtować światopogląd, a także przyczyniać się do jak najlepszego pełnienia przez Kościół jego roli wobec całej społeczności i bronić nie tyle interesów, co praw Kościoła zarówno jako instytucji, jak też wspólnoty wiernych. Oczywiście pismo katolickie wiele miejsca powinno po-

święcać sprawom wiary, religii, Kościoła, jego życiu, historii, nauce. Katolickie pismo społeczno-kulturalne musi też jednak zajmować się innymi dziedzinami życia społecznego, takimi jak kultura, gospodarka, polityka, historia. Ważne jest, żeby także w tych sprawach obecny był katolicki światopogląd czy katolicki punkt widzenia. Oczywiście nie można popadać w przesadę. Jeżeli *Tygodnik* pisze o malarstwie abstrakcyjnym to nie musi dopatrywać się w nim religijnej inspiracji. Z drugiej strony nie powinno się pisać niczego, co byłoby niezgodne z ‘wiarą i obyczajami’ jak brzmi formuła *nihil obstat*.”

O ile w okresie PRL-owskim na pierwszy plan wybijała się konieczność obrony praw Kościoła, o tyle w Trzeciej Rzeczypospolitej znaczenia zaczęła nabierać druga (a może pierwsza?) dewiza Jerzego Turowicza „nie można popadać w przesadę”. We wrzawie i tumulcie rozmaitych „ultra-katolickich” i „ultra-narodowych” programów i wypowiedzi zawsze można było liczyć na spokojny, pojednawczy ale zarazem zdecydowany głos Redaktora, który mimo ogromu zajęć znajdował czas na napisanie artykułu o sprawach najważniejszych. Brzemień lat ciążyło mu coraz bardziej, ale był czynny zawodowo nieomal do ostatnich chwil swego życia. Było to piękne życie: wypełnione trudem, ryzykiem i pracą, ale też miłością rodziny i szacunkiem otoczenia, a nade wszystko świadomością, że to co robi jest ważne dla wielkiej zbiorowości i że zbiorowość ta zachowa Go we wdzięcznej pamięci.

Wojciech SKALMOWSKI

## Jerzy Turowicz

Mam wyraźne poczucie, że kraj nasz, a więc i świat nasz, byłby inny i gorszy, gdyby nie było w nim Jerzego Turowicza. Teraz, gdy po tylu latach roboty w Nieznane odszedł, zastanawiam się, na czym polegała osobliwość, niezwykłość

tego człowieka. Być może w tym był niezwykły, że nosił w sobie dwie jakości, które na pozór, ale na pozór tylko, nie przystawały do siebie. W kontaktach z ludźmi – takie jest przynajmniej moje doświadczenie – był uważny, życzliwy, bez cienia złości, agresywności czy nawet zniecierpliwienia, choćby sytuacja, jak to przecież często bywa, do takich reakcji skłaniała. Nie znaczyło to jednak, by w sprawach, na których mu prawdziwie zależało, był ustępliwy czy miękki. Jest to rzadka, a w życiu ludzkim nadzwyczajnie potrzebna cnota: umieć minimalizować konflikt przez usuwanie tego nadmiaru, który powstaje z samej obecności konfliktu, nie zaś z jego treści, ale w rzeczach istotnych obstawać twardo przy swoim, nie dać się z miejsca ruszyć partnerowi czy adwersarzowi, którego zarazem można rozbrajać swoim spokojem. Pewnie więc i taki mamy morał z tego życia: bądź jak Turowicz, czyli spokojny, pogodny, rozumny, ale zarazem znający doskonale granice, za którymi żadnych ustępstw nie będzie, tylko *non possumus*.

Myszę sobie zresztą, że taki stosunek do świata jest nie tylko dobry, ale także skuteczny i że on właśnie pozwolił *Tygodnikowi Powszechnemu* przetrwać tak wiele przeciwności i burz. Nie bywałem wprawdzie świadkiem spotkań Turowicza z cenzorami, ale mogę je sobie wyobrazić. Żeby pismo takie, jak *Tygodnik Powszechny* mogło się ukazywać w Polsce do 1953, a potem od 1956 roku, potrzebne były co najmniej dwa warunki. Z jednej strony jest to jeden z objawów niejakiej odmienności polskiego stalinizmu i polskiej sowietyzacji od analogicznych procesów w innych krajach klatki „pokoju i socjalizmu”, włączając jej dyrekcję, czyli metropolię sowiecką. Mimo wszystko, o czym wiemy, mimo wszystkie represje i prześladowania, władza komunistyczna prowadziła politykę kulturalną, która ze znaczną skutecznością przyciągała lub neutralizowała duże odłamy polskiej inteligencji, dzięki czemu, po likwidacji zbrojnego podziemia czynny opór faktycznie wygasł (w tym miejscu, by nieporozumień uniknąć, nie powołujmy się po prostu na terror, lecz porównajmy rozmiary terroru i rozmiary oporu z okupacją niemiecką). W sumie była to z pewnością polityka antykulturalna raczej niż kulturalna, lecz, by nie dedukować obrazu tych lat z abstrakcyjnej natury komunizmu, lecz raczej z materiału doświadczenia, nie lekceważmy tych obszarów, gdzie nawet w najgorszych

czasach trwały ośrodki kultury nie sterowanej przez partię. *Tygodnik Powszechny* był jednym z ważniejszych, lecz nie jedynym; były takie ośrodki na uniwersytetach. Pax, którego politycznej twarzy opisywać nie warto, wydawał cenne i istotne książki, nieznane w żadnym innym z krajów, gdzie promienna przyszłość socjalistyczna już się jęła budować.

Oczywiście, partia jak mogła, starała się policyjnymi i politycznymi środkami, szantażem, zastraszaniem, przemocą i kłamstwem, ograniczać wpływ i krępować działanie Kościoła i kultury chrześcijańskiej, nie mogła jednakże wszystkich możliwych środków aplikować; dość porównać sytuację w Polsce z brutalnością prześladowań cerkwi w Związku Sowieckim; jak długo wyżyłby poza Gułagiem Jerzy Turowicz? Jednakże faktyczna likwidacja *Tygodnika* w 1953 roku (tj. przekazanie pisma Paxowi) nie była wpisana w prawa dziejowe. Stalin kiedyś musiał umrzeć, zapewne, ale reszta składała się z przypadków. Przywołajmy na pamięć niezliczone, drukowane w *Prawdzie*, eulogie zmarłego wodza sporządzone przez wszystkie (oprócz Stanów Zjednoczonych) rządy i prezydentów świata. Czy ktoś zwróciłby uwagę lub choćby z potępieniem się odniósł do żadanego przez partię pochwalnego nekrologu generalissimusa w *Tygodniku Powszechnym*? Niemal każdy powiedziałby to samo: no trudno, to jest cena za istnienie pisma, trzeba ją zapłacić. Nie zapłacono jednak, pismo przestało faktycznie istnieć na więcej niż trzy lata. *Non possumus*. Jak tę decyzję podjęto, nie wiem, ale żyją pewnie jeszcze ludzie, którzy przy tym byli.

Turowicz umarł, jakaś forma świata dobiegła końca, bo nie będzie już takich okoliczności i takich ludzi. A że byli tacy ludzie, to jest ów drugi warunek.

Nie wątpię, że ktoś kompetentny spisze dla nas w najbliższych latach życie Jerzego Turowicza razem z dziejami *Tygodnika* (spieszyć się trzeba, bo świadków ubywa) i że będzie to opis prawdziwy, nie zaś dyktowany przez wymogi lub namiętności ideologiczne. Takie dzieło będzie nadzwyczaj ważnym i niezmiernie potrzebnym przyczynkiem do dziejów naszego kraju, naszej kultury, Kościoła, świata.

Leszek KOŁAKOWSKI

## Jerzy Grotowski

### 11 VIII 1933 – 14 I 1999

Historia opowiada o tym, co się działo, co było i przeminęło. Antropologia kultury mówi o tym, co było i trwa, o tradycji; wywodzi się z etnografii, którą nazwano historią ludów bez historii. Jeśli pominąć tzw. historię współczesną, która opowiada ludziom o kulisach tego, co się im samym przydarzyło, to Europejczyków i Amerykanów u schyłku wieku interesuje raczej antropologia niż historia. Do samookreślenia nie wystarcza im już „suma stosunków społecznych”. Nie stać ich też na samokreację, na dumne „budowanie swojej sprawy na nicości”. Nie satysfakcjonują ich konstytutywne mity religijności euroamerykańskiej, genesis i grzechu, jako że człowiek opowiedziany przez nie jest dla nich nie do przyjęcia: wolny może być tylko za cenę nieświadomości, świadomy siebie – tylko jako przymuszony. Z tym nieusatsfakcjonowaniem wiąże się *nota bene* powrót gnozy: odbiera ona obu mitom ich pierwotność, genealogię człowieka wyprowadza z kosmosu, antropologię z teologii, nie daje wprawdzie odpowiedzi, ale przynajmniej pozwala szukać nadal.

Wspólnym znakiem tego kulturowego niedosytu stała się pogoń za Tradycją, pościg za Początkiem. Używam paradoksalnej formuły, bo jest przecież coś absurdalnego w tradycji, której dopiero trzeba szukać, i w początku, o którym trzeba się upewnić... Ta pogoń dzieje się na różnych poziomach, na szczytach kultury wysokiej i w piwnicach z *disc-jockey*'ami, na seminariach antropologów i w mrowiskach sekciarzy, w bibliotekach i archiwach stanu cywilnego i na wyprawach w Himalaje. Astrologowie i magicy towarzyszą antropologom. Nadchodzący Nowy Wiek i Era Wodnika nasiąkają histerią, a jej najprawdopodobniejszy powód niektórzy znajdują w nieubłaganym zbliżaniu się Robotów i Klonów. To byłby zaiste początek, ale już nie dla człowieka...

Zmarły 14 stycznia w Pontedery we Włoszech Jerzy Grotowski studiował aktorstwo w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie (1951-1955) i reżyserię w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej w Moskwie (1955-1956). Od 1959 był inscenizatorem i dyrektorem Teatru 13 Rzędów w Opolu a potem Instytutu Badań Metody Aktorskiej „Laboratorium” we Wrocławiu. Wystawił w Opolu „Kaina” wg Byrona, „Misterium-buffo” wg Majakowskiego, „Siakuntalę” wg Kalidasy, „Dziady” wg Mickiewicza, „Kordiana” wg Słowackiego, „Akropolis” wg Wyspiańskiego, „Tragiczne dzieje doktora Faustusa” wg Marlowe’a, „Studium o Hamlecie” wg Szekspira-Wyspiańskiego. Literki „wg” wskazują, że pierwowzory literackie były przez Grotowskiego swobodnie krojone i przekształcane. W przypadku „Akropolis” dało to szczególnie znakomity efekt. We Wrocławiu Grotowski wystawił jedynie dwa spektakle: „Księcia Niezłomnego” wg Calderona-Słowackiego i „Apocalypsis cum figuris” wg własnego scenariusza. Oba rozśławiły go w świecie, a sławę tę ugruntowała jeszcze wydana w 1968 książka „Towards a Poor Theatre” z przedmową Petera Brooka.

Premiera „Apocalypsis cum figuris” odbyła się 19 lipca 1968. Dopiero w dwa lata potem artysta powiadomił, że był to ostatni jego spektakl teatralny. Z wyprawy do Indii powrócił przemieniony fizycznie. Sztynnego i otyłego funkcjonariusza w czarnym garniturze zastąpił brodaty, rozwichrzony chudzielec o nieuchwytnym spojrzeniu.

Przez następne ćwierćwiecze Grotowski wykładał swoją teorię teatru (w USA, we Francji, we Włoszech), szkolił aktorów i przygotowywał parateatralne „święta”, „projekty” (z amerykańską *Projects*) i „poszukiwania źródeł” – tak, w pewnej fazie, „teatrem źródeł” nazywał te działania. Podział na aktorów i widzów był w nich zastępowany podziałem na przewodników i uczestniczących. Wśród przewodników byli najwybitniejsi ze współpracowników Grotowskiego z okresu teatralnego, zwłaszcza Ryszard Cieślak (Książę z Calderona, Ciemny z Apocalypsis).

Sława i również, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych rozgłos, które towarzyszyły działalności Grotowskiego miały dwoisty charakter.

Rozgłos wynikał stąd głównie, że Grotowski zdawał się

trafiac w pragnienia epoki, ów niedosyt kulturalny wspomniany na wstępie: pogoń za Tradycją. Uczestnikom działań zaprojektowanych przez Grotowskiego, a jeszcze bardziej dziennikarzom i krytykom wydawało się nieraz, że biorą udział w jakimś niedookreślonym rytuale bez religii, w którym elementy naturalne – woda, góra, las, słońce – przeplatają się z reminiscencjami różnych kultur w synkretyczną drogę ku Początkowi... Sława prawdziwa, którą Grotowski cieszył się w świecie teatru, miała inny, znacznie głębszy i złożony charakter. Małgorzata Dziewulska, która znała Grotowskiego dobrze i współpracowała z nim w latach 1975-1977, zauważyła bardzo bystrze: „Wypowiedział wiele rewoltujących opinii, z charakterystycznym staraniem o wyłączenie strefy religijnej oraz politycznej. Była w tym sprzeczność: zawsze był zarazem buntownikiem i taktykiem, nieraz bezkompromisowym odkrywcą nowych dróg i przebiegłym strategiem. Ale ostrość Grotowskiego płynęła przede wszystkim ze skrajnie negatywnego osądzenia zastanego świata...” (*Gazeta Wyborcza*, 16-17 stycznia 1999). Zapewne do tego „skrajnie negatywnego osądzenia” przyczynił się krótki, półroczny okres jedyne w życiu Grotowskiego zaangażowania politycznego: po październiku 1956 w Krakowie, kiedy zakładał Rewolucyjny Związek Młodzieży, a potem Polityczny Ośrodek Lewicy Akademickiej ZMS. Jak wielu rówieśników odszedł od polityki, kiedy zaczęła się Gomułkowska mała stabilizacja, ale też nigdy już do niej nie wrócił, nawet w okresach największych napięć społecznych w Polsce. Co więcej, Grotowski nigdy już potem, o ile mi wiadomo, nie deklarował publicznie swych przekonań i poglądów na żaden temat nie związany z jego pracą. W tym sensie był profesjonalistą doskonałym, który całe swoje życie koncentrował na swym zawodzie: teatrze, wychowywaniu aktorów – i programowo jak gdyby nie zabierał głosu w żadnych innych sprawach. Był więc przeciwieństwem tzw. twórcy zaangażowanego. W Polsce nie lubiła go ani partia, ani Kościół, który, zwłaszcza trzydzieści lat temu, nie znosił, by ktokolwiek zawłaszczal sakralne słowa czy postaci bez imprimatur.

Ale też aktor był dla tego inscenizatora i pedagoga dosłownie całym światem: tym, poprzez którego może się ujawnić tożsamość Człowieka i Kosmosu.

Racjonalizując swoją drogę twórczą (11 kwietnia 1991 we Wrocławiu, z okazji przyznania mu doktoratu *honoris causa* przez Uniwersytet Wrocławski) mówił Grotowski, że jego punktem startu był teatr jako przedstawienie, punktem dojścia zaś „sztuka jako wehikuł”. W sztuce przedstawieniowej „montaż dokonuje się w percepcji widza” (co m.in. oznacza, że tylko jako widziana sztuka ta w ogóle może zaistnieć). „W sztuce jako wehikule montaż jest czyniony nie w widzach ale w osobach działających, w nich samych, bezpośrednio. Dyscyplina zawodowa, całkowicie porównywalna – czy wogóle pod wieloma względami identyczna z dyscypliną spartyturalizowanej pracy w sztukach widowiskowych – staje się rodzajem jogi, mówiąc umownie – swoistej techniki człowieka działającego, zmierzającej do zmiany poziomu energetycznego z tego grubego, z tego chropawego, ale jednocześnie potężnego swoimi siłami biologicznymi, na którym normalnie się znajdujemy, do poziomów innych, o wiele bardziej subtelnych i – powiedziałbym – świetlistych (...) Inaczej mówiąc sztuka jako wehikuł to jest rodzaj pracy nad sobą, w której wszystkie elementy są elementami precyzyjnego rzemiosła artystycznego i są w dużej mierze tożsame z elementami rzemiosła w sztukach widowiskowych (...) Jest wskazane istnienie sztuki jako wehikułu, aby sztuka przedstawieniowa nie zmarła na jałowość, a nawet w warunkach komercyjnych – na sprostywanie. Jest wskazane, aby istniał model innego wymiaru pracy w tym rzemiośle, aby sztuka na biegunie przedstawieniowym zachowywała pojęcie swego wyższego celu, ale jest niezbędne również dla sztuki jako wehikułu, aby formy sztuki przedstawieniowej pozostawały z nią w konfrontacji, ponieważ inaczej popada się w „samopobłażanie i stosuje się kryteria subiektywne w miejsce kryteriów obiektywnych związanych z jakością tego, co się robi. Albo po prostu jest się niepotrzebnym”.

Do Pontedery, gdzie Grotowski pracował w ostatnich latach życia, przyjeżdżały zespoły „teatrów poszukujących” (termin awangarda wyszedł jakoś z użycia), pokazywały swoją robotę i oglądały pracę Grotowskiego i jego stażystów – „Akcję”, przykład sztuki jako wehikułu, „opartą na elementach działań fizycznych, ruchu komponowanego, tempo-rytmu, archaicznych, tradycyjnych tekstów i przede wszystkim – bardzo szcze-

gólnych, archaicznych pieśni wibracyjnych” (Grotowski).

Zarówno u początku jak zwłaszcza u kresu swej drogi twórczej Grotowski określał się chętnie jako uczeń i kontynuator Stanisławskiego i było w tym wiele racji. Kiedy Stanisławski domagał się, aby aktor wczuwał się w graną postać, to nie chodziło wcale, jak to potem zwulgaryzowano w amerykańskich szkółkach aktorskich, o udawanie księcia, żebraka czy gangstera. Rosyjskiemu mistrzowi chodziło o to, by aktor odnalazł w sobie i ukazał to, co tkwiło ukryte pod słowami dramatu. Można by bez trudu wskazać podobieństwa zadań aktorskich u Stanisławskiego i Grotowskiego. Z taką wszakże (obok innych) różnicą: Stanisławski wierzył literaturze i nie wyobrażał sobie teatru bez dramatu. Grotowski najpierw dramaty kroił, potem odrzucał w ogóle. Postulowane ubóstwo jego teatru i wszystkich późniejszych działań parateatralnych polegało na tym, że aktor miał się spotykać z Kosmosem bez żadnego pośrednictwa, poza literaturą. Poza historią.

Siebie, który takie spotkania przygotowywał, Grotowski nazywał rzemieślnikiem.

*Krzysztof WOLICKI*

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

#### W NIEMCZECH ZACHODNICH

#### Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

## Notatki Redaktora

Komisja Spraw Zagranicznych Sejmu przygotowała projekt „Posłanie Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej do narodu białoruskiego”. Posłanie udziela moralnego poparcia deputowanym do Rady Najwyższej, którym uniemożliwia się wykonywanie ich mandatu i którzy poddani są represjom. Sejm solidaryzuje się ze wszystkimi represjonowanymi za wolnościowe działania i przekonania na Białorusi. Posłanie stwierdza, że „Polska jest żywotnie zainteresowana przywróceniem instytucji demokratycznych”.

Mentorski ton posłania wywołuje zdziwienie, że jednocześnie Sejm nie uważa za stosowne zajęcie się szykanami jakim podlega ludność białoruska w województwie białostockim. Specjalizuje się w tym wojewoda białostocki p. Krystyna Łukaszuk, o której działalności już wielokrotnie wspominaliśmy w *Kulturze*. Zajęcie się jej działalnością byłoby tym bardziej wskazane, że nie tak dawno odmówiła ona spotkania się z Komisją Sejmową d/s Narodowościowych, a ostatnio sprzeciwiła się postawieniu pomnika na cmentarzu w Bielsku Podlaskim dla uczczenia trzydziestu furmanów zamordowanych w czasie ostatniej wojny przez oddział Pogotowia Akcji Specjalnej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego dowodzonego przez kapitana Romualda Raisa, ps. „Bury”. Sprawa pomnika jest, pod różnymi pretekstami, stale odkładana ku rozgoryczeniu ludności białoruskiej. Postępowanie p. Krystyny Łukaszuk znajduje wyraźne poparcie rządu, chociażby przez fakt, że przy ostatnich reformach administracyjnych nadal została utrzymana na swym stanowisku.

Niezrozumiałe postępowanie polskiej telewizji. 29-go grudnia ub.r. był wyświetlony film „Trudne bohaterstwo”

przedstawiający sojusz polsko-ukraiński w latach 1919-1920. Ten dokumentalny film ilustrował współpracę Atamana Symona Petlury z Marszałkiem Piłsudskim. Ten doskonały film został opracowany przez zespół polskich i ukraińskich filmowców, a patronat nad nim objął prezydent RP A. Kwaśniewski. Film został wyświetlony jedynie w programie nocnym, nigdy nie był wznawiany i został przez prasę polską przemilczany. Dziwny sposób realizowania przyjaźni polsko-ukraińskiej, o której się tak wiele oficjalnie mówi.

Według danych GUS w roku 1998 oddano do użytku w całej Polsce zaledwie 73 tys. mieszkań. Jest to mniej więcej tyle, ile potrzeba w samej Warszawie (gdyby w Warszawie wybudowano 70 tys. mieszkań mogłoby to zaspokoić najbardziej drastyczne braki). Niestety, w Warszawie buduje się tylko 4 tys. mieszkań rocznie. Szczególnie niepokojący jest fakt, że z roku na rok maleje liczba mieszkań budowanych przez spółdzielnie mieszkaniowe. Jeżeli już rząd likwiduje tzw. dużą ulgę budowlaną, to dlaczego uzyskanych z tej likwidacji środków nie chce przeznaczyć na budownictwo tanich mieszkań komunalnych. Dlaczego obecna koalicja wykazuje tak skrajnie niechętny stosunek do samej idei mieszkań komunalnych? Dlaczego, mimo uchwały Sejmu RP z roku 1995, ani poprzedni, ani obecny rząd nie opracował programu polityki mieszkaniowej państwa?

Na zlecenie OECD (Organization of Economic Cooperation and Development) w ramach projektu „International Adult Literacy Survey” przeprowadzono badania mające na celu sprawdzenie umiejętności czytania, rozumienia i interpretowania różnych tekstów oraz przeprowadzania prostych obliczeń. Okazało się, że na najniższych z 5 przyjętych poziomów znajduje się ponad 40% dorosłych Polaków (w USA 20%, w Niemczech 9%). Oznacza to, że polskie szkolnictwo, specjalnie na prowincji, nie zdaje egzaminu. Wobec konieczności cięć personalnych w przemyśle ciężkim, w

rolnictwie etc. młodzi Polacy będą mogli znaleźć zatrudnienie głównie w branżach wykorzystujących nowoczesne technologie, w ochronie środowiska, w usługach. Do tej pracy nie są przygotowani.

*Życie Warszawy* w numerze z 29 grudnia ub.r. zamieściło wywiad z wiceprezesem Najwyższej Izby Kontroli Jackiem Uczkiewiczem. Prezes Uczkiewicz stwierdził ogromny wzrost korupcji w Polsce: na 85 badanych państw Polska została sklasyfikowana w 1998 r. na 40 miejscu, o 10 oczek niżej niż rok temu. Pan Uczkiewicz wysuwa ciekawy projekt zwalczania przestępczości gospodarczej, a więc i korupcji. Jego zdaniem tą sprawą powinien zająć się rząd i raz do roku – podobnie jak Komisja Europejska – zdawać parlamentowi sprawozdanie z realizacji tego programu. Typowe przypadki korupcji powinny być przedmiotem regularnych debat parlamentarnych, jak np. transport papierosów ukrytych w TIR-ach, przemyt alkoholu. Musi to być połączone z informacją, co w tej sprawie zrobiono, żeby wyeliminować możliwość przestępstwa. Np. dotąd jeden celnik dokonuje odprawy. A więc powstaje kwestia losowego doboru celników do odpraw, aby ani celnik, ani kontrolowany nie wiedział, kto będzie kontrolować. Wiadomo, że przez nieszczęsną granicę w Świecku przeszło bez kontroli celnej kilka tysięcy TIR-ów. W takim rocznym sprawozdaniu rządowym musi znaleźć się informacja, co w tej sprawie robią rządowe służby, jak np. Główny Urząd Celny. Ponadto trzeba podać, co rząd zrobił w sprawie doskonalenia procedur zamówień publicznych, prywatyzacyjnych, w sprawie doskonalenia kontroli wewnętrznej w administracji, itp.

Na Ukrainie są ogromne kłopoty z dostępem do prasy i książki polskiej. Za czasów sowieckich w większości kiosków były gazety i tygodniki polskie i można było je prenumerować za ruble bardzo tanio. Obecnie druki polskie są niedostępne, a kioski są wypełnione importem z Moskwy. Należy się spo-

dziewać, że tą sprawą zajmie się nowo powstały Instytut Polski w Kijowie, tworząc np. jakieś dwupokojowe czytelniki-kawiarnie w pięciu największych miastach Ukrainy.

●

Spośród 26 tys. duchownych Kościoła katolickiego większość otrzymuje pensje z budżetu państwa. Największa grupa księży utrzymuje się z nauczania religii. Państwo zatrudnia ok. 11 tys. księży jako nauczycieli. Następną grupą opłacaną przez państwo są kapelani szpitalni. Jest to ok. 800 etatów. Szpitale pokrywają nie tylko utrzymanie księży, ale także wyposażenie i utrzymanie kaplic. Jeśli idzie o duszpasterstwo wojskowe to armia utrzymuje ok. 200 kapelanów, płacąc im gaże oficerskie. Ostatnio, poza etatami kościelnymi w wojsku, straży granicznej i harcerstwie, zaczęto tworzyć sieć strażackich duszpasterzy wojewódzkich. Państwo również finansuje szkolnictwo kościelne, tj. nie tylko KUL czy Papieską Akademię Teologiczną, ale również coraz liczniejsze wydziały teologiczne na uniwersytetach.

REDAKTOR

## Kronika kulturalna

### Lornetka Gombrowicza

1.

„Przez moją berlińską lornetkę każdego ranka patrzę z okna na góry, morze, a wieczorem na wszystkich rozbiegających się ludzi. Gorąco” – pisał Gombrowicz do swoich berlińskich przyjaciół z południowej Francji. Gombrowicz z lornetką – ze zdjęć Bohdana Paczowskiego z Vence – ta fotografia zakorzeniła się głęboko w mojej pamięci. Dopiero niedawno temu po lekturze tych zdań w książce Rity Gombrowicz „Gombrowicz w Europie 1963-1969” uświadomiłem sobie, że lornetka na zdjęciu pochodzi z mojego miejsca zamieszkania, dla berlińczyka szczegół znaczący.

2.

Gombrowicz przyjechał do Berlina w okresie przełomowym. Dla niego przełomowym, ponieważ po dwudziestu czterech latach powrócił do Europy, kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Polski. Był to także okres szczególny dla Berlina. Latem 1963 roku minęły dwa lata od budowy muru, berlińczycy powoli budzili się z szoku. Tego lata przywódcy supermocarstw odwiedzali Berlin. Chruszczowa witali wschodniemiemieccy towarzysze w „stolicy NRD” a na balkonie ratusza Schöneberg John F. Kennedy (pięć miesięcy przed zamachem w Dallas) oddał dowód swojej solidarności z obywatelami Berlina Zachodniego głosząc słynne słowa „Ich bin ein Berliner”.

3.

Zaangażowanie Amerykanów w Berlinie nie ograniczało się do głoszenia sloganów, nie kończyło się też na obecności

wojsk amerykańskich na wyspie w „oceanie komunizmu”. Razem z niemiecką elitą polityczną alianci obawiali się upadku życia gospodarczego i kulturalnego w Zachodnim Berlinie po budowie muru. Jako sponsor kultury i sztuki szczególną rolę odegrała amerykańska Fundacja Forda. Jeszcze przed budową muru, w 1950 roku Fundacja zaczęła udzielać pomocy Berlinowi w postaci darowizn dla Wolnego Uniwersytetu, powstającego jako reakcja na sowytyzację wschodniobrzeźnińskiego Uniwersytetu Humboldta, w którym studiowała młodzież także z sektorów zachodnich.

W grudniu 1963 roku Fundacja Forda przyznała dwa miliony dolarów na szeroki program pomocy dla instytucji kulturalnych Berlina oraz na stworzenie nowych ośrodków, które pozwoliłyby uczynić z tego miasta międzynarodowe centrum kultury. Przy pomocy Forda powstały wówczas dwie instytucje, które do dnia dzisiejszego odgrywają dużą rolę w życiu artystycznym Berlina: *Literarisches Colloquium Berlin*, którego celem było ożywienie życia literackiego miasta, oraz program *Artists in Residence* jednorocznego pobytu artystów w Berlinie, dzisiaj prowadzony pod nazwą DAAD – *Künstlerprogramm* (program Niemieckiego Biura Wymiany Uniwersyteckiej). Obydwie inicjatywy ściśle ze sobą współpracowały. *Literarisches Colloquium* nie tylko organizowało spotkania autorskie stypendystów, lecz także do połowy lat dziewięćdziesiątych w serii małych książek przedstawiało niemieckim czytelnikom teksty goszczących w Berlinie pisarzy programu artystycznego DAAD. Wśród stypendystów można znaleźć takich gości z Polski jak Herbert, Różewicz, Woroszyński, Wirpsza, Brandys, Kapuściński, Krall, Zagajewski, Krynicki. Pierwszymi zaproszonymi w maju 1963 roku pisarzami berlińskiego programu *Artists in Residence* byli austriacka poetka Ingeborg Bachmann i Witold Gombrowicz.

## 4.

W momencie przyjazdu do Berlina Gombrowicz nie był pisarzem nieznanym. W Niemczech przed 1963 rokiem ukazały się w małym wydawnictwie Verlag Günther Neske trzy jego książki: „Ferdurdurke”, pierwszy tom dzienników oraz opowiadanie „Zdarzenie na brygu Banbury”. Ważną rolę jako promotor dzieł sztuki w obszarze niemieckojęzycznym przejął

francusko-szwajcarski krytyk literacki i eseista François Bondy. Wspólnym staraniom Konstantego Jeleńskiego i François Bondy'ego Gombrowicz zawdzięcza berlińskie stypendium. Już pod koniec lat pięćdziesiątych Bondy starał się zwrócić uwagę berlińskiemu poecie i profesorowi literatury Walterowi Höllererowi na żyjącego w Argentynie Polaka. Jako pierwszy dyrektor *Literarisches Colloquium* oraz redaktor naczelny czasopisma *Akzente* Walter Höllerer odegrał wspólnie z Bondym bardzo ważną rolę jako promotor Gombrowicza i innych polskich pisarzy. W ramach spotkań autorskich w *Literarisches Colloquium* Höllerer poprowadził spotkanie z Gombrowiczem. Przedstawił także paryską inscenizację „Ślubu” Jorge Lavalliego w Akademii Sztuk Pięknych.

Generalnie warto podkreślić, że do popularyzacji dzieła Gombrowicza w Niemczech w znaczącym stopniu przyczyniły się jego sztuki. Częste inscenizacje w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zwróciły uwagę na jego dzieło prozatorskie. Dla niemieckich krytyków literackich Gombrowicz stał się klasykiem literatury europejskiej. Mimo to jego książki znane są przede wszystkim w wąskim, elitarnym kręgu literackim. Wielu niemieckich czytelników zna jego nazwisko, mało kto jego dzieła.

## 5.

Z listów i dziennika wynika, że Gombrowicz opuszczał Berlin po roku z mieszanymi uczuciami. Bliskość Polski działała na niego przygnębiająco. Przypomnę słynny cytat z jego berlińskiego dziennika: „Ale wtedy zaleciały mnie (gdym spacerował po parku Tiergarten) pewne wonie, mieszanina ziół, z wody, z kamieni, z kory, nie umiałbym powiedzieć z czego... tak, Polska, to było już polskie, jak w Małoszycach, Bodzechowie, dzieciństwo, tak, tak to samo, przecież już niedaleczko, o miedzę, ta sama natura... którą ja porzuciłem przed ćwierć wiekiem. Śmierć. Zamknął się cykl, powróciłem do tych zapachów, więc śmierć. Śmierć. W rozmaitych okolicznościach spotykałem się ze śmiercią moją, ale zawierało się zawsze w tych spotkaniach jakieś rozminięcie, dające perspektywę życia, tymczasem w Tiergartenie doznałem śmierci wprost – i od tej chwili ona mnie nie odstępuje. Nie trzeba było ruszać się z Ameryki”.



Dla Gombrowicza pobyt w Berlinie pociągnął za sobą ostre ataki komunistycznych nacjonalistów. Na podstawie relacji Barbary Swinarskiej o spotkaniu z gościem Fundacji Forda prasa PRL przeprowadziła kampanię propagandową przeciwko Gombrowiczowi, udowadniając iż przyjęcie stypendium w Berlinie jest „wysługiwaniem się Niemcom”.

Mimo kontaktu z Ireną i Bohdanem Osadczukami oraz nielicznymi Polakami w Berlinie, Gombrowicz musiał być nad Szprewą człowiekiem samotnym. Ingeborg Bachmann wspominała: „Myślę, że był jedną z najbardziej samotnych osób, jakie spotkałam, opuszczony przez wszystkich, Polaków, Argentyńczyków, berlińczyków. Jego sposób mówienia i potrzeba dyskusowania drażniły Niemców. Nie było tu żadnej niechęci z jednej czy drugiej strony, ale raczej to, co Francuzi nazywają ‘incompatibilité’”.

Ingeborg Bahmann należała do niewielu osób z którymi Gombrowicz się zaprzyjaźnił: „Spacerowaliśmy, oboje nieco zdziwieni, czy oszołomieni tą wyspą (na komunistycznym oceanie), a może czymś innym, niewiele widzieliśmy, prawie nic, przypominam sobie, że zdumiewało mnie bezludzie w Berlinie, gdy gdzieś w oddali ktoś się pojawił, wykrzykiwaliśmy ‘o, człowiek na horyzoncie!’”.

Kontakt z berlińskimi intelektualistami był trudny nie tylko z powodu różnicy temperamentów, „incompatibilité”, o której wspominała Bachmann. Na przeszkodzie stał także brak znajomości języka niemieckiego u Gombrowicza, albo odwrotnie, niezajomość francuskiego wśród Niemców. Tak więc nie dziwi fakt, że próba założenia stolika literackiego w kawiarni „Zuntz” na wzór warszawskich lokali „Zodiak” i „Ziemiańska” nie znalazła oddźwięku wśród berlińskich pisarzy i zakończyła się fiaskiem... nie, może nie całkowitym. Günter Grass wspomina: „Inną rzeczą, którą przypominam sobie z tamtego okresu, była jego łatwość porozumiewania się z młodymi. Zorganizował miejsce spotkań w kawiarni „Zuntz”, gdzie spędzał popołudnia. Zasiadał tam otoczony wyłącznie młodymi ludźmi, którzy słuchali go i rozumieli, a on wsłuchiwał się w ich problemy. Podziwiałem tę jego zdolność. Nie wiem jak długo spotykał się z nimi, ale pewnego dnia doszedłem do wniosku, że w tych spotkaniach nie ma dla nas miejsca. Chodziło o dialog „mistrza” z uczniami.

Występował tam w roli bardziej filozofa niż pisarza, otoczony aurą, która pozwalała mu prowadzić z jego młodymi entuzjastami dysputy filozoficzne”.

Wśród nazwisk młodych przyjaciół Gombrowicza, którzy z mistrzem spotykali się przy stoliku kawiarni „Zuntz” trzy są warte szczególnej uwagi. Christos Joachimides, Grek żyjący od wielu lat w Berlinie, jest dzisiaj jednym z czołowych znawców sztuki współczesnej w Niemczech, organizatorem ważnych wystaw, jak na przykład retrospektywy światowej sztuki lat osiemdziesiątych, legendarnej wystawy „Metropolis”. Klaus Völker jest dziś znanym tłumaczem literatury francuskiej i wybitnym znawcą teatru nowoczesnego. Po zjednoczeniu został rektorem wyższej szkoły teatralnej w Berlinie Wschodnim. Jednak chyba najbardziej prominentnym z grona młodych przyjaciół Gombrowicza jest Otto Schily, który na początku lat sześćdziesiątych pracował w Berlinie jako młody adwokat: „Gombrowicz wydał mi się przede wszystkim osobą o ogromnej elegancji intelektualnej. Tę elegancję wyczuwało się tak w sposobie mówienia jak i samym zachowaniu. W berlińskim środowisku był niezwykłym zjawiskiem, postacią, która bardzo silnie się wyróżniała. Nie sposób racjonalnie wytłumaczyć, czym jest elegancja. To kwestia intuicji. Jest to nie tyle pewna postawa, co raczej aura, która kogoś otacza. (...) Elegancja jest bardzo ważnym pojęciem, także w kategoriach moralnych. Inny z moich przyjaciół zwykł (...) mawiać, że politykę powinno oceniać się podług kryteriów estetycznych. Sądzę, że takie zdanie mogłoby paść z ust Gombrowicza. Wydaje mi się, że dla niego problem estetyki był czymś zasadniczym, nawet może i w odniesieniu do moralności, etyki. To przedziwne połączenie estetyki i moralności, które wcale nie musi prowadzić do amoralności, jest rzeczą bardzo jasno określoną i stanowiącą zarazem istotę jego poglądów”.

6.

Według relacji Zuzanny Fels – przyjaźniącej się w Berlinie z Gombrowiczem Polki, mistrz często przechadzał się z Lissą Bauer i Otto Schilyem po Berlinie. Szczególnie interesowała, niepokoiła wręcz Gombrowicza wschodnia część miasta. Na zachodzie ustawiono wówczas platformy, z których

można było spojrzeć na „ocean komunizmu”. Pewnego dnia Gombrowicz razem z Lissą Bauer i Otto Schilym wszedł na jedną z platform przed murem. Gombrowicz zapytał, czy nie mają lornetki. Nie mieli.

7.

Niektórzy z zaproszonych przez Fundację Forda a później przez DAAD pisarzy pozostali w Zachodnich Niemczech. Ich przyjazd do Berlina był krokiem do emigracji. Z Polaków został Witold Wirpsza. Kilka lat po nim Adam Zagajewski, który potem przeniósł się do Paryża. Większość z nich do Polski wróciła. Gombrowicz, mimo że nie miał dokąd wracać, jednak z Berlina wyjechał. 17 maja 1964 roku na lotnisku w Tegel pożegnali go młodzi przyjaciele: Lissa Bauer, Zuzanna Fels, Tadeusz Kulik, Christos Joachimides i Otto Schily. W prezencie od nich otrzymał lornetkę.

Berlin, 15 lutego 1999 r.

Basil KERSKI

## Europejski Konkurs Fotografii

### ROZMOWA Z BOGDANEM KONOPKĄ

W 1995 r. w szwajcarskim mieście Vevey odbyła się pierwsza edycja Europejskiego Konkursu Fotografii, organizowanego przez władze miasta, pod patronatem największych wytwórców sprzętu fotograficznego i innych instytucji państwowych i prywatnych. „Celem organizatorów jest poszukiwanie nowych talentów i wspomaganie ich w pracy i indywidualnych poszukiwaniach twórczych” – pisze w katalogu konkursu Michel Berney – prezydent Asocjacji Images, współtwórca akcji.

W 1998 r. laureatem Grand Prix de la Ville de Vevey został wrocławianin, od dziesięciu lat mieszkający we Francji, Bogdan Konopka.

Renata GŁOWACKA: – *W konkursie w Vevey wyróżniono 16 autorów. Ty zostałeś laureatem głównej nagrody. Walczyli o nią przedstawiciele prawie wszystkich krajów europejskich...*

Bogdan KONOPKA: – Każde z państw wybrało swoich pięciu kandydatów poprzez komisję narodową. W każdym kraju selekcjonowanie kandydatów wyglądało inaczej. Np. we Francji komisję narodową powołało Ministerstwo Kultury i Sztuki, w Polsce, nie wiadomo dlaczego, kandydatów proponował Zespół Szkół Fototechnicznych. Do konkursu przystępowało się anonimowo. Zostałem wytypowany przez Francję, mimo że nie mam obywatelstwa francuskiego. Po raz drugi zresztą Francja zdecydowała się wśród swoich kandydatów wystawić cudzoziemca – w pierwszej edycji konkursu pod sztandarem Francji wystartował i został nagrodzony Portugalczyk, teraz – Polak. Świadczy to o niesłychanej otwartości tego kraju.

R. G.: – *To druga edycja konkursu?*

B.K.: – Tak, ale następne będą organizowane co dwa lata. Nagroda główna to pieniądze przeznaczone na realizację projektu, jaki każdy artysta miał obowiązek przedstawić przed komisją kwalifikacyjną. Oprócz projektu, regulamin wymagał przedstawienia dziesięciu fotografii, reprezentatywnych dla pracy kandydata.

R. G.: – *Nie jest to więc nagroda za dzieło, ale na dzieło.*

B.K.: – Jest to nagroda za dotychczasowy dorobek i zachęta do kontynuowania pracy. Nagroda jest rodzajem sponsorowania pracy fotograficznej i służy do sfinansowania dużego projektu. Projekt przedstawiony komisji musi być dobrze uzasadniony. Jeżeli pokaże się wspaniałe zdjęcia a projekt jest nieciekawym – kandydat odpada.

R. G.: – *Jakie zdjęcia pokazałeś w Vevey?*

B.K.: – Pokazałem dziesięć zdjęć z „serii paryskiej”. W 1994 r.

otrzymałem Stypendium Miasta Paryża, dzięki któremu przez dwa lata mogłem fotografować to miasto. Miała powstać z tego książka, na razie jeszcze się nie ukazała, ale zdjęcia zostały zakupione przez wiele kolekcji, m.in. Centrum Pompidou, Fond National d'Art Contemporain i inne.

R. G.: – *Co zaproponowałeś w swoim projekcie?*

B.K.: – Zapisałem chęć powrotu do Europy Wschodniej i Centralnej, żeby pokazać tamtą część Europy, głównie Polskę, Czechy, Węgry i Słowenię. Chciałbym sfotografować też Ukrainę, Białoruś, Litwę, Łotwę, Estonię, ale także Słowację i Rosję. Zaznaczyłem w projekcie, że pragnę objechać te kraje w oparciu o mój karnet adresowy – to jest klucz do tej podróży. Widzę w tym rolę moich tamtejszych przyjaciół, którzy mogą mi dać jakieś kontakty, pokazać ciekawe miejsca. Rośnie zainteresowanie Moskwą i innymi centrami kultury Wschodu, ale nikt chyba nie pokazywał panoramy tamtej części Europy końca tysiąclecia. Mam wielu znajomych w tej części Europy, która politycznie do Europy ciągle dotrzeć nie może. Muszę się liczyć z kłopotami wizowymi.

R. G.: – *Nie powiedzialesz dotąd, jak wysoka jest ta nagroda.*

B.K.: – Zaczę może od drugiej nagrody, bo dalsze to nagrody rzeczowe. II nagroda to 10.000 fr. szwajcarskich, które artysta otrzymuje na swoją pracę i nie ma żadnych zobowiązań. *Grand Prix* to 40.000 fr.szw., ale – jak wspomniałem – te pieniądze muszą być przeznaczone na realizację projektu.

R. G.: – *Czego będziesz szukał na Wschodzie?*

B.K.: – Nie wiem. Myślę, że objechanie tego ogromnego terenu, z udziałem nawiązanych kiedyś przyjaźni, zapisywanych adresów, pozwoli mi przebić się przez powierzchnię tego, czym jest jakieś miejsce i wydobyć te specyficzne klimaty. Nie da się tego przewidzieć. Paryż można przecież fotografować do końca życia. Nie wiem, co zobaczę w Kijowie, na Sołowkach i w innych miejscach, które chciałbym odwiedzić.

R. G.: – *A Twoje plany na XXI wiek? Co będziesz robił po zrealizowaniu projektu „Reconnaissance”?*

B.K.: – W październiku 2001 r. zdjęcia z tego projektu będą zaprezentowane w Vevey. Polska część tej pracy będzie pokazana już we wrześniu w Instytucie Polskim w Paryżu. Potem we Wrocławiu, Poznaniu, Jeleniej Górze, Katowicach i pewnie w innych miastach. A później? Nie wiem.

R. G.: – *Dziękuję za rozmowę.*

Z Bogdanem KONOPKĄ  
rozmawiała Renata GŁOWACKA

## Obchody mickiewiczowskie we Francji

Rok Mickiewiczowski, hucznie obchodzony na całym świecie, nabrał szczególnych wymiarów we Francji, gdzie poeta spędził swój „wiek męski”. Powołany na tę okazję Francuski Komitet Obchodów Dwusetlecia Urodzin Mickiewicza zgromadził przedstawicieli wszystkich prawie znajdujących się we Francji osób, instytucji czy grup badawczych związanych z Polską. Strategicznym celem było przypomnienie nazwiska poety, który poprzez swoje przyjaźnie i działalność wpisał się również we francuską historię. Przypomnienie postaci, ale także promowanie nowych wydań i tłumaczeń oraz studiów krytycznych, dających nowoczesne klucze do jego dzieła.

Ważne było, żeby obchody zmobilizowały elitę polityczną i intelektualną Francji, oraz by ukazać Mickiewicza jako emblematyczną postać całej Europy Środkowo-Wschodniej. Nie „nacjonalistycznego” poetę Polaków, ale twórcę i wyraziciela kultur tej części Europy. Szczególnie ważne jest

rozpoznanie i uznanie tych kultur w perspektywie przystępowania do Wspólnoty Europejskiej.

Dlatego szczęśliwie się złożyło, że wysoki patronat nad obchodami objął prezydent Francji Jacques Chirac i że zostały one wpisane do uroczystości oficjalnych (*célébrations nationales*). Patronat objął również, na wniosek nie tylko polskiej delegacji, ale również białoruskiej, litewskiej i ukraińskiej, dyrektor generalny UNESCO Federico Mayor. Duża w tym zasługa w obu wypadkach członków Komitetu Honorowego – ambasadora Polski prof. Stefana Mellera i przewodniczącego Polskiej Komisji UNESCO prof. Jerzego Kłoczowskiego. Ważne też, że biogram do katalogu uroczystości oficjalnych napisał wykładowca Collège de France, prof. Bronisław Geremek.

Trzy najważniejsze wydarzenia obchodów związane zostały ze słynnymi instytucjami kulturalnymi we Francji: festiwalem w Avignon, Institut de France i Collège de France.

Pierwsze chronologicznie było oratoryjne wystawienie „Dziadów” w ramach festiwalu w Avignon. Niby nazywało się to „czytanie” (*lecture*), ale Andrzej Seweryn, reżyser wydarzenia, ustawił dziesiątkę aktorów w ten sposób, że odczytywali tekst jak partyturę zza stojaków na nuty. Rzecz miała miejsce w tzw. „sadle” (*Vergier*), na trawniku przylegającym do murów pałacu papieskiego o 11 wieczorem. Z początku jedynym oświetleniem było kilkadziesiąt świec ustawionych w szczelinach starego muru, oświetlających kilka wielkich planszy ze zdjęciami z najważniejszych inscenizacji. Potem punktowce wydobywały aktorów i – zdjęcia – z kolejnych scen. Około czterystu osób (dwa razy więcej niż zaplanowano początkowo miejsc) słuchało dramatu przez przeszło dwie godziny w prawdziwym skupieniu i z rzeczywistą emocją. Udało się z francuskich aktorów wydobyć autentyczne przeżycie, a emocja jest najsilniejszym argumentem w teatrze.

Adaptacja tekstu oparła się głównie na tłumaczeniu wolnym wierszem Jacques’a Donguy i Michała Masłowskiego, z dwoma wyjątkami: „Widzeniem księdza Piotra” w XIX-wiecznym tłumaczeniu prozą Krystyna Ostrowskiego i z

„Wielką Improwizacją” w rymowanym, udanym przekładzie Julii Juryś. Jeśli chodzi o wybór scen, chodziło o ukazanie struktury całości – przemian bohatera i wzajemnej zależności scen zbiorowych z indywidualnymi.

Seweryn jako Gustaw-Konrad stworzył prawdziwą kreację, inną niż wszyscy jego wielcy poprzednicy. Może dlatego, że grał dla publiczności francuskiej, ukazał Konrada-buntownika, w rewolucyjnym porywie gotowego do zamachu na Boga. Pod wpływem tego przedstawienia, które w kuluarach uznane zostało za najważniejsze może wydarzenie festiwalu, Frédéric Ferney napisał w *Figaro*: „Wystarczy raz usłyszeć Andrzeja Seweryna (...) jak wibruje wszystkimi nerwami i całą duszą w ‘Dziadach’ Mickiewicza, by zdać sobie sprawę z przepaści jaka dzieli Francuzów od romantyzmu. To nie aktor czytający poemat, to żołnierz niosący święty sztandar, bohater który ukradł bogom głownię Prometeusza i który spala się w nieuleczalnym cierpieniu”.

To oratoryjne przedstawienie „Dziadów” udowodniło, że nie ma problemu hermetyczności dzieła, zrozumiałego rzekomo tylko dla Polaków: emocja miłosna, poczucie solidarności, odruch buntu są uniwersalne, poczucie niesprawiedliwości również. Wielka poezja, gdy uda się przywołać powiew ducha w niej zawarty, jest zawsze i wszędzie wielką poezją. Dlatego trzeba koniecznie w przyszłości doprowadzić do wystawienia „Dziadów” w jednym z wielkich teatrów Francji, by wydarzenie wprowadziło Mickiewicza do stałego repertuaru jako oczywistość.

Prasa żywo zareagowała. Najważniejsze jednak, że elita kulturalna przypomniała sobie o istnieniu „Dziadów” i że jest zainteresowanie ich wystawieniem.

Drugim ważnym elementem obchodów stała się wystawa „Mickiewicz, Francja, Europa” w pałacu Dosne-Thiers, podlegającym Institut de France, gdzie zgrupowane są Akademie. Wystawę wyprzedził uroczysty seans Instytutu 15 grudnia, w czasie którego przy wypełnionej sali mówili o Mickiewiczu, pod przewodnictwem członka Akademii Francuskiej Alaina Décaux, ambasador Polski prof. Stefan Meller („Mickiewicz i Europa”), przewodniczący Polskiego Komitetu UNESCO prof. Jerzy Kłoczowski („Mickiewicz i tradycje Europy

Środkowo-Wschodniej”) i przewodniczący Francuskiego Komitetu Obchodów prof. Michał Masłowski („Mickiewicz i Francja: dwa modele uniwersalności”).

Wernisaż odbył się nazajutrz, 16-go grudnia. Wystawa stworzona plastycznie przez Jerzego Neumarka według scenariusza Krzysztofa Rutkowskiego, wiceprzewodniczącego Komitetu, była bardzo nowoczesna. Wielkie plansze na kształt olbrzymich pergaminów rozwijały się przed oczami widza, informując o poszczególnych wydarzeniach czy problemach, oraz przywołując cytaty, opinie, krytyki... Olbrzymie, na całą ścianę powiększenie dagerotypu Nadara z 1854 r. przedstawiające znane postaci ówczesnego świata, w tym Mickiewicza, przenosiło w kontekst epoki. Na piętrze zrekonstruowana została sala wykładowa w Collège de France z ulotkami jakie Mickiewicz rozdawał w czasie ostatnich wykładów i z głosem Andrzeja Seweryna czytającym fragmenty lekcji. Ekspozyty, udostępnione przez Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie i przez Bibliotekę Polską w Paryżu zostały zgrupowane w kilku działach: I. Wizja Francji: „My z Napoleonem” czy Napoleon z nami?; My i On: Mickiewicz i Francuzi; II. Wizja Europy: kresy, Wilno, Przyjaciele Moskale; III Mickiewicz w Collège de France; IV: Mickiewicz w Europie.

Wystawa na ogół bardzo podobała się zwiedzającym.

Nazajutrz, pod tym samym co wystawa tytułem „Mickiewicz, Francja, Europa”, odbyło się uroczyste otwarcie sesji naukowej w Collège de France, z udziałem tych samych osobistości. Sesję otworzył François-Xavier Coquin, profesor Collège de France, historyk-rusycysta wykładający historię Słowian, a więc w pewnym sensie następca Mickiewicza.

Plan sesji (odpowiedzialny: Michał Masłowski) ułożony został według trzech osi tematycznych: Mickiewicz a Francja, Mickiewicz a Europa Środkowo-Wschodnia i Wschodnia, Mickiewicz a wizja Europy.

Najważniejsza była tematyka środkowo- i wschodnio-europejska. Pierwszy był panel rosyjski: najpierw rusycysta Georges Nivat z Genewy porównał Mickiewiczowską i Puszkiniowską wizję Europy, co było nowością w stosunku do tradycyjnego przypominania ambiwalentnej przyjaźni obu

poetów. Następnie znany komparatysta Michel Cadot z Paryża przywołał związki Mickiewicza z Hercenem i Bakuninem. Wreszcie językoznawca z Moskwy Anatol Szajkiewicz przedstawił rezultaty nieukończonych niestety porównawczych badań komputerowych nad związkami leksykalnymi u Mickiewicza i u Puszkina. W dyskusji sami organizatorzy podnieśli brak referatu o Sołowiewie, który by dopełnił obrazu recepcji Mickiewicza w kulturze rosyjskiej.

Następnie przysła kolej na „rodzienną Europę”. Jerzy Kłoczowski z Lublina przypomniał dziedzictwo Rzeczypospolitej Obojga Narodów w twórczości Mickiewicza, a Daniel Beauvois z Paryża ścieranie się despotyzmu z kulturą w okresie studiów Mickiewicza na Uniwersytecie Wileńskim. Dwaj Litwini – historyk Egidijus Aleksandrovicius, prorektor Uniwersytetu Kowieńskiego i polonista Algis Kaleda z Uniwersytetu Wileńskiego omówili skomplikowaną na tle narodowościowym recepcję Mickiewicza na Litwie. Białorusin Aleh Łojka z Mińska przywołał etapy recepcji poety w literaturze białoruskiej. Historyk Leszek Kuk z Torunia (aktualnie pracujący w Nancy), wskazał na związki Mickiewicza z rozbudzeniem się tożsamości narodowej w Europie Środkowo-Wschodniej. Znany ukrainista George G. Grabowicz z Harvardu przypomniał wpływ poety na Szewczenkę i Franka. Joanna Goszczyńska z Warszawy omówiła recepcję i wpływ dzieł poety na romantyzm słowacki. Janusz Odrowąż-Pieniążek z Warszawy ewokował recepcję Mickiewicza wśród wygnańców polskich na Syberii. George Gömöry z Cambridge przedstawił mało znaną przemianę stosunku poety do Węgier na skutek powstania 1848 r., kiedy to oczywista się stała wspólnota interesów obu narodów. Mihai Mitu z Bukaresztu opisał bogatą a nieznaną historię recepcji Mickiewicza w Rumunii. Wreszcie znany krytyk literacki z Tel-Awivu Yoram Bronowski podniósł wzbudzającą namietności kwestię nieudowodnionego żydowskiego pochodzenia poety, ale z konkluzjami idącymi w stronę drugorzędnego charakteru tej nie do rozwiązania sprawy, gdyż liczą się związki kultur a nie krwi. W dyskusji załowano, iż nie została wystarczająco przywołana sprawa przejścia modelu poety narodowego przez poezję hebrajską początku wieku.

W sumie ta najbogatsza oś tematyczna sesji przyniosła niekwestionowane przekonanie o Mickiewiczowskim pochodzeniu modelu poety narodowego – przywódcy duchowego i twórcy paradygmatu kultury narodów bez państwa – dla przeważającej części Europy Środkowo-Wschodniej. Pisał po polsku, ale jest również poetą litewskim, białoruskim i żydowskim, o olbrzymim znaczeniu także dla mesjanizmu słowackiego. W dyskusji padło pytanie, jak się okazuje kontrowersyjne, co do jego związków z kulturą serbską. Do sprawdzenia.

Odrębny panel poświęcony został sprawie tłumaczeń. Ostatniego dnia w Bibliotece Polskiej, uczestnicy sesji wysłuchali czterech referatów. François Rosset z Lozanny omówił najpierw teoretyczne problemy tłumaczeń na francuski, następnie Elżbieta Skibińska z Wrocławia zanalizowała rozmaite rozwiązania w tłumaczeniach „Pana Tadeusza” na francuski pod względem materialnych elementów kultury szlacheckiej. Yukio Kudo z Tokio, tłumacz „Pana Tadeusza” na japoński, mówił następnie o swoich zmaganiach z tekstem, a japonista Andrzej Włodarczyk z Grenoble o problemach związanych z różnicami konwencji dobrego wychowania w Japonii, w Polsce i we Francji. Podsumował sesję Michał Masłowski, podkreślając nowość poruszanej problematyki, wychodzącej daleko poza tradycyjną interpretację patriotyczną a ustalającą za to, poprzez Mickiewicza, wspólnotę modelu kulturowego Europy Środkowo-Wschodniej.

Materiały tej sesji zostaną wydane przez UNESCO prawdopodobnie jeszcze w 1999 roku.

Oprócz tych najważniejszych symbolicznie wydarzeń, Rok Mickiewiczowski pełen był innych inicjatyw, o których, z powodu braku miejsca, możemy tylko wspomnieć. A więc miała miejsce druga sesja mickiewiczowska której patronował Komitet – zorganizowana w dniach 4-5 grudnia przez Francuskie Stowarzyszenie Studiów Polonistycznych (SFEP) w Instytucie Słowianoznawstwa – konferencja „Mickiewicz sam o sobie” (odpowiedzialna: Maria Delaperrière). Inna sesja, zorganizowana przez Konsulat Generalny RP i Uniwersytet Katolicki w Lyonie miała miejsce 8-9 grudnia, kładąc akcent na związki poety z Polską i z Litwą. Wreszcie trzecia,

jednodniowa konferencja odbyła się 13 stycznia w Dijon. Wystawy i uroczystości mickiewiczowskie miały poza tym miejsce w wielu innych miastach: w Tuluzie, w Lille, w Nancy... Komitet Obchodów wybił medal okolicznościowy wg projektu Jerzego Neumarka. Wiele wykładów o Mickiewiczu miało miejsce w różnych francuskich i polskich instytucjach. Ukazało się w wydawnictwie Noir sur Blanc nowe tłumaczenie „Dziadów” Roberta Bourgeois, a w l'Age d'Homme „Ballady i romanse” Rogera Legras.

Na pewno kolejny raz okazało się, że Mickiewicz jest ciągle żywy, i jednocześnie, że jest trudny do przełożenia na kartezjańskie kategorie francuskiej kultury. Ale też, że odkrywając go, odkrywa się ukrytą, komplementarną w stosunku do Zachodu twarz „innej Europy”.

*Michał MASŁOWSKI*

## FUNDUSZ IM. ADAMA MICKIEWICZA

Akcja mająca na celu utworzenie Funduszu im. Adama Mickiewicza na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku powoli przynosi rezultaty. Oficjalnie akcja ta rozpoczęta została przez Wydział Języków i Literatur Słowiańskich oraz Centrum Europy Środkowo-Wschodniej przy Instytucie Harrimana Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku podczas sympozjum upamiętniającego dwustulecie urodzin Adama Mickiewicza w grudniu 1998 r.

Podczas tej uroczystości profesor Robert A. Maguire, kierownik katedry slawistyki oraz profesor John Micgiel, dyrektor Centrum Europy Środkowo-Wschodniej, przypomnieli historię studiów polskich na tym uniwersytecie i mówili o konieczności wskrzeszenia i podtrzymywania tej tradycji. Mocny, efektowny program literatury, kultury i historii Polski na tym uniwersytecie leży zarówno w interesie studentów, kadry naukowej uniwersytetu, jak też w interesie Polski i społeczności polskiej w Ameryce, bowiem Columbia kształci elitę intelektual-

ną tego kraju, a ta elita z kolei kształtuje obraz Polski w świadomości amerykańskiej. Warto przypomnieć, że obecny ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce, Daniel Fried jest właśnie absolwentem Uniwersytetu Columbia.

Pierwszą sumą, która wpłynęła na ten cel, na całe pół roku przed publicznym ogłoszeniem akcji, była donacja amerykańskiej Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego, w wysokości 26.273,00 dolarów. Jednocześnie Fundacja Jurzykowskiego wystosowała wezwanie do innych instytucji. Na wezwanie odpowiedziała Fundacja im. Tadeusza Kościuszki w Nowym Jorku, darując identyczną sumę w wysokości 26.273,00 dolarów. Był to decydujący moment w akcji, bowiem z taką sumą wyjściową można było już formalnie zarejestrować na uniwersytecie fundusz, na który dalej będzie można zbierać pieniądze, ale który już będzie przynosił dywidendy.

Trzeba przy tym zaznaczyć, że Fundacja Kościuszkowska stale popiera studia na Columbii różnymi sposobami. Od kilku lat opłaca jeden kurs z literatury rocznie, a ponadto wielu studentów uniwersytetu jest stypendystami Fundacji Kościuszkowskiej. Trzeba niewątpliwie przyznać, że Fundacja Kościuszkowska ma największe chyba zasługi w popieraniu polskich programów na wyższych uczelniach w Stanach Zjednoczonych. Dobrze byłoby, aby inne fundacje i organizacje polskie poszły w ślady Fundacji Kościuszkowskiej.

Podczas sympozjum mickiewiczowskiego wpłynęła także donacja od osoby prywatnej, dr Joanny Rostropowicz-Clark, w wysokości 1.000,00 dolarów. Również studenci Columbii zebrali sumę 30,00 dolarów, którą ofiarowali na Fundusz im. Adama Mickiewicza.

Należy przypomnieć, że to Czesław Miłosz, znakomity polski poeta, laureat Nagrody Nobla, ustanowił dzięki swym staraniom, katedrę literatury polskiej na tym uniwersytecie na początku lat pięćdziesiątych. Działała ona jakiś czas, ale z powodu braku funduszy została zaniechana. Obecnie, blisko pięćdziesiąt lat później, istnieje paląca potrzeba, aby ją reaktywować.

Niestety w polskim środowisku istnieje opieszałość w rozumieniu wagi tych spraw. Warto podkreślić, że Fundusz Ukraiński szczyt się ponad 500.000,00 dolarowym funduszem. Rząd Rumunii wskrzesił katedrę im. Iorgi na tym Uniwersytecie. Nawet Fundusz Serbski przewyższa o kilkadziesiąt tysięcy fundusz polski i to w momencie, kiedy liczba polskich studentów na tym uniwersytecie jest rekordowa.

W chwili obecnej na Columbii dostępnych jest kilka

wykładów (kursów) z literatury polskiej, trzy poziomy lektoratu języka polskiego, oraz wykłady (kursy) z historii Polski.

Do magisterium włącznie studenci mogą specjalizować się w literaturze lub historii, mogą też połączyć to ze specjalizacją w dziedzinach pokrewnych, takich jak kultury słowiańskie, czy też historia Europy Wschodniej.

Pewna liczba doktorantów wybiera sobie literaturę polską jako specjalizację dodatkową, a nawet wybierają sobie temat z pogranicza. Zebranie dostatecznej ilości pieniędzy na Fundusz im. Adama Mickiewicza umożliwiłoby zaoferowanie większej ilości wykładów z tych przedmiotów, a co za tym idzie pełną specjalizację na poziomie magisterskim i doktoranckim. Zależy to bowiem od ilości dostępnych zajęć z danej dziedziny, oraz liczby profesorów, którzy mogą takimi studiami pokierować.

Poza zajęciami programowymi i ściśle akademickimi, na Columbii odbywają się konferencje i sympozja naukowe. Na przełomie lat 1999-2000, odbędzie się konferencja na temat obecnych stosunków polsko-ukraińskich na tle historycznym.

(afz)

**Czeki wystawione na: „Columbia University – Mickiewicz Endowment Fund” można przesyłać na adres:**

**Mickiewicz Endowment Fund  
East Central European Center  
Columbia University MC – 3336  
New York, NY 10027  
U.S.A.**

**Dodatkowe informacje można uzyskać u następujących osób:**

**Prof. John Micgiel, Director, East Central European Center,  
tel.: (212) 854-4008;**

**Prof. Robert A. Maguire  
Chairman, Department of Slavic Languages  
tel.: (212) 854-3942**

**Prof. Anna Frajlich-Zajac  
Department of Slavic Languages  
tel.: (212) 854-4850**

## FUNDACJA „POLSKA KATEDRA W UNIWERSYTECIE JEROZOLIMSKIM”

Komunikat nr 6

1. Podpisanie umowy z Uniwersytetem Hebrajskim w Jerozolimie.

W dniu 29.12.1998 r. podpisana została umowa pomiędzy Fundacją a Uniwersytetem Hebrajskim w Jerozolimie. Umowa precyzuje warunki na jakich zaproponowani przez Fundację wykładowcy z Polski pracować będą w Katedrze Historii i Kultury Polskiej Uniwersytetu Hebrajskiego oraz inne szczegóły współpracy. W dniu 30.12.1998 przekazaliśmy na konto Uniwersytetu Hebrajskiego sumę 250 tys. dolarów. Wraz z sumą 50 tys. dolarów ofiarowanych przez p. Stevena Schwarza z USA i przekazaną wcześniej na rzecz Uniwersytetu Hebrajskiego stanowi to całość zobowiązania finansowego Fundacji w stosunku do tego Uniwersytetu. Suma 300 tys. USD zostanie zainwestowana przynosząc 15 tys. USD rocznie (5%). Taką samą kwotę na rzecz Katedry będzie wpłacał rocznie Uniwersytet Hebrajski. Ze środków tych będą pokrywane m.in. koszty podróży i pobory wykładowców oraz inne koszty związane z funkcjonowaniem Katedry. Rozpoczęcie pracy Katedry Historii i Kultury Polskiej przewidywane jest w kwietniu 1999 r. Pierwszym wykładowcą, który prowadzić będzie zajęcia w semestrze letnim roku akademickiego 1998/1999 będzie historyk sztuki, prof. Jacek Woźniakowski.

2. Nowa kadencja władz Fundacji

W dniu 15.12.1998 odbyło się wspólne posiedzenie grona Fundatorów i Rady Fundacji oraz Zarządu

Fundatorzy powołali Radę Fundacji na kadencję 1999-2001 r. W skład Rady weszli profesorowie: Maria Bogucka, Włodzimierz Bolecki, Jerzy Malinowski, Andrzej Mencwel, Janusz Tazbir, Andrzej Wyczański, Jerzy Zdrada oraz ks. dr hab. Stanisław Obirek.

W dn. 18.01.1999 odbyło się posiedzenie Rady Fundacji, na którym wyłonione zostało jej prezydium w składzie: prof. Andrzej Wyczański – przewodniczący oraz prof. Jerzy Malinow-

ski – sekretarz. Rada powołała Zarząd Fundacji na kadencję 1999-2001. W jego skład weszli profesorowie: Jan Dowgiałło – prezes, Stanisław Frybes – wiceprezes, Adam Manikowski – skarbnik, Szymon Rudnicki – sekretarz i Lech Sokół.

3. Wpłaty na rzecz Fundacji

W okresie jaki upłynął od przygotowania Komunikatu Nr 5, tj. od 15.04.1998 następujące osoby dokonały wpłat na Rzecz Fundacji:

dr Andrzej Ciechanowiecki (Londyn) – 15.000 USD  
p. Maciej Czajka (Gdańsk) – 100 zł (po raz drugi)  
p. Władysław Dadak (Kraków) – 100 zł (po raz drugi)  
p. Anna Leskiewicz-Bogdanowicz (Bruksela) – 100 USD  
dr Andrzej Olechowski (Warszawa) – 1000 zł  
p. Genowefa Sobkowicz (Chicago) – 100 USD (po raz drugi)  
p. Alexis Reicher (Vesenz, Szwajcaria) – 300 zł.

4. Stan konta Fundacji

Według stanu na dzień 31.12.1998 Fundacja ma na koncie 26.800 zł i 1900 USD (obie sumy w zaokrągleniu).

5. Prośba o dalsze wpłaty na Rzecz Fundacji

Podpisanie umowy z Uniwersytetem Hebrajskim oraz przekazanie na jego rzecz sumy 300 tys. USD zakończyło pierwszy etap działalności Fundacji. W ciągu kolejnej kadencji jej władz realizowane będą inne zadania statutowe, do których należy m.in.: organizacja pobytów w Polsce badaczy izraelskich zajmujących się historią i kulturą polską, organizacja, a następnie wzbogacenie księgozbioru Katedry, przyznawanie stypendiów wyróżniającym się studentom Uniwersytetu Hebrajskiego specjalizującym się w zakresie historii Polski i jej kultury, wspieranie inicjatyw mających na celu rozwój polsko-izraelskich stosunków kulturalnych itp.

Jesteśmy przekonani, że wszystkie te działania będą służyć podstawowemu celowi Fundacji, jakim jest udział w usuwaniu wielowiekowych uprzedzeń i poprawa stosunków polsko-żydowskich. Mając to na względzie zwracamy się z prośbą o dalsze wspieranie finansowe działalności Fundacji.

Wpłaty prosimy kierować na konto:



Fundacja „Polska Katedra w Uniwersytecie Jerozolimskim”  
Bank Handlowy S.A., IV Oddział w Warszawie, Nr konta  
złotówkowego: 10301058-00867401 Nr konta dewizowego  
(dolary USA) : 10301058-00867402.

Warszawa, 20.01.99

Prof. Andrzej WYCZAŃSKI  
Przewodniczący Rady Fundacji

Prof. Jan DOWGIAŁŁO  
Prezes Zarządu Fundacji

## UNIwersytet Letni Kultury Polskiej – Rzym 1999

Fundacja Jana Pawła II oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski organizują od 14 czerwca do 3 lipca 1999 r. W Domu Polskim Jana Pawła II, Via Cassia 1200 w Rzymie Uniwersytet Letni Kultury Polskiej.

Temat: Związki kultury polskiej z kulturą europejską i amerykańską.

Program: Dawna i najnowsza historia Polski, myśl religijno-moralna Jana Pawła II, społeczno-gospodarcza sytuacja Polski, literatura polska, sztuka polska, polski film i teatr, muzyka polska, polska literatura i sztuka na emigracji, Kościół na emigracji, wkład polskiej emigracji w kulturę światową.

Wykłady w języku polskim i angielskim.

Studenci mogą uzyskać 5 punktów (*credits*).

Przewidywana jest audyencja u Ojca Świętego, zwiedzanie Rzymu i Muzeów Watykańskich oraz wycieczki do Asyżu, Orvieto, Monte Cassino i Pompei.

Koszt uczestnictwa łącznie z mieszkaniem i wyżywieniem w Domu Polskim oraz wycieczkami wynosi 950 dolarów USA (studenci 800 dolarów); przejazd do Rzymu na koszt uczestnika. Przy zapisie obowiązuje przedpłata w wysokości 300 dolarów USA lub równowartość w innej walucie, którą potrąca się od kosztów uczestnictwa. Pozostałą kwotę uczestnicy wpłacają po

przyjeździe do Rzymu.

Zgłoszenia należy kierować do dnia 15 maja 1999 wraz z czekiem lub M.O. wystawionym na adres:

POLSKI INSTYTUT KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ  
Via di Porta Angelica 63  
00193 Roma, Italia  
tel./fax 39/06/686-18-44  
http://www.jp2f.opoka.org.pl; e-mail: jp2f@pronet.it

Osoby, które chcą przyjechać wcześniej lub pozostać dłużej, mogą zatrzymać się w Domu Polskim Jana Pawła II, rezerwując pokój na trzy miesiące przed przyjazdem.

## BILANS EMIGRACJI

Podczas Targów Książki w Lipsku odbyło się kolokwium zorganizowane przez Polski Instytut w Lipsku i p. Basila Kerskiego poświęcone bilansowi polskiej myśli politycznej i literatury emigracyjnej w latach 1945-1990.

### Program kolokwium:

26 marca r.

I Sesja:

Powitanie: Łukasz Gałecki, wicedyrektor Polskiego Instytutu w Lipsku; Wprowadzenie: Basil Kerski, publicysta, redaktor naczelny niemiecko-polskiego magazynu *Dialog*; Polska i Europa: Wpływ *Kultury* na polską myśl polityczną – Andrzej Friszke, historyk, PAN; Publicystyka Juliusza Miroszewskiego: Lekcja politycznego realizmu – Leszek Szaruga, pisarz, literaturoznawca, Uniwersytet Szczeciński; Koncepcja nowej polskiej polityki wschodniej *Kultury* – Jerzy Pomianowski, publicysta, tłumacz, literaturoznawca, Kraków; Między „Niepokornymi z Londynu” a paryską *Kulturą*: O sztuce zmieniania poglądów przy jednoczesnej wierności zasadom – Rafał Habielski, historyk i literaturoznawca, IBL; Polska emigracja w kontekście polityki międzynarodowej okresu Zimnej Wojny – Paweł Machcewicz, historyk, PAN; Berlińskie „Kongresy Wol-

ności Kultury” a sprawa polska – Mirosław Supruniuk, bibliograf, Uniwersytet Toruński.

#### II Sesja:

Polska emigracja a NRD – Andrzej Stach, dziennikarz, Deutsche Welle Berlin; Literatura jako obszar zastępczy polityki? – Włodzimierz Bolecki, literaturoznawca, IBL; Polska literatura emigracyjna – Język a tożsamość – Hans-Christian Trepte, literaturoznawca, Uniwersytet Lipski; Komentarz: German Ritz, literaturoznawca, Uniwersytet w Zurychu.

27 marca 1999

#### III Sesja:

„Kryzys tożsamości europejskiej”: Polski esej emigracyjny (Miłosz–Stempowski–Czapski–Vincenz) – Andrzej St. Kowalczyk, literaturoznawca, Uniwersytet Warszawski, „Szkice piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego: Kwestia niemiecka z perspektywy polskiego autsajdera – Jan Zieliński, literaturoznawca, Uniwersytet Fryburski/Szwajcaria; „Wielcy autsajderzy”: Proza emigracyjna (Mackiewicz–Hłasko–Haupt–Lipski) – Jerzy Jarzębski, literaturoznawca, Uniwersytet Jagielloński (zaproszony).

#### IV Sesja:

Podwójna perspektywa: Polska z perspektywy polskich pisarzy na emigracji w latach 80-tych i 90-tych – Wolfgang Schlott, literaturoznawca, Uniwersytet w Bremie; Polska i niemiecka literatura emigracyjna – próba porównania – Adam Krzemiński, publicysta, Warszawa.

#### Program uzupełniający:

- Wystawa o paryskiej *Kulturze*, zdjęcia Piotra Wójcika, *Gazeta Wyborcza* w Instytucie Polskim w Lipsku
- Prezentacja dzieła Gustawa Herlinga-Grudzińskiego: Włodzimierz Bolecki i Basil Kerski
- Prezentacja zbioru esejów Jerzego Stempowskiego „Bibliothek der Schmuggler” Basil Kerski.

## WYRÓŻNIENIA POLCUL FOUNDATION

Na kolejnym posiedzeniu w dniu 15.2.1999 r. Dyrekcja Fundacji przyznała dalszych 39 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

Barbara BARAN – za pracę społeczną na terenie Dąbrowy Górniczej; Jadwiga BIELAWSKA – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej; Emilia CHMIEŁOWA – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej; Jacek DĄBROWSKI – za pracę w Akademii Św. Jadwigi w Morawie; Jerzy GBUREK – za pracę społeczną w Starogardzie Gdańskim; Krzysztof GIERAT – za pracę w Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie; ks. Marek GŁOWNIA – za pracę w Centrum Informacji, Spotkań, Dialogu, Wychowania i Modlitwy w Oświęcimiu, Kalina GRACZ – za pracę społeczną na terenie Torunia; Ewa GRUCA-PAZERA – za pracę z młodzieżą niepełnosprawną w Gdańsku; Aleksandra HNIATUK – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej; Stanisław JABŁONKA – za pracę w Fundacji im. Brata Alberta we Wrocławiu; Filip JAROSZYŃSKI – za pracę w Towarzystwie Przyjaciół Janowca n/Wisłą; Kazimierz JEDNORÓG – za pracę przy rehabilitacji dzieci z porażeniem mózgowym w Opolu; Teresa JEDNORÓG – za pracę przy rehabilitacji dzieci z porażeniem mózgowym w Opolu; ks. Stanisław JURCZUK – za pracę wśród niepełnosprawnych; Mieczysław KOZŁOWSKI – za pracę wśród niewidomych i niepełnosprawnych; Janina KUŚ – za pracę w Fundacji „Płomyk” na Ziemi Witońskiej; Leszek KWASEK – za pracę w Towarzystwie Przyjaciół Janowca n/Wisłą; Stanisław LATAŃSKI – za pracę społeczną na terenie Gdyni; Janusz MAKUCH – za pracę w Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie; Marian MARCHOW – za pracę w Koszalińskim Towarzystwie Trzeźwości; ks. Mirosław MIKULSKI – za pracę z młodzieżą; Ludwika NIŻYŃSKA – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej; Bohdan OSADCZUK – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej, Iwona PAR-

NOWSKA – za pracę w Dziennym Domu Pomocy Społecznej Gdańsku-Wrzeszczu; Mikola RIABCZUK – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej; Maria RUTKOWSKA – za pracę w Domu Pomocy Społecznej w Starogardzie Gdańskim; Krystyna SADOWSKA – za pracę na rzecz rozwoju demokracji lokalnej; Melitta SALLAI – za pracę w Akademii Św. Jadwigi w Morawie; Sławomir SĘDZIAK – za pracę w Fundacji im. Brata Alberta w Toruniu; Maria SKIERSKA – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej; Piotr SOBAŃSKI – za pracę w Fundacji im. Brata Alberta w Krakowie; Janina SOSABOWSKA – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej; Tadeusz STEGNER – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej; Stanisław STĘPIEŃ – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej; Janusz STRZEŚNIEWSKI – za pracę społeczną na terenie Torunia; Andrzej SZYMANEK – za pracę w Towarzystwie Przyjaciół Janowca n/Wisłą; ks. Bogusław WOŁYŃSKI – za pracę społeczną na terenie Lublina; Robert ZABORSKI – za pracę z modzieżą na terenie Gdańska.

Informacje w sprawie kryteriów wyróżnień oraz zgłaszania kandydatów można otrzymać od przedstawicieli Fundacji POLCUL w Polsce. Są to:

– Jan HANASZ

ul. Krasińskiego 57 m. 10, TORUŃ, tel.: (056) 282 06

– Anna KONDRACKA

ul. Bogusławskiego 20 m. 80, WARSZAWA, tel. (022) 663 26 39

lub też zwracając się wprost do POLCUL FOUNDATION  
P.O.BOX 193

ROSE BAY. 2029. AUSTRALIA

Tel.: (61-2) 9326 2863

Fax: (61-2) 9331 5697

UWAGA: Fundacja wyróżnia wyłącznie osoby indywidualne. Wysuwanie własnej kandydatury nie jest możliwe.

## Książki

### „W imieniu prawa”\*

1. Jest pewien sposób pisania o problemach współczesnego państwa i prawa, który zawsze wzbudzał we mnie najpierw gorącą sympatię, a potem często i głęboki podziw. Specjalizuje się w nim grupa świetnie wykształconych, zdolnych, bystrych i ciekawie myślących autorów, piszących o tych niezmiernie ważnych i trudnych sprawach w sposób atrakcyjny, wręcz literacki i nie krępujących się nikim i niczym. Mają sobie za nic cały „warsztat naukowy” rodem z XIX-wiecznych niemieckich uniwersytetów, bardziej cenią efektowne skojarzenia, metafory i uogólnienia bliskie żurnalistyce. Przez pisane przez nich książki nie trzeba się przedierać; są to książki przeznaczone do czytania i to do czytania w kawiarni lub też na ławce w parku, nie zaś w dostojnych bibliotekach. Bardzo zresztą dbają o to, by zachęcić i nawet skokietować czytelnika i nie obraziliby się pewnie za recenzję, przechodzącą z ust do ust, „wicie, już nawet nie pamiętam, o co tam chodziło, ale mogę was zapewnić, że było to niezwykle błyskotliwe i inteligentne. Po prostu nie mogłem się oderwać”.

2. Otóż właśnie tego rodzaju książką jest dziełko Alaina Minca, noszące groźny tytuł „W imieniu prawa”. Rzecz jednak nie o prawie, ale o jego głównych kapłanach, czyli o sędziach. Minc nie jest żadnym debiutantem, lecz popularnym i renomowanym autorem. Jeśli się zważy, że ma w dorobku książki o kryzysie państwa, o niebezpieczeństwach

\* Alain MINC: „W imieniu prawa”, wyd. Gallimard, Paryż 1998, str. 257.

przeinformatyzowania społeczeństwa, o brakach i niedostatkach społecznej równości, o błędach, wadach i nadużyciach stosunków międzynarodowych, o szaleństwach przedemokratyzowania, o niebezpieczeństwie globalizacji (a to wcale nie są wszystkie jego książki), to widać od razu, że pisuje o najważniejszych, najbardziej konfliktowych i bolesnych problemach współczesnego społeczeństwa i państwa. Pisze wedle francuskiej manieri: zwięźle, precyzyjnie i ciekawie. Niezbyt dba o (stanowiące u nas cnotę tego rodzaju pisarstwa) „wyważenie sądów.” Ma za to swoich oddanych czytelników i nie należy się temu dziwić. A skoro autor tego pokroju i talentu uczynił teraz swoim tematem sędziów, sądy i sędziowanie – to niewątpliwie warto się z tą książką zapoznać.

Punkt wyjścia autora jest podobny, jak w wielu innych książkach tego rodzaju. Twierdzi mianowicie, że we współczesnym (rozwinętym, demokratycznym, cywilizowanym i praworządnym) państwie, sędziowie – można rzec, że ni stąd ni z owąd – uzyskali w ciągu ostatnich lat olbrzymią, autentyczną i w gruncie rzeczy niekontrolowaną władzę. Winna jest temu m.in. „bałwochwalcza wiara w prawo”, co powoduje, że do instytucji wymiaru sprawiedliwości społeczeństwo „gotowe jest podchodzić na kolanach”. Winne są też nieustanne poszukiwania arbitrów, mogących rozpatrywać i rozstrzygać najdziwniejsze spory „przecież nawet do sportu zaproszono sędziów” (tu chodzi oczywiście o profesjonalnych sędziów, a nie tych sportowych, z którymi – tak na marginesie – też są nieustanne różne kłopoty). Typowym przykładem jest oszałamiająca kariera francuskiej Rady Konstytucyjnej „pomyślanej jako organ doradczy, nie wiedzieć jak i czemu stała się czymś w rodzaju super-sądu, maszyną piekielną, która od środka rozsądza francuską konstytucję...”. Przyznają państwo sami, że taki wstęp zachęca do czytania. Słusznie. Kto będzie czytał dalej, dowie się więcej. I będą to doprawdy ciekawe rzeczy. Autor – cóż to, marksistą jest, czy jak? – wywodzi przekonująco, iż tylko gospodarka rynkowa może utrzymać przy życiu współczesne państwo (np.: taki Łukaszenka na pewno by się z nim nie zgodził...) ale to właśnie gospodarka rynkowa zbudowała trony sędziom. Rynek bez prawa – to dżungla; prawo bez rynku – to biurokracja i stagnacja (mało, drogi Autorze,

mało, to także często i tyrania, niestety). Im bardziej chcemy się liberalizować, tym bardziej prawo i sędziowie zyskują na znaczeniu. I gdybyż to jeszcze – powiada Autor – mieć taki sposób i zasady sądenia jak w Ameryce (jest konstytucja, są sądy i sędziowie, to może wystarczyć) ale we Francji jest inaczej. Sędzia ma z jednej strony przepisy, których używa, jak mu się to tylko zamarzy. Z drugiej strony ma liberalny rynek. Ale w rzeczywistości jest jeszcze trzecia strona, która gotowa jest zawsze służyć mu wsparciem i pomocą: to przestrzeń, w której hula opinia publiczna, rządzona przez media. I tu nastąpił sojusz, którego nikt nie mógł przewidzieć, a który w rezultacie zaowocował związkiem o niesłychanej sile. Z jednej strony sędzia, a z drugiej – opinia i media. A rezultat? We współczesnym społeczeństwie to właśnie sędzia stał się pierwszą i najważniejszą władzą: ustawodawca chętnie (no, to raczej nie u nas, w Polsce) korzysta z dorobku orzecznictwa, bo go to legitymizuje i zwalnia od myślenia. Rząd chowa się za pojęciem „spraw politycznych” i sędziom nie jest łatwo dobrać mu się do skóry. Ale któregoś dnia opór załamie się. Sądownictwo dobierze się do kasy państwa, do sfery finansów i wówczas staniamiy twarzą w twarz z nowym i ciekawym obrazem rzeczy.

Autor umie sięgać do historii tak, by czytelnikowi przebiegł dreszcz po plecach. Cytuje:

*„Trybunał Rewolucyjny jest powołany do karania wrogów ludu”*

*„Karą wymierzaną za przestępstwa, które rozpatruje Trybunał Rewolucyjny jest kara śmierci”.*

*„Dowodami niezbędnymi dla skazywania wrogów ludu mogą być wszelkie dokumenty: materialne, pisane lub ustne, jeśli mogą przekonać umysły uczciwe i rozsądne”.*

*Prima facie* myśli się, że to Beria; a przecież nie: to Robespierre. We współczesnym państwie wszelkiego rodzaju sądy specjalne traktowane są z niechęcią. Czasami – na krótką metę – popularność uzyskują trybunały, których zadaniem jest wymierzanie sankcji najwyższym urzędnikom państwowym, te sądy jednak zwykle raczej nie działają, a jeśli już, to

zwykle nieudolnie i nieprzekonująco. Nawet w sprawie podśluchów zarządzanych przez ministrów u różnych przeciwników politycznych nie zamierzano stawiać sprawy na ostrzu noża. Kto miał odejść – odszedł szybko i pokajał się przekonująco. (Nikt w końcu nie życzył sobie ani drugiego postępowania, ani też jakiejś szczególnie okrutnej kary. Niby zresztą dlaczego?)

Autor umie przechodzić od tematu do tematu, z miłym *esprit* i pokazuje, że często miewamy do czynienia z różnymi emocjonalnymi stanami, które ujawniają się w postaci atrakcyjnych na pierwszy rzut oka haseł: „mniej państwa”, „mniej prawa”, „mniej sądu”. Oczywiście zaraz nasuwa się pytanie: mniej dla mnie, czy dla mego sąsiada? Ma być „mniej sądu”, a więc sprawy mają się toczyć szybko i mniej formalnie. Ale przecież – na miłość Boską! – nie te, których wynikiem ja sam jestem zainteresowany, ale czuję, że do sądu przemawiają bardziej argumenty mego przeciwnika! Bo wówczas „uproszczenia” działające na jego rzecz, nazwę natychmiast „haniebnym naruszeniem prawa” i „skandaliczną niesprawiedliwością”.

A jeszcze – niby posąg Komandora – stoi przed drzwiami i domaga się wpuszczenia, sędzia europejski ten, który będzie sądził wyroki naszych, krajowych sądów. To zupełnie nowe problemy, nowe emocje i sentymenty. Ale klamka już zapadła. A co, jeśli z europejskimi sędziami przywędrują również „praworządność europejska”, „bezprawie europejskie”, „osobowość europejska” i jeszcze wiele podobnych zgoła nieoczekiwanych konstrukcji. Nawet trudno jest dzisiaj zdecydować, czy europejskie sądownictwo będziemy uznawali za „nasze” czy też za „obce”... A to też wiele znaczy.

3. Czy książkę Minca warto jest polecać polskiemu czytelnikowi, a głównie polskiemu sędziemu? O tak, niewątpliwie, jestem tego pewna. Tyle, że będzie miał pewne opory przeciwko łatwemu akceptowaniu sposobu myślenia autora. Weźmy pierwszy z brzegu przykład. We Francji każda decyzja polityczna i administracyjna jest zawsze podejrzana. Najchętniej traktuje się ją z tej tylko przyczyny jako nieuczciwą i podjętą w ukrytych przed publicznością koniunkturalnych celach. Ale rozstrzygnięcie sądowe publiczność

gotowa jest akceptować i sankcjonować zwykle bez zastrzeżeń. Uznaje się je też z reguły za legitymowane, bowiem podjęte przez nieobciążonych politycznie, niezawisłych fachowców. We wzajemnych stosunkach trzech władz sąd z reguły ma uprzywilejowaną pozycję, i posługuje się chętnie zwrotem „sprawa jest prawomocnie rozstrzygnięta” co uniemożliwia jakiegokolwiek dalsze korekty czy retusze.

Nawet w tak mało znaczących w istocie rzeczy (dla państwa!) sprawach jak zezwolenie na noszenie chust islamskich w szkołach, czy też problemy „niechcianych cudzoziemców”, ani administrator, ani też ustawodawca nie potrafili znaleźć akceptowalnego powszechnie rozwiązania, fundamentalne instytucje państwowe okazały się po prostu bezradne. Cóż było robić? Conseil d'Etat musiał w takiej sytuacji podejmować uchwały o treści politycznej. I uczynił to ku powszechnemu zadowoleniu, bo pomogło to ostatecznie załatwić sprawę w sposób, który mogli zaakceptować wszyscy zainteresowani sporem. Podobnie dzieje się i w Polsce – np. rozstrzygnięcie o dopuszczalności kolejnych strajków powierzono sędziom, oni zaś niechętnie – lecz przecież z pewną skutecznością, zastąpili w tej sprawie zarówno polityków jak i administratorów. Gotujące się nieustannie życie społeczne wymaga stałego udziału cieszących się zaufaniem arbitrow. Władza państwowa (ustawodawca i rząd) nie są w stanie wypełnić efektywnie tej roli, przerzucono więc ją na sędziów. Sędziowie biorą się do tego rodzaju działalności (znam to z autopsji) często z niechęcią jeśli nie wręcz z obrzydzeniem – nie było jednak innego wyjścia, ponieważ dla ogólnego pożytku praca ta musiała zostać wykonana.

Nie tak dawno odbyła się w Aix-en-Provence międzynarodowa konferencja, a jej temat brzmiał: „Władza i kontrakt we współczesnym państwie”. Można się łatwo domyślać, jakie tony tam pobrzmiwały. „Władza” jest traktowana niechętnie, bowiem uważa za swój obowiązek narzucać nam imperatywne rozwiązania i decyzje, które nawet gotowi bylibyśmy uznać za coś warte z ogólnego punktu widzenia, tym niemniej imperatywne działania administracji zawsze prowokują niechęć, a często protesty. „Kontrakt” zaś, to sposób działania implikujący pytanie nas o zgodę, ewentualnie nawet niosący z sobą możliwość wpływu na jego treść, a

nawet określone korzyści lub rekompensaty. Tak naprawdę, to ani decyzja administracyjna nie jest dziś zwykle czysto imperatywna, ani ów kontrakt tak konsensualny, jak się naiwnym (także – niestety – prawnikom) często wydaje. W każdym razie jednak wymaga on (kontrakt) do swej efektywnej realizacji możliwości skierowania sporu na jego tle przez niezawisły sąd. Ten zaś będzie zapewne bardziej niezawisły niż organ administracji: nie będzie opierał swych działań na treściach nieistotnych dla publiczności, bo na „wewnętrznych” okólnikach i instrukcjach (nie dla publiczności są one pisane) lecz bezpośrednio na ustawie lub nawet na konstytucji. W sferze kontraktu władza państwowa ulega nieprzyjemnej dla niej banalizacji: musi skarżyć i być pozywaną, może być (symbolicznie) uznana za winną i nawet niegodna, może być wezwana do płacenia odszkodowań... Tworzy się zatem nowy pejzaż polityczno-prawny, a jego centralną postacią nie jest już minister, ale sędzia.

4. Czarodziejskim zaklęciem, które – przekazane w ręce sędziów – może łatwo spowodować, iż władza im powierzona w obronie prawa i porządku (dyscypliny społecznej, jeśli wolicie) może być łatwo nadużyta i w istocie rzeczy przemienić się w tyranie, jest słowo „nieodpowiedzialność”. Rzeczywiście, sędziowie którym dzisiaj przypadło w udziale nie tylko decydowanie o indywidualnych ludzkich losach, lecz także kontrolowanie (w różnym zresztą zakresie i z różną siłą) działań zarówno ustawodawcy, jak i administratora, czynią to na rachunek państwa i bardzo rzadko zdarza się, by ze swych poczynań musieli zdawać sprawę, nie mówiąc już o odpowiedzialności. Łatwiej jednak konstatować, iż pewien stan rzeczy jest nieznośny, niż proponować zastąpienie go innym, może się bowiem zdarzyć, że doprowadzi to do jeszcze gorszych rezultatów. Bo tak naprawdę to nieodpowiedzialność jest przecież elementem funkcjonowania każdej centralnej władzy. Posłowie nie odpowiadają za uchwalenie głupich i szkodliwych ustaw, ministrowie również nie spotykają się z sankcjami za liczne pozałowania godne decyzje, jakie często podejmują lub choćby tylko podpisują. Owszem, zarówno sędziowie, jak ministrowie, czy też deputowani mogą być ukarani za korupcję lub za czyny o charakterze pospolitym

(typowym – niestety – przykładem są tu wypadki powodowane przez pijanych i wysoko usytuowanych kierowców), lecz przecież nie za to, iż stanowili część matematycznej większości, która okazała się nieracjonalna lub nawet haniebna, a także nie za to, iż prowadząc na stanowisku ministerialnym politykę, której rezultaty okazały się potem fatalne, przyczynili się np. do spustoszenia państwowej kiesy albo erozji zaufania obywateli do władzy. Co więcej, chyba tak musi być, jeśli państwo ma charakter demokratyczny i legalistyczny. Najcięższą karą, jaką najwyżsi urzędnicy mogą ponieść, jest odejście z zajmowanego stanowiska, często nawet (jeśli rzecz dotyczy ministrów) z powodu czynów popełnionych przez urzędników, o których nawet nie wiedzieli lub – co więcej – nie mogli wiedzieć, ponieważ „kara” jaką ponoszą nie ma charakteru punitywnego lecz raczej symboliczny, a jej głównym celem jest danie politycznej satysfakcji opinii publicznej. Możliwość wytaczania karnych procesów parlamentarzystom jest w zasadzie wyłączona przez chroniący ich immunitet, w którego sens trudno jest wątpić. Z kolei sięganie do środków z dziedziny prawa karnego wobec ministrów zawsze nosi nieprzyjemne *odium* „procesu politycznego”, a te właściwie nigdy nie prowadziły do społecznie akceptowanych skutków. Sama nazwa „proces polityczny” budzi zwykle u publiczności (u mnie też...) niechęć i lęk. Najczęściej bowiem historycznie wiąże się ją z czasami przewrotów i rewolucji; nie są to zwykle akurat te zdarzenia, którymi może się szczycić potem historia danego kraju, wręcz przeciwnie. W gruncie rzeczy podobnie ma się sprawa z sędziami – owszem, emocjonalnie gotowi nawet jesteśmy uznać, iż nie ma racjonalnego powodu, by immunitet towarzyszył wszelkim ich działaniom. Ale równocześnie wiemy także (bo historia to niejednokrotnie potwierdziła), iż pozbawienie ich takiego immunitetu prowadzi zwykle do znacznie gorszych efektów, wśród których na pierwszym miejscu jest uzależnienie ich losów – stanowisk sędziowskich od polityki i polityków, co prowadzi do pozbawienia ich właściwie wszelkiej niezawisłości i niezależności, a linie orzecznictwa wyznaczałaby wtedy aktualna *political correctness*, taka, jak ją widzą ci, którym akurat się nie podoba konkretne orzeczenie. Dzisiaj np. w Polsce podejmuje się próby „rozliczania”

dawnych sędziów, którzy jeszcze w okresie stalinizmu gotowi byli przyjmować partyjne lub administracyjne sugestie i realizować zamówienia na rozstrzygnięcia płynące z takich źródeł. Akcję tę podjęto ze znacznym hałasem, określając ją zresztą jako dążenie do ukarania tych, którzy wówczas „sprzeniewierzyli się niezawisłości sędziowskiej”. Efekt – jak dotąd – nie jest ani znaczny, ani przekonujący. Czas zresztą robi swoje i nawet w jednym, ogólnie znanym przypadku, gdy trójka sędziów posłała na szubienicę niewinnego człowieka, owi – poddani wcześniej publicznemu ostracyzmowi – niegodni sędziowie, zmarli wcześniej, niż można było w ogóle w formalnie przyjęty sposób przedstawić im zarzutów. Trzeba więc prawdopodobnie dojść do przekonania, iż w gruncie rzeczy skórka niewarta jest wyprawki. Dotychczasowe procesy przeciwko dawnym ofiarom śledczym stalinowskiego aparatu, niewątpliwie torturującym w swym czasie przesłuchiwanie przez siebie osoby, również nie zatrzęsły sumieniem narodu i nie spowodowały wcale publicznego wzrostu obrzydzenia np. do lewackich czy nawet skrajnie komunistycznych przekonań. Stawiani przed sądem starcy wcale nie zamierzali łatwo sprzedać swej skóry, odszczekiwali się bojowo oskarżycielom i negowali własne winy. Zostali skazani i można powiedzieć, że sprawiedliwości stało się zadość. Efekt jednak społeczny i historyczny, nie mówiąc już o politycznym, był zgoła mizerny. Jeszcze gorzej z tegoż punktu widzenia skończyła się sprawa pomysłu ustawowego ustanowienia kary za „negowanie zbrodni komunistycznych”. Zapachniało niemiło instytucjonalizowaniem cenzury (znowu!) i odgórnym narzuceniem „jedynie słusznych” poglądów. W konsekwencji nikt tego właściwie nie wziął na poważnie. Tu i tam wykrzywiano się nieprzyjemnie w prasie i efekt również okazał się prawie żaden. Słowem – po raz kolejny okazało się, że mieszanie sfery prawa ze sferą polityki (tak, polityki a nie moralności...) nie prowadzi zwykle do dobrych celów przeto większą wartością społeczną jest w ostatecznym rachunku niezawisłość i niezależność sędziów, gwarantowane przez ich immunitet, niż próby wprowadzania regulowania ich późniejszej odpowiedzialności za podejmowane znacznie wcześniej rozstrzygnięcia. Bo postępowanie dyscyplinarne wobec sędziów to rzecz zgoła inna.

5. Niewątpliwie Minc ma bardzo wiele racji oceniając w kwaśny sposób rezultaty wieloletniego konstruowania instytucji współczesnego państwa, państwa demokratycznego i legalistycznego, opartego na zasadzie separacji i wzajemnego hamowania swych poczynań przez instytucje „trzech władz”. Nie jest przecież pierwszym autorem, który obraca utalentowane pióro przeciw hipertrofii i nadużyciom w każdym z owych trzech sektorów. Niektórzy z nich idą nawet dalej: nie tylko władza ustawodawcza, administracyjna i sądownicza znajdują się dziś w stanie poważnego kryzysu, każde w swym zakresie i na swój sposób. Ustawodawstwo – powszechnie się dziś słyszy – stało się dziś domeną manipulatorskich poczynań gabinetowych polityków i wielkiego biznesu: parlamentarzyści nie są w stanie – czy w ogóle życzą sobie tego? – choćby nawet wyrzucić wyraźniejszego wpływu na przedstawiane im projekty, biorące się z różnych, często w istocie rzeczy ukrytych źródeł, a praktyka procesów legislacyjnych nie ułatwia im wcale życia. Trudno im zresztą wierzyć, skoro nie umieli często zapobiegać tyranii. Administracja – z rządem na czele – jest obsadzona przez „swoich” (politycznie) biurokratów, których głównym motorem działania jest własna satysfakcja. Dlatego dorobkiem myśli polityczno-prawnej ostatnich kilkudziesięciu lat jest zwrócenie się społeczeństwa do sędziów, jako do „instancji ostatniej szansy” – skoro zawiedli posłowie i administratorzy, to może wy okazecie się tym środowiskiem, które będzie mogło zapewnić nam sprawiedliwość, uczciwość, bezpieczeństwo i praworządność jednakową dla wszystkich? Doświadczenia pokazują jednak, że na Bożym świecie o ideały trudno. Nie tylko nie ma idealnych ludzi, nie tylko idealnych przepisów ani też rządców, ale po prostu nie ma chyba niczego doskonałego (czy zapomnieliśmy już, że zawiodły nas w biegu historii liczne inne instytucje i organizacje, jak choćby partie polityczne czy nawet Kościoły?). Cóż, Konstantinos Kawafis nie był pierwszym który zapytał: „czyż jakakolwiek ludzka rzecz może być bez skazy?” Ale potem dodał jeszcze cicho: „a przecież jakoś tam naprzód idziemy...”. Dzielni Niemcy, gotowi zawsze do każdego stanu rzeczy dorobić zgrabną teorię, wysuwają ostatnio tezę o niezbędności wypracowania reguł odnoszących się do funkcjonowania aparatu

państwowego w warunkach kryzysowych. Pełni fantazji Włosi głoszą, że do życia w tego rodzaju warunkach można się nawet całkiem dobrze przyzwyczaić, bowiem także i te (a więc kryzysowe) warunki rządzą się jednak pewnymi regułami, jeśli nie stałymi, to przecież ze znacznym prawdopodobieństwem powtarzalnymi. Kto je w miarę dobrze pozna i wyczuje (chyba tak, bo tego rodzaju reguły bardziej się wyczuwa, niż poznaje) może liczyć na sukcesy i zwycięstwa. Ja sama nie jestem pewna, czy szykuje się nam świat, w którym będę się dobrze czuć i poruszać. Lektura książki Minca nie pomogła mi i wcale nie napełniła optymizmem. Cóż, pewnie w końcu ma rację: mamy sędziów takich tylko, jakich mieć możemy i musimy, bo takich a nie innych kształtuje nam rzeczywistość. I oni też w znacznym zakresie będą decydować o naszym życiu dzisiejszym i przyszłym. A że ja wolałabym może nieco innych? Obawiam się, że nikt mnie (ani też Alaina Minca oczywiście) nie zapyta o zdanie.

6. Byłby jednak w błędzie ten, kto po przeczytaniu tej książki w pamfletowym stylu, chciałby użyć zaczerpniętych z niej argumentów, aby kwestionować dowartościowanie (w Polsce) trzeciej władzy. To dowartościowanie dokonuje się w ostatnich czasach (także dzięki Konstytucji z 1997 r.). Nie miałby też racji ten, kto w wątpliwościach i obawach Alaina Minca widziałby dowody na to, iż u nas poważnym zagrożeniem jest „państwo sądowe” nadmiernie kreatywnych sędziów, których niezawisłość kryje w rzeczywistości za sobą ambicje polityczne. Sędziowie krytykowani przez Alaina Minca to „mandaryni”: doskonale wykształceni, sprawni prawnicy, dobrze renumerowani, pracujący w przyzwoitych warunkach, z dobrze zorganizowanym warsztatem pracy. Naszym problemem jest nie tylko niedostatek wiary sędziów w to, że są naprawdę trzecią władzą, ale i niedostatecznie wyposażonych w to, co decyduje o możliwości stania się nią: w profesjonalne przygotowanie na miarę kraju aspirującego do uczestnictwa w integrującej się Europie; we wrażliwość umożliwiającą ocenę co jest współczesnym standardem interesu jednostki zasługującego na ochronę (np. dlatego właśnie polskie sądy nie bardzo sobie radzą z nowoczesną ochroną konsumenta, są niewrażliwe na pogwałcenie konstytucyjnych

praw jednostki przy okazji rozpatrywania spraw karnych, cywilnych rodzinnych, z zakresu prawa pracy itd.); w śmiałość i kreatywność umożliwiającą swobodę poruszania się w dostępnym dla sędziego instrumentarium prawniczym; w wolę wreszcie, aby z tego wszystkiego zrobić użytek. Problemem polskich sądów jest miseria warunków w jakich pracują (*vide* sporządzony w 1998 r. raport Fundacji Helsińskiej, przy czym wcale nie tylko i nie wyłącznie chodzi o wysokość sędziowskich zarobków.) Problemem jest (Ż. Semprich, *Rzeczpospolita* z 12-13 grudnia 1998 r., „Sędziowie na twardej ławie”), że organizacja pracy sądów w poważnej mierze jest konsekwencją cech osobistych sędziego, „czy jest on lepiej lub gorzej zorganizowany”, a także, że „bardzo źle zorganizowany sędzia może czuć się w tym zawodzie zupełnie bezpiecznie”. Nie grozi nam hipertrofia magistratury, przed czym przestrzega Minc. Nam grozi jej atrofia: na skutek tandetności warunków (w konsekwencji i efektów) jej pracy, niedostatku profesjonalnej kreatywności i wrażliwości odpowiadającej potrzebom czasu. Tyle tylko, że wyjście z tego stanu nie może być traktowane jako indywidualna sprawa zapobiegliwości, sprawności i chęci pojedynczego sędziego. To kwestia wymagająca podejścia systemowego i systematycznego. Bieda, że nie ma nikogo, kto by chciał do tego problemu w ten sposób podejść. Ale to temat na inną historię.

Ewa ŁĘTOWSKA

## Wstęp do rozmowy

„Tematy polsko-litewskie”, tom szkiców i relacji zredagowany przez Roberta Trabę to druga, po „Tematach polsko-niemieckich” książka z serii, w której – jak głosi zapowiedź – ujrzymy niebawem także zeszyty poświęcone problematyce żydowskiej i ukraińskiej. Zwążywszy, iż, mimo upływu już lat



dziesięciu, zagadnienia polsko-litewskiej historii oraz współczesności nie doczekały się zbyt wielu omówień, już sama ta inicjatywa olsztyńskiej Wspólnoty Kulturowej Borussia, nakładem której ów cykl opracowań się ukazuje, trudna jest do przecenienia. Tym bardziej, że kwestie dotyczące ponownych odczytań historii polsko-litewskiej (a i – co nie zawsze jest tym samym – historii litewsko-polskiej) i przewartościowań sądów na jej temat, stoją w samym centrum myślenia, także myślenia politycznego, o wspólnej przyszłości. I gdy się przypomni, że III Rzeczpospolita, wiedzona łącznie poniemieckimi zasadami Realpolitik, nie kwapiła się zbyt z uznaniem ogłoszonej przez Litwę niepodległości (uprzedziła nas w tym daleka Islandia; tyle chociaż, że nie zwlekaliśmy potem z uznaniem suwerenności Ukrainy, co samo w sobie zakrawa na cud, gdyż zdaje się być dowodem ewolucji politycznej świadomości naszych elit).

We wstępie do omawianego tomu pisze Robert Traba: „W Polsce po okresie milczenia i zakazów nastąpiła pewnego rodzaju rewitalizacja spraw wschodnich, polskich Kresów i ich ciągle na nowo odkrywanego magicznego czaru, niezmiernych, tajemniczych przestrzeni. Nastąpił nostalgiczny powrót do źródeł własnego dzieciństwa, do tradycji państwowości polskiej. Dla wielu w tych właśnie ramach otwiera się i kończy wymiar postrzegania ziem na wschód od Bugu. I jest to często wymiar wcale nie związany z życiorysem osobistym, rodzinną spuścizną. To również tradycja polskiej szkoły. Paradoksalnie, bo przecież Kresy osnute były przez ponad czterdzieści lat znową oficjalnego milczenia”. To prawda, niemniej pamięć Kresów wciąż trwała i to nie tylko w literaturze emigracyjnej – nie przypadkiem w jednej z audycji RWE Tadeusz Nowakowski uznał za najwybitniejszą książkę emigracyjną „Sennik współczesny” Tadeusza Konwickiego, w którym sennie powidoki – podobnie jak w wielu innych jego utworach – otwierają przed czytelnikiem pejzaże Wilna i okolic. Te same krajobrazy pojawiają się przecież także w „Dolinie Issy” Czesława Miłosza i w wierszach Beaty Obertyńskiej: nostalgiczne obrazy utraconego raju, krainy głęboko i silnie zakorzenionej w polskiej tradycji, tak mocno, że w mickiewiczowskim cyklu Jarosława Marka Rymkiewicza zapoczątkowanym przez „Żmūt”, powiat nowogrodzki uznany zostaje za centrum Polski i ostoję polskości.

Kresy powracają do polskiej kultury w powieściach i wierszach autorów, z których wielu nie tylko już tam mieszkać nie mogło, gdyż urodzili się po wojnie, lecz także u tych, którzy żadnych rodzinnych związków z utraconymi terytoriami nigdy

nie mieli. Podnosi się też fala publikacji „kresoznawczych” – czy będzie to popularna, tym niemniej głęboka i trzeźwo widząca praca Jacka Kolbuszewskiego „Kresy”, czy specjalistyczna, dopełniona obszerną antologią, rozprawa Bolesława Hadaczka „Kresy w literaturze polskiej XX wieku” i szkice pomieszczone w redagowanym przez siebie i wydawanym nakładem Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu Szczecińskiego periodyku *Kresy w literaturze*.

Jest rzeczą oczywistą, że zupełnie inne zagadnienia zwracają uwagę w wypadku Kresów południowych, inne zaś w wypadku Kresów północnych – z tego choćby względu, że w pierwszym wypadku chodzi o kwestie związane z polską ekspansją, o raczej kolonialnym i imperialnym charakterze, w drugim zaś o stosunki wynikające z zaszłości, jakie stały się efektem politycznej unii dwóch niezależnych organizmów państwowych. Przy czym w wypadku Litwy mamy do czynienia z sytuacją zasługującą na osobną uwagę: poza pasmem wspólnej historii państwowej, później zaś rozbiorowej, mamy do czynienia z okresem wymagającym szczególnej ostrożności i delikatności – jest to kwestia wzajemnych stosunków w Dwudziestolecie, w okresie więc krótkiej i dramatycznej niepodległości obu państw ogarniętych niebawem przez sowieckie imperium. Nie dziwi też więc, że właśnie te czasy znalazły się w centrum uwagi wypowiadających się w tomie historyków: Andrzeja Garlickiego, Rimantasa Miknysa, Algisa Kasperaviciusa, Arunasa Bybnysa i Zbigniewa Gluzy. Jądrym owej historycznej refleksji jest, oczywiście, kwestia dziejowej roli Wilna: „Wilna żądają wszyscy” – pisze w tytule swego szkicu Andrzej Garlicki cytując tym samym słowa Józefa Piłsudskiego z wywiadu dla *Le Journal des débats*: „Wilno, widzi pan, to jest zagadnienie zupełnie specjalne. Wilna żądają wszyscy. Może więc poróżnić wszystkich, o ile by się prowadziło pewną politykę, ale może również pogodzić wszystkich, gdyby się prowadziło inną”.

Rzecz w tym, że Wilno to centrum przestrzeni o oryginalnym wymiarze zarówno historycznym, jak i kulturowym: Wielkiego Księstwa Litewskiego. Trafnie też zauważa Tomas Venclova w szkicu „Litwo, ojczyzno nasza”: „Rzadko który Polak rozumiał, że emancypacja narodowa, językowa, a w przyszłości i państwowa Litwinów jest sprawą naturalną i nie-uniknącą, odpowiadającą tendencjom wieku. Tacy Polacy byli jednak i na samej Litwie. Byli regionalni patrioci rozumiejący, że tożsamość Wielkiego Księstwa Litewskiego różni się od polskiej Korony. Czuli oni, że oryginalność Wielkiego Księstwa Litewskiego wiąże

się z jego wielonarodowym, wielokulturowym charakterem i byli skłonni przyznać, że ludzie mówiący po litewsku mają prawo do odgrywania znaczącej, a nawet kierowniczej roli na terytorium Wielkiego Księstwa lub chociaż na jego wielkiej części – jako autochtoni, jako większość ludności, jako członkowie licznej, bardzo znaczącej warstwy społecznej. Toteż to, że ci mówiący po polsku patrioci nie zwyciężyli i że Litwinom nie udało się z nimi dogadać, stało się klęską historyczną i negatywnie wpłynęło na rozwój tak Litwy, jak i Polski”. Trudno z tymi słowami dyskutować – ale też byłoby demonstracją politycznego braku odpowiedzialności niewyciągnięcie z tych doświadczeń nauki na przyszłość. I choć, oczywiście, sytuacja współczesna jest daleko prostsza od tej, która tworzyła kontekst niepodległości po roku 1918, to przecież wspólna reinterpretacja tej historycznej lekcji winna wreszcie oduczyć Polaków ich arogancji, zaś Litwinów uleczyć z kompleksów.

Ku takiej właśnie reinterpretacji zdają się zmierzać „Tematy polsko-litewskie”. Tom jest tak skonstruowany, by od rozpoznania historycznych (w tej części szczególnie interesujące wydają się dwa szkice – prowokacyjny i godny osobnej dyskusji esej Antoniego Mączaka „Pierwsza Rzeczpospolita: paradoks historii?” oraz pouczająca dla polskiego czytelnika rozprawka Edvardasa Gaudaviciusa „Między kultem a rzeczywistością: rozważania o postrzeganiu Witolda Wielkiego w historiografii i społeczeństwie litewskim”), poprzez węzeł zaplatający zagadnienia historyczne i literackie (tu, prócz wspomnianego tekstu Venclovy i poematu Zbigniewa Dominiaka „Bohaterowicze” odnaleźć można doskonały w swym ładunku informacyjnym esej Aliny Kuzborskiej „Świat codzienny, mityczny i utracony. Sylwetki trzech twórców rodem z Małej Litwy: Donelaitis, Vydunas, Simoinaityte”) doprowadzić do działu zatytułowanego „Edukacja” – zgromadzone w nim teksty dotyczące zawartości podręczników szkolnych oraz praktyki dydaktycznej dotyczące; stosunków polsko-litewskich i litewsko-polskich stanowią konsekwentne dopełnienie książki, która zyskuje wykracza tym samym poza schemat nakazujący wyłącznie akademickie, a zatem statyczne potraktowanie tematu stanowiącego jej przedmiot i kieruje ku ujęciu dynamicznemu, dla którego ustalenia tu poczynione stanowią jedynie punkt wyjścia.

Leszek SZARUGA

„Tematy polsko-litewskie”. Red.: Robert Traba, Wspólnota Kulturowa Borussia, Olsztyn 1999, s. 240.

## Jak było...

Książka Richarda Swartza pt. „Room Service” zaopatrzona jest w podtytuł „Opowieści z Europy Wschodniej”. Autor urodził się w roku 1945 w Sztokholmie. Przez ostatnie ćwierć wieku był akredytowanym w Wiedniu korespondentem *Svenska Dagbladet*, gazety nie cieszącej się najlepszą reputacją wśród skandynawskiej lewicy. Jako pisarz zadebiutował późno, niespełna trzy lata temu. Książka ukazała się po duńsku poprzedzona entuzjastycznymi recenzjami w Szwecji i w Niemczech. Po otrzymaniu stypendium Forda, Swartz osiadł w Berlinie, gdzie pracuje nad powieścią „Dom w pobliżu Istrii”.

Mamy więc do czynienia z literackim debiutem, co podkreślam dla porządku, bo „Room Service” jest książką dojrzałego pisarza i doświadczonego dziennikarza. Udanym połączeniem literatury pięknej z esejem i reportażem, gatunkiem nie tak znowu rzadkim we współczesnej literaturze (*vide* Milan Kundera). W większości tekstów, a jest ich w sumie dwadzieścia, opowiada Swartz historię rozpadającego się komunizmu.

Tu dygresja. Żyję w Danii od niemal trzydziestu lat, czytując dziennikarzy, których artykuły jeszcze do niedawna przypominały *Trybunę Ludu* sprzed roku 1990. Skandynawscy przyjaciele i koledzy po fachu Swartza obchodzili się z prawdą swobodnie, szukając niuansów tam, gdzie ich nie było, chlubiąc się publicznie przyjaźniami z „liberalnymi” przywódcami partii komunistycznych, naczelnymi redaktorami gazet i czasopism „nie najlepiej widzianych na szczycie” i z innymi szarymi eminencjami systemu. Swartz zachowywał się nietypowo. Nie dał się ani zwieść ani uwieść.

Konstrukcje charakterów i pejzaży w jego opowieściach przywodzą na myśl znane powiedzenie G. Flauberta: „Bóg mieszka w detalu”. Pierwsza historia nosi tytuł „Jak rujnuje się miasta”; jej akcja toczy się w Pradze w roku 1965. (Komunizm trzeszczał i rozpadał się cały czas, zanim ostatecznie zawałił się wraz z berlińskim murem.) Autor opisuje swoje doświadczenia z okresu, kiedy jako młody stypendysta usiłował napisać rozprawę naukową, do której potrzebne mu były materiały z archiwów – owych zaklętych rewirów socjalizmu. Korzysta, a raczej bezskutecznie stara się skorzystać, z pomocy ekonomisty,

niejakiego docenta Klimy. Docent Klima zachęca go do szukania materiałów w gazetach, najlepiej tych ostatnich. Archiwum jest pasją docenta, a raczej jedną z dwóch pasji. Drugą, niespodziewaną namiętnością lojalnego archiwisty jest ...wolność.

Rozmowy narratora z bohaterem toczą się w jednym ze starych pałaców praskich, z którego okien rozciąga się widok na murszejące miasto. Z wiosną, w porze kwitnięcia lip – lipy w Pradze zakwitają wcześniej niż w Polsce – coś zmienia się w docencie; coraz częściej wychyla się przez okno, z nieskrywaną nostalgią wdycha wiosenne powietrze i snuje opowieści o Cyganach. Splot tych dwóch namiętności – do wiosny i Cyganów – nazywa Swartz „prywatną ideologią docenta”. Z nadejściem wiosny Klimie marzy się życie Cygana. A może jeszcze inaczej, bo Swartz nieskory jest do zamykania swoich postaci w jednej konkluzji: Klimę fascynuje ich upór, ich genetyczny bunt. Przez pół roku pozornie oswojeni z administracyjnymi regułami, z nadejściem wiosny opuszczają swoje komunalne mieszkania. „Nawet kiedy pada deszcz” – wdycha docent Klima.

To tylko jedna warstwa opowieści. Druga przenosi autora w „dawne, dobre czasy”. Niejaki doktor Burian proponuje mu brydża w towarzystwie ludzi z byłych wyższych sfer; zamkniętych w swojej przeszłości, kultuwujących ją za pomocą wspomnień i nieugięte odprawianych rytuałów. Brydż jest jednym z nich. Narrator – zresztą nie tylko w tej historii – funkcjonuje jako przedstawiciel lepszego świata. Posłaniec, którego należy wtajemniczyć w reguły i blaski przeszłości. Podczas jednego ze spotkań zauważa, że w mieszkaniu brakuje przedmiotów, które mogłyby stać się podnietą do wspomnień. „Samo wspomnienie – pisze – było jak album bez fotografii”.

Pochłonięci sporami politycznymi z czasów młodości – panie wspominają galanterię niegdysiejszych oficerów – usiłują zawrócić w biegu niepojęte koło historii. Obsesjonaci własnej pamięci – groteskowi, groźni, wzruszający i odpychający zarazem. Kiedy okazuje się, że jeden z członków grona, hrabia Auersperg, zostaje członkiem partii, zamiast przekłąć go jako renegata, zastanawiają się, czy „tam” gra się w brydża. Co jakiś czas ktoś wstaje od stolika, łapie się za serce, umiera. Pozostali grają dalej w karty. Rola narratora polega na upewnianiu ich, że istnieje świat, z którym mogą wiązać nadzieje, i który kiedyś pomoże im odbudować przeszłość ze wszystkimi jej detalami. Kiedy okazuje się, że Swartz nie jest w stanie sprostać powierzonymu zadaniu, wykluczają go delikatnie, z zachowaniem wszelkich form, ze swojego kręgu.

Zatrzymałam się na tej historii, bo wszystko to, co zostało w niej zawarte można opowiedzieć na tysiąc różnych sposobów, łącznie z prymitywnymi. Zbagatelizować, ośmieszyć, potraktować z pobłażaniem, pogardą, w najlepszym wypadku z litością. Swartz wybiera formę epicko-dramatyczną, z konieczności skrótową – ale tej skrótowości czytelnik nie odczuwa – w której jest miejsce na wszystkie odcienie egzystencji jego bohaterów. W tym również na ich cierpienie. Kumuluje różnorodne efekty, niepostrzeżenie je wzmacniając, nierzadko za pomocą powracania do zaobserwowanych detali. Nie przesadza w analizie psychologicznej. Jako inwigilator jest dyskretny, taktowny i bezkompromisowy. Umie pytać i umie milczeć. Rzadkie połączenie. Jako narrator zachowuje się często niemal biernie, działając na zasadzie lakmusowego papierka. Na puentę wybiera nierzadko fragment pejzażu. Postaci Swartza odchodzą, zabierając ze sobą swój los. Znikają za węglem. Albo pozostają w swoim krajobrazie a on odchodzi. Często z pustymi rękami, bez komentarza, bez kulminacji, pozornie bez konkluzji. Banalne stwierdzenie, że postaci i ich tło mówią same za siebie, wydaje się tu wyjątkowo na miejscu.

Jedynym komentarzem jest smutek, zmęczenie i niepokój autora. Jak w jednej z polskich historii, „Śniadanie na zamku”, której akcja, a właściwie brak akcji, toczy się w Hotelu Europejskim w Warszawie, w pierwszych dniach grudnia 1981 roku. Przez wiele dni pisarz nie opuszcza swojego pokoju pogrążony w depresji. Codziennie około południa podchodzi do okna, aby popatrzeć na kompanię honorową, maszerującą w stronę Grobu Nieznanego Żołnierza. Po czym wraca do łóżka i pogrąża się w lekturze książki Maxa Broda o Kafce. Czytając, często płacze. Nie zna przyczyn swojej apatii. Czeka, nie wiedząc na co. Miasto za oknem też czeka. 11 grudnia z wysiłkiem goli się, ubiera i odlatuje do Berlina Wschodniego, 13 grudnia słucha polskiego radia i dowiaduje się o wprowadzeniu stanu wojennego. Depresja przechodzi jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Stało się, co miało się stać.

Inne opowieści toczą się w Albanii, Rumunii, Jugosławii, gdzie Swartz zdaje się rozmawiać ze wszystkimi, którzy nawiną mu się pod rękę. Ale i ci pozornie przypadkowi rozmówcy są – jak się okazuje – wybrani po głębokim namyśle, poddani wytrawnej selekcji. Najczęściej nie są to ludzie na samym szczycie władzy, choć i ci się zdarzają, szczególnie w Rumunii. Ale nawet tutaj autor rozmawia najpierw z tymi, którzy doprowadzili do rewolucji i zostali przez nią „wypluci”.

W pierwszej rumuńskiej historii, zatytułowanej „King of the Road”, udaje się na audiencję do króla Cyganów. W innej, o sielankowym tytule „Śnieg sypie w Bukareszcie,” jednej z najbardziej fascynujących w tej książce, rozmawia z panią Marią, masażystką Eleny i Nicolae Ceaușescu. (To właśnie pani Maria wtajemniczyła Elenę w arkana chemii i medycyny, za których znajomość żona dyktatora otrzymała honorowe doktoraty wielu szacownych uniwersytetów).

Pozornie opisuje Swartz marginalia życia w socjalizmie. Nie polityczne horrory, zbrodnie, korupcję na szczytach; raczej dziwaczności i odchylenia niż mechanizmy. Półtora roku temu na promocji „Room Service” w Kopenhadze duński dziennikarz opowiedział, jak kiedyś udał się był razem z autorem książki na rozmowę z partyjnymi bonzami w jednym z krajów bloku. Swartz zniknął. Kiedy Duńczyk zszedł na dół, zobaczył go rozmawiającego z szoferem jednego z dostojników.

Jeden z najbardziej literacko ryzykownych tekstów nosi tytuł „Pan Weiss odwiedza białe miasto”; nasycona metaforą opowieść z Jugosławii, w której z drobnych detali autor rekonstruuje historię monarchii austro-węgierskiej. W pobliżu miasta, w którym rozgrywa się akcja – najczęściej w ponurej gospodzie gdzie krew dosłownie i w przenośni miesza się z czerwonym winem – toczy się wojna. Wykrwawiają się nacjonalizmy. Klientela gospody, pisze Swartz, to „...zdrowi, okazali mężczyźni, przypominający syte krokodyły, które znalazły się we właściwym sobie żywiole”. I dalej: „...dorośli mężczyźni obejmują się za ramiona, oplakując słodczy mordy”.

Rozważania na temat rewolucji jako fenomenu społeczno-psychologicznego znajdzie czytelnik w tekście „Postscriptum do rewolucji”, napisanym pięknym literackim językiem, zarazem fachowym i zniuansowanym, dalekim od żargonu dziennikarzy i politologów. Swartz relacjonuje tu między innymi spotkanie z Ionem Iliescu, nowym prezydentem Rumunii. I rozpoczyna opis od jego ręcznie szytych, eleganckich butów, połączanego fotela i twarzy „z uśmiechem jakby nadzianym na drut kolczasty”.

Dni i miesiące, które wstrząsnęły światem, ale także ludzka bieda po wstrząsie. W Przemysłu pisarz miesza się z przybyszami ze Wschodu, którzy usiłują sprzedać cokolwiek, cokolwiek kupić i chodzą po wynędzniałym, wypatroszonym z historii mieście, jak turyści po Paryżu. Przesłanie opowieści, jej emocjonalna materia, przypomina wiersz Miłosza „Wykład III”: „Biedna ludzkość koczuje na dworcowych płytach. / Uszate czapki, chustki, waciaki, tołuby. / Śpi pokotem, czeka na pociąg...”

Są w „Room Service” także opowiadania czysto literackie, nie zatrute polityką: profile przyjaciół, monologi ludzi znękanymi egzystencją. Należy do nich ostatnia opowieść pt. „Lola”, poświęcona mojej Matce, z którą autor przyjaźnił się w Wiedniu. Nie jestem w stanie ocenić tego tekstu, nie byłam nawet w stanie ponownie go przeczytać. Więc może tylko tyle: jest to prawdopodobnie jedno z najlepszych opowiadań w tej książce. Osobiste, przejmujące, bezradne. I tej bezradności pisarz nie stara się ukryć.

Książka Swartza winna ukazać się w Polsce. Ku pamięci i ku przestrodze. A także dla jej wyjątkowych walorów literackich. Ale słyszę, że historia komunizmu wyszła w kraju z mody. Szkoda, bo przecież wszystko może się jeszcze powtórzyć. W mało ponętnej formie tragifarsy. Pod innym godłem. Z innymi hasłami.

Janina KATZ-HEWETSON

Richard Swartz, „Room Service: fortaellinger fra Østeuropa”. Z oryginału szwedzkiego przetłumaczył na duński Knud Michelsen. Kopenhaga, 1997. Str. 250.

## Wieloryb na bałtyckich piaskach

Wiosną 1998 r. ukazała się w Polsce nakładem gdańskiego wydawnictwa Tower Press niezwykła książka, która bardzo szybko stała się literacką sensacją. Opowiadali mi o niej, z wypiekami na twarzy, moi młodzi znajomi. Książka miała niewiele mówiący tytuł: „Wieloryb”, i jeszcze bardziej enigmatyczny podtytuł: „Wypisy źródłowe”; miejsce natomiast, w którym tradycyjnie figuruje nazwisko autora, szokowało pustką.

Co spowodowało ów klimat podniecenia wokół tej książki, nieprzyzwyczajonej grubej, jak na nasze „zadyszane” z pośpiechu czasy, i polecanej czytelnikowi na odwrocie przez jakieś niezbrane anglosaskie osobistości o nic nam nie mówiących nazwiskach? Co więcej, z informacji na tylnej okładce dowiadaliśmy się,

że są to materiały do pracy doktorskiej tragicznie zmarłej w wybuchu bombowym w Dubrowniku młodej doktorantki z Polski, opublikowane pośmiertnie przez jej promotora, amerykańskiego profesora Magnusa Simonsa.

„Apokryf”, „Wielka mistyfikacja” – głosiły tytuły recenzji w polskich gazetach. Autor, tak oto ukrywający swoją tożsamość przed czytelnikami, został w nich zidentyfikowany jako gdański anglista, szekspirolog i wytrawny znawca dramatu angielskiego epoki elżbietańskiej, dyrektor Fundacji Theatrum Gedanense, prof. Jerzy Limon, a cała książka – jedną z tych wyszukanych gier z czytelnikiem, jakie stały się niemal *de rigeur* w literaturze doby postmodernizmu.

Nie było to zadaniem aż tak trudnym, gdyż niewielu jest chyba w Polsce ludzi, zwłaszcza powojennego pokolenia, którzy umieliby w sposób tak elegancki, dowcipny i pełen erudycji bawić się z czytelnikami. Recenzent z *Wyborczej* zaraz wpadł na właściwy trop, stwierdzając, że autorem musi być „humanistyczny erudyta około czterdziestki, specjalizujący się w XVII w. i zafascynowany historią Pomorza”.

Bo to właśnie historia tej nadbałtyckiej krainy jest właściwym przedmiotem tej książki. Pomorze Zachodnie z jego powikłaną (na sposób wszystkich terenów pogranicznych) i przez wieki kontestowaną historią, staje się magicznym terytorium „małej ojczyzny” autora. To nic, że „ten kraj zdaje się być kwintesencją szarości, obszarem pomijanym przez kolory albo i przeoczonym w akcie Stworzenia przez Boga...”, bo wyobraźnia pisarza rekompensuje tę nijakość opowieścią tak pełną dramatyzmu, niesłychanych wydarzeń, i postaci o mitycznych przymiotach, że staje się ta nadbałtycka kraina obszarem, który rywalizować mógłby pod względem kolorytu z Macondo, mityczną ojczyzną tego czarodzieja prozy latyno-amerykańskiej, Gabriela Garcii Marqueza.

Bo czegoż tu nie ma w tej opowieści tak zawiłej, że trzeba się mocno pilnować, aby nie zgubić wątku: i historia fantastyczna wyrzuconego na ląd w okolicach dzisiejszej wyspy Wolin wieloryba, którą to drogą zstępuje między ludzi staroślawiański bóg, Walesa (lub Waleza), który – jak wierzą – objawia się zawsze swoim wyznawcom w godzinie niebezpieczeństwa, zapowiadając tym samym jakieś dramatyczne wydarzenia; i wątek romansowy na zawsze sobie przeznaczonych kochanków, Garmunda i Wentyny/Wandy; i motyw Żyda Tułacza poszukującego zaginionych Zwojów Jerozolimskich, w których ma się kryć tajemnica – klucz do rozszyfrowania najgłębszej tajemnicy życia; i

średniowieczny „dreszczowiec” w stylu „Imienia Róży” Umberto Eco (i jak on pełen erudycyjnych, misternie zaszyfrowanych podtekstów); i bardzo współczesny *thriller* w amerykańskim stylu, wyraźnie zapatrzony w „Czas Apokalipsy” Coppoli.

Wszystkie te wątki ulegają nieustannej transmutacji i transformacji, bo taka jest – w przekonaniu autora – natura rzeczywistości. Rzeczywistość nie jest nigdy statyczna, bo ona płynie jak wielka rzeka czasu, który ją zatapia, aby za chwilę znów się wynurzyła z otchłani niepamięci, w innej postaci, ale zasadniczo ta sama: „Szeptąła więc rzeka strumieniem pomieszanych słów, wypowiedzanych w różnych językach, w różnym czasie, bo przecież mieszkali tu i Celtowie, i Germanie, i Słowianie, nawiedzali te strony Etruskowie, Arabowie, Żydzi i Rzymianie, napadali Wikingowie, Szwedzi i Saksończycy, nawracali Irlandczycy i Brandenburczycy, kolonizowali Niemcy i Polacy, więc na przestrzeni dziejów różne języki rozbrzmiewały nad wielką rzeką i w różnych językach spisywano losy tego kraju. Zaś rzeka unosiła historię w głąb czarnego morza, gdzie mieszała się ona z dziejami innych stron, innych krajów, które przynosiły nurty innych rzek...” (str. 326/7).

Cytowany fragment, do którego chciałabym jeszcze powrócić, jest „podróbką” lub jak kto woli, *pastiszem*, stylu Josepha Conrada i podaje się za fragment powieści zachowany w papierach pisarza i przechowywany w Bibliotece Brytyjskiej. Te to właśnie, bardzo zgrabne, naśladownictwa stylów różnych epok historycznych („wypisy źródłowe” z podtytułu książki), od najwcześniejszych apokryfów począwszy, poprzez sprawozdania rzymskich i arabskich podróżników, wczesnośredniowieczne i późniejsze kroniki, źródła renesansowe i XVII-wieczne (w tych jest autor na najmocniejszym gruncie), po imitacje stylów współczesnej, urzędowej i gazetowej PRL-owskiej „nowomowy”, są największą może atrakcją tej niezwyklej książki. Wciąga, bawi i podziw budzi dla inwencji i erudycji autora.

Czy wszakże jest to tylko wirtuozyjny popis erudycji? Myślę, że książka ma ambicje sięgające dalej. Jest to, moim zdaniem, próba wyartykułowania, na przekór wszytostkiemu i z pełną świadomością tego, że jest to naprawdę niemożliwe, głębokiego przeżycia generacyjnego, jakim były wypadki sierpniowe 1980 r. na Wybrzeżu; przeżycia, które już, z perspektywy kilkudziesięciu zaledwie lat, jakie nas dzielą od tych wypadków, uległy silnej mitologizacji. Stąd pewnie potrzeba „wpisania” ich w *la longue durée* historii, przy pełnej świadomości, że sam ten akt już go odmienia w coś zasadniczo innego, a prawda wymyka się każdej

próbie jej opisanie, a może także zrozumienia. Istota dziejów jest niepoznawalna – zdaje się mówić autor – jest serią mistyfikacji, jest tajemnicą; jej głębsze znaczenie jest dla nas hermetycznie nieprzyniknione.

Stąd abdykacja autorskiego autorytetu, tak charakterystyczna dla postmodernistycznej narracji. Czytelnik jest dla autora równorzędnym partnerem, towarzyszącym mu w jego wędrówkach w poszukiwaniu prawdy. Prawda jest nieuchwytna, tajemnicza, wydaje się być całkowicie uzależniona od punktu widzenia; można nią manipulować i mitologizować dla celów dorywczych.

Ale tajemniczy wieloryb, którego morze wyniosło na brzeg na wyspie Wolin u ujścia Odry wczesnym latem 1980 r. stał się istotnie zapowiedzią wydarzeń niezwykłych i przez nikogo nieprzewidywanych. A przy okazji dał asumpt do narodzin jednego z najciekawszych we współczesnej literaturze polskiej postmodernistycznych eksperymentów, których owocem jest powieść, jaka może śmiało mierzyć się z wybitnymi pozycjami kanonu współczesnej literatury europejskiej czy światowej.

*Teresa HALIKOWSKA-SMITH*

## Ukraińcy w Kanadzie wobec Polaków i Polski (1914-1939)

Badanie niektórych problemów Polonii kanadyjskiej prowadzone są m.in. w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zajmują się one zarówno problematyką ogólną, jak i poszczególnymi państwami. Wymieńmy ze znanych nazwisk profesora Andrzeja Brożka, Mirosława Francisa, Grzegorza Balińskiego: wśród specjalistów od Kanady – Annę Reczyńską, Marię Kijewską-Trembecką i Jerzego Lencznerowicza. Niektóre z ich prac dotyczyły problematyki ruchów emigracyjnych, polonijnych organizacji, względnie układu sił i znaczenia tych emigracyjnych ośrodków. Ukazały się doskonałe biografie, cykl Biblioteki Polonijnej wydawany przez Polską Akademię Nauk i Instytut Badań Polonijnych.

W 1998 roku w Krakowie wyszła praca Andrzeja A. Zięba „Ukraińcy w Kanadzie wobec Polaków i Polski (1914-1939)”. Zięba jest autorem szeregu prac, uczestniczył w wielu konferencjach naukowych na temat Łemków i ukraińskich problemów w Polsce i zagranicą. Jego książka jest obszerną, dobrze udokumentowaną rozbudowaną pracą doktorską z 1992 roku. Tamta zajmowała się głównie postawą Ukraińców wobec konfliktu polsko-ukraińskiego 1914-39, obecna praca jest czymś innym w założeniu.

W tej pracy autor nie ograniczył się (wbrew tytułowi) do lat 1914-39. Jest to bardzo szeroki i solidnie udokumentowany dyskurs, w którym wyjaśnia na przykład nazewnictwo, tzn. kiedy mowa o Ukraińcach, kiedy o Rusinach, kiedy o Ruskich. Doskonale historycznie przedstawia przemiany, zagadnienia wyznaniowe, które miały ogromne znaczenie. W grupie ukraińskiej byli nie tylko grekokatolicy i prawosławni – regionalizm odgrywał dużą rolę. Byli Galicjanie, Łemkowie, Karpatorusini, Ukraińcy z Bukowiny i Ukraińcy z Węgier. Zięba doskonale kreśli wewnętrzne stosunki, kiedy znaleźli się na emigracji. Daje wizerunek przybycia tych ludzi do kraju osiedlenia koncentrując się na latach 1914-39.

Bardzo szczegółowo przedstawia proces przemian przybywających ukraińskich szczególnie z Galicji. I tu znowu historyczny wywód o charakterystyce tego regionu. Emigracja Ukraińców z tych ziem była liczna ale nie brakowało wśród niej Polaków. Przez jakiś czas określano ich w Kanadzie wspólnym mianem „Galicjanie”. Zięba daje historię i charakterystykę Galicji. Pyta czy to region zamieszkały przez dwie nacje, czy przez trzy, które tworzyły nową kulturę, czy kultury, które się zgrywały? Niektórzy autorzy mówią o kulturalnych dziedzictwach, wspólnych przejściach. Znamienne jest to, że wrogość niejako historyczna polsko-ukraińska miała wiele elementów niekoniecznie ścisłych i dobrze określanych przez swoich autorów. Te opracowania wykazują stronniczość: polskie mają inny charakter a ukraińskie – inny. Zięba delikatnie na to wskazuje. Opisując stosunki tych grup względem siebie w Kanadzie mówi jakie były te relacje w różnych okresach czasu. Trzeba wyraźnie podkreślić, że opierając się na bogatym materiale, zarówno prasowym jak i na innych autorach różnego rodzaju – najczęściej ukraińskich piszących po angielsku lub po ukraińsku – ciągle mówi się o działaniu całej ludności w danym okręgu czy Kanadzie. I to jest iluzja, którą popełniają, niestety, wszyscy autorzy. Dlatego, że zasięg prasy nie był tak skuteczny, tak wielki, jak było można wnioskować sądząc

po materiałach prasowych. Zasięg pism, wysokość ich nakładów nie była taka, by dochodziły do wszystkich. Wobec tego, czy to, co pisała prasa odzwierciedlać miałyby prawdziwy stan rzeczy na miejscu? Nie zanotowano w okresie początkowym, właśnie do 1914, żadnych wrogich nastrojów Ukraińców wobec Polaków. Te grupy, które występowały przeciwko Polsce, to byli nieliczni półinteligenci albo i inteligenci, i kler, którzy znaleźli się bez pracy. Polski kler natomiast od samego początku nie miał żadnych konfliktów z Ukraińcami. Zięba pokazuje, że stosunki między Polakami a Ukraińcami na preriiach Kanady układały się przyjaźnie. Czasem byli to ludzie z tej samej wsi, którzy chodzili do tych samych szkół i razem byli w pracy. Opierając się na źródłach polskich konsulatów i ich raportach z Kanady, poznajemy stosunek Ukraińców, ich znaczenie, ewentualnie grożące z ich strony niebezpieczeństwo, uwagi jak się wobec nich zachowują Polacy. Prasa ukraińska i polska były podzielone. Zresztą prasa polska była nieliczna – *Czas* i *Gazeta Katolicka* w Winnipegu. Pism ukraińskich było znacznie więcej ale w grupie ukraińskiej toczyły się wewnętrzne walki i stąd ich stosunek do Polski był różny. Kiedy Ukraińcy zaczęli się integrować ze społeczeństwem kanadyjskim, ich stosunek wobec Polaków się zmienił. Wrogość była przejściowa i efemerydalna. Zmierzano do zgody. W żadnym wypadku nie winiono Polaków w Kanadzie za politykę rządu w Polsce. Podkreślały to pisma polonijne i to samo głosili niektórzy ukraińscy działacze. Reakcje Ukraińców były echem postaw na Ukrainie, gdzie próbowano montować szereg rządów, ale było rozbitcie. Wtedy pojawili się licznie tzw. dyplomaci, aktywni działacze ukraińscy z Polski czy innych krajów, starający się pozyskać wpływ i poparcie władz kanadyjskich dla interesów Ukraińców, wytyczanie granic, uznawanie rządów, wreszcie działania na uspokojenie stosunków. Niektóre organizacje zaczęły wybierać pierwszych posłów do władz kanadyjskich, aby przez nich wpływać na międzynarodowe sprawy Ukrainy. Po przegranej wszystkich tych planów nastąpił ok. 1923-24 spokój, ale rozbitcie emigracji ukraińskiej było wtedy najgłębsze.

Autor konkluduje tak:

„Problem przedstawiony w niniejszej pracy nie jest zagadnieniem pierwszorzędym dla dziejów narodu polskiego lub ukraińskiego ani też dla historii Kanady. Jest to studium marginesu politycznego, opis działań, które czasami zbliżały się do konwencji operetki, czasem nawet stawały się sensacyjną aferą finansową lub szpiegowską. Były dramatem uczuć patriotycz-

nych i zarazem przykładem ludzkiego wyrachowania i właśnie nie sposób odmówić im znaczenia. Pokazują dzień powszedni wielkich procesów historycznych i sens (lub bezsens) wysiłku zwykłych szeregowych budowniczych”.

Te słowa są mocne i znamienne. Oddają właściwy dramat tego co się działo. Przywódcy czy wybitni członkowie jednej organizacji, którzy walczyli o takie czy inne iluzoryczne cele rządów ukraińskich, wzajemnie się potem oskarżali o wystugiwanie się obcym, o branie pieniędzy. Niemniej był to okres wielkich wysiłków dla stworzenia grup społecznych ukraińskich świadomych swej tożsamości a równocześnie będących sercem i możliwością dla kraju z którego wyszli. W tym też odegrał ważną rolę metropolita Szeptycki, który przed pierwszą wojną światową dwukrotnie odwiedził Kanadę. Istotne jest to, że ta książka jest w dużym stopniu przyczynkiem do zrozumienia i do niewyciągania pochopnych wniosków, takich czy innych, pozytywnych, czy negatywnych.

Benedykt HEYDENKORN

Andrzej A. Zięba: „Ukraińcy w Kanadzie wobec Polaków i Polski (1914-1939)”. Kraków, 1998 r. UJ, Instytut Polonijny.

## Ruch teatralny

Pięć lat temu ukazał się pierwszy numer *Ruchu Teatralnego* – krajowego serwisu wiadomości teatralnych. Ostatni numer, listopad 1998 – asygnowany jest jako nr 38, pod red. Macieja Nowaka – Centrum Edukacji Teatralnej Gdańsk.

To dość długi czas aby poddać ocenie to pismo, które okazało się niezbędnym informatorem nie tylko dla teatromanów. Pismo to mające charakter miesięcznika ukazuje się od października do czerwca w cyklu sezonu teatralnego – 9 wydań rocznie. *Ruch Teatralny* systematycznie dokumentuje mozaikę polskiego życia teatralnego. Gromadząc opinie na temat teatru publikowane w prasie lokalnej, ogólnopolskiej, jednodniówkach, tworzy jedyne w swoim rodzaju forum dyskusyjne. Zestawione

obok siebie recenzje pochodzące z różnych źródeł, na łamach *Ruchu Teatralnego* zaczynają ze sobą polemizować, uzupełniać się; pozwalają na wymianę myśli teatralnej, której obecnie tak bardzo brakuje naszemu środowisku artystycznemu.

Publikuje się tam materiały na temat wszystkich typów teatrów – instytucjonalnego, alternatywnego, lokalnego, muzycznego, studenckiego, wiejskiego. W *Ruchu Teatralnym* umieszcza się adresy i oferty repertuarowe teatrów, co sprawiło, że nie tylko wymiana myśli bardzo się ożywiła, ale także nastąpiła bardzo aktywna wymiana informacji między różnymi scenami, co do repertuaru, planowanych imprez itp.

*Ruch Teatralny* ma układ alfabetyczny i wyraźny podział na część informacyjną i adresowo-repertuarową. Pod nazwą poszczególnych miast znajdują się przedruki dotyczące teatru oraz adresy wszystkich działających teatrów, szkół, redakcji, instytucji naukowych związanych z teatrem. Nie brak informacji o zespole artystycznym. Obecnie opublikowane są dane o 527 zespołach teatralnych, ale liczba ta z każdym numerem wzrasta.

Odnawia się także przegląd wydawnictw teatralnych i sesji naukowych oraz wykaz przedstawień będących w produkcji telewizyjnej.

Listopadowy numer otwiera komunikat o nadaniu wyróżnienia redakcji *Ruchu Teatralnego* dla najciekawszego krytyka teatralnego publikującego na łamach prasy codziennej. Laureatem za sezon 1997/98 Nagrody im. Zbigniewa Raszewskiego został Leszek Pułka recenzent teatralny w *Gazecie Dolnośląskiej*.

Jak przystało na pismo otwarte, tekst „Od redaktora” otwarcie mówi na temat sytuacji, która czeka teatry po reformie samorządowej w Polsce.

Jako że o Gdańsku głównie tutaj piszę, zatrzymam się teraz nad jego teatraliami z różnych sfer. Niestety poza małymi sukcesami odnotować trzeba duże porażki. Oto Teatr Ruchu otwierający tegoroczny Jarmark św. Dominika (występ francuskiego teatru Generik Vapeur) zapowiadany jako ogromne wydarzenie, okazał się wielkim niewypałem.

Odnawiano także odbywający się w Gdańsku XV Światowy Kongres Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych AICT, ale tylko w dwóch zdaniach.

Wreszcie trochę słów o FECIE, kolejnym festiwalu teatrów ulicznych w Polsce, jakby MALTA nam nie wystarczała. Najwięcej natomiast o Festiwalu Szekspirowskim w Gdańsku, który można śmiało nazwać po prostu Przeglądem Sztuk Szekspira

dobrych dość przypadkowo, bo o dziwo bez dwóch najważniejszych inscenizacji na polskich scenach. Dlaczego? Potem różne towarzyskie i plotkarskie tematy, a to o reklamie papierosów na budynku Teatru Wybrzeże, o którym chyba inaczej zapomniałaby wybrzeżowa publiczność i innych, szkoda, że tak mało o sztuce.

Eugeniusz Kupper

## Polki w literaturze amerykańskiej

W ramach serii *East European Monographs* (Monografie Europy Wschodniej), której dystrybutorem jest wydawnictwo Columbia University Press w Nowym Jorku, ukazała się antologia pod tytułem „Something of My Very Own to Say. American Women Writers of Polish Descent” (Coś własnego do powiedzenia. Amerykańskie pisarki polskiego pochodzenia)<sup>1</sup>, zawierająca wybór utworów amerykańskich pisarek polskiego pochodzenia, a także polskich pisarek zamieszkałych i tworzących w Stanach Zjednoczonych. Na antologię, której redaktorami i twórcami są Thomas S. Gladsky i Rita Holmes Gladsky, składają się fragmenty utworów prozą i wiersze szesnastu autorek, a każdy tekst (a czasem grupa tekstów) poprzedzony jest obszernym omówieniem krytyczno-teoretycznym. W sumie otrzymujemy interesujący obraz obejmujący okres od ostatnich dekad ubiegłego wieku po lata obecne. Wprowadzeniem do całości jest esej Thaddeusa C. Radzilowskiego pt. „Reinventing the Center: Polish Immigrant Women in the New World” czyli „Odtworzenie Centrum: polskie emigrantki w Nowym Świecie”.

U podstaw tej antologii znajduje się zmiana w amerykańskiej autopercepcji. Do lat siedemdziesiątych Ameryka najchętniej widziała siebie jako *melting pot*, kocioł w którym wszystko przetapia się tworząc mniej lub bardziej jednolitą masę.

1. Thomas S. Gladsky and Rita Holmes Gladsky, „Something of My Own to Say. American Polish Writers of Polish Descent”. East European Monographs Distributed by Columbia University Press. 1997.



Tymczasem ostatnio nacisk kładzie się nie na to, co Amerykanów spaja, ale na to, co ich przy całej ich amerykańskości różni. Ten nacisk jest tak silny, że dwa lata temu studenci Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, który jest swoistym termometrem tutejszych trendów, zorganizowali strajk żądając utworzenia specjalnego wydziału studiów etnicznych. Uniwersytet nie ugiął się w sprawie zasadniczej, niemniej jednak do kilkudziesięciu przedmiotów z tego zakresu już istniejących w programie dodano kilka nowych.

Autorzy szkiców zamieszczonych w antologii czerpią właśnie z metodologii tak popularnych obecnie w Stanach studiów etnicznych i feministycznych; te ostatnie nawet w Polsce nazywane są angielskim terminem *gender studies*. W niektórych omówieniach odczuwa się nawet trochę tę teoretyczną zadyszkę właściwą badaniom literackim końca wieku. Ostatnio bowiem co parę lat pojawia się teoria, której twórcom wydaje się, że jest kluczem do wszystkiego. Tymczasem wiadomo, że klucz taki nie istnieje, a zbyt często powtarzane *gender and ethnicity* mimowolnie przywodzą na myśl inne takie „klucze”, czy wytrychy.

Na szczęście w tej książce teoretyczny parasol dość dobrze służy przedstawionym tekstom, przy czym proporcje teoretycznego ujęcia różnią się w każdym eseju, w jednych przeważają fakty i oceny ogólnokrytyczne, w innych teoria zdaje się wypierać realia. Czytelnicy sami oceniają, które ujęcia bardziej im odpowiadają. Niektóre z tych tekstów ukazały się już uprzednio po angielsku w różnych periodykach naukowych, a nawet po polsku – w numerze lubelskiego kwartalnika *Akcent* poświęconego polskim Amerykanom.

Trzeba powiedzieć, że antologia ukazała się bardzo na czasie a sama inicjatywa i jej wykonanie jest wielką zasługą redaktorów, którzy tym samym wypełniają białą, czy też może szarą plamę amerykańskich studiów etnicznych i feministycznych. Pozycja polskich pisarek i pisarek amerykańskich polskiego pochodzenia na tle amerykańskiej sceny literackiej nie jest do pozazdroszczenia. Ich etniczność jest za mało egzotyczna, aby podpadać pod oficjalną jej definicję i ogólne zafascynowanie etnicznością. Ich amerykańskość zaś na ogół za mało wybijająca się, aby konkurować w tej kategorii. Choć dowiadujemy się, że Monika Krawczyk w latach trzydziestych otrzymała nagrodę w wysokości tysiąca dolarów za nowelę, a w 1953 roku tom wierszy Victorii Jandy nominowany był do nagrody Pulitzera.

Zgrupowanie materiału w antologii odzwierciedla fale emigracyjne, przedstawiając zarówno pisarki pierwszego pokolenia

tych fal, piszące po polsku, jak i te urodzone już w Stanach i debiutujące jako pisarki amerykańskie. Zauważyć się dają i inne podziały. Twórcy antologii, umieszczając pisarki w szerokim kontekście religijnym, społecznym i kulturalnym z góry założyli sobie otwartość kryteriów. W antologii reprezentowana jest także twórczość dwóch pisarek pochodzenia żydowskiego urodzonych w Polsce i piszących po angielsku, jedną z nich jest znana szeroko Eva Hoffman, drugą – mniej znana Helen Degen Cohen. Lista jest jednak niepełna, szkoda, że nie znalazła się tam Jadwiga Maurer, autorka książek, laureatka nagród, intelektualistka. Pominięte też zostały późniejsze emigracje.

Wstęp Gładki'ego jak i pierwszy esej Radziłowskiego podkreśla rolę kobiet polskiej emigracji na tle zarówno ogólnoamerykańskim jak i ogólnoemigracyjnym. Oba środowiska były równie nieprzychylnie pracy tych kobiet. Trud emigracyjnego życia nigdy nie stał w centrum zainteresowań literatury zwanej emigracyjną, która przeważnie musiała wypełniać swe faktyczne i urojone obowiązki wobec kraju. Jest to zagadnienie niezwykle wagi. Bez badań porównawczych trudno stwierdzić, czy jest to zagadnienie specyficznie polskie, czy właściwe też innym środowiskom emigracyjnym. Chodzi tu o to, że na przestrzeni tych wszystkich lat podmiotowość nie przysługiwała jakby egzystencji emigracyjnej. W niejedynej tekście widać to wyraźnie, że ta „opresja” ciążyła emigrantom polskim, mieli to odczucie, że ich życie, ich nadludzki niekiedy wysiłek asymilacyjny nie liczyły się dla nikogo same w sobie (jako takie), było to niejako wbudowane w system przeszkód.

Nad literaturą emigrantów zawsze unosił się ten nierozwiązany konflikt, który najlepiej sformułowała Danuta Mostwin – „kraj naszego dzieciństwa jednocześnie wyrzekający się nas i oczekujący naszej pomocy”. Pomiędzy dwoma krajami i dwiema kulturami, które na każdym kroku starały się okazać im swoją wyższość, rodziła się twórczość zaprezentowana w antologii. Antologię właściwą otwiera fragment wspomnień Heleny Modrzejewskiej, która ze względów praktycznych zmieniła w Stanach, przybrane zresztą nazwisko, na Modjeska. Można powiedzieć, że Modrzejewska jest uosobieniem prawdziwie amerykańskiej kariery. Jednakże uosobieniem nie tylko w sensie sukcesu, ale i pokonania ogromnych przeszkód, które sukces ten poprzedziły. I ona – jak każdy imigrant – musiała się dobijać, aby dano jej szansę, pokonać niejedną przeszkodę, opanować język do perfekcji niezbędnej w tym zawodzie. Musiała niejednokrotnie przeżyć załamanie się wiary w siebie pokonując

jednocześnie sceptycyzm innych. I choć trudno uznać Modrzejewską za typową imigrantkę, zakosztowała ona w pełni emigranckiej doli jako ceny zwycięstwa, jaką była wspaniała trzydziestoletnia kariera. Nawet w tym krótkim fragmencie widzimy też odwrotną, pozytywną stronę emigracyjnego medalu – możliwości, jakie otwiera ten kraj, życzliwość ludzi i otwartość instytucji, nawet tak zamkniętych jak teatr.

Z eseju Franciszka Lyry o Modrzejewskiej dowiadujemy się, że wspomnienia jej reprezentują pierwszy wzlot kobiecej autobiografii a także wzmoczonej działalności feministycznej, z którą miała dość luźne związki. Autorowi szkicu udało się zachować zdrową proporcję pomiędzy eksplikacją tekstu a feministyczną teorią krytyki. Stosuje on teorię w celu wyjaśniania, a nie zaciemniania obrazu. Sam podkreśla zresztą fakt, że autobiografia wielkiej aktorki absolutnie nie mieści się w feministycznych definicjach.

Pionierska antologia Gladsky'ch wnosi ogromny wkład do naszej wiedzy o zmaganiach emigrantek na polu kultury i literatury i stanowi bardzo dobry podręcznik akademicki. „Dla większości badaczy literatury polsko-amerykańskiej – pisze Karen Majewski – historia tej literatury zaczyna się w latach 40-tych z przybyciem emigrantów politycznych po drugiej wojnie światowej lub z publikacją paru powieści oraz nowel po angielsku w latach 1920-1950, a przecież przedstawiciele dawnej emigracji zaczęli tworzyć po polsku jeszcze w ubiegłym wieku. I wśród tych zapomnianych pisarzy amerykańskiej Polonii były również kobiety”. Głównym zadaniem, które sobie te pisarki postawiły, było zdefiniowanie polskości na ziemi amerykańskiej, polskiej tożsamości w amerykańskim kontekście, a także w kontekście polskiej lojalności narodowej. W latach 1867-1939 ukazało się kilka tysięcy tytułów przeróżnych książek, około 25 powieści, antologii, wyboru nowel pisanych przez emigrantki polskiego pochodzenia.

Pisarki pierwszych fal emigracyjnych, z wyjątkiem Modrzejewskiej, która zrobiła karierę teatralną, nie odegrały większej roli w kulturze ogólnoamerykańskiej. Natomiast ich praca na polu utrzymania i definiowania polskiej tożsamości etnicznej jest nie do przecenienia. Ważne jest uwydatnienie roli pierwszych organizacji kobiecych takich jak Związek Polek w Ameryce, pism – takich jak *Głos Polek*, szkoły polsko-amerykańskie oparte były tylko na wysiłku tych kobiet. A także polskich klasztorów. Pamiętać należy o pracy zakonnic w szkołach, szpitalach, sierocińcach i domach starców. Ich poświęcenie i ich

wykształcenie były głównym humanizującym czynnikiem w bardzo bezwzględnych warunkach amerykańskich miast przemysłowych. Imponująca jest proza naukowo-socjologiczna siostry M. Remigii Napolskiej i ciekawy szkic o jej dorobku siostry Mary Janice Ziolkowski'ej zatytułowany „Duchowy głos, sumienie społeczne”. W obydwu tekstach realia mówią same za siebie i mówią fascynująco.

Wydaje się, że można przeprowadzić pewne paralele pomiędzy ich działalnością na emigracji, a działalnością pierwszych pisarek polskich po rozbiorach, kiedy matriarchat musiał odegrać tak zasadniczą rolę w utrzymaniu podstaw społeczeństwa. Niejednokrotnie kobiety te przegrywały mimo ogromnego wysiłku włożonego w bezinteresowną pracę. Nowela Stefanii Laudyn „The Woman Doctor” (Doktorka) jest pesymistycznym, a zapewne i realistycznym portretem takiej amerykańsko-polskiej „siłaczki”.

Rozpatrywanie twórczości tych różnych pisarek w kontekście płci i etniczności prowadzi do wielu ciekawych pytań i odpowiedzi. Wprawdzie płeć jest dana, każde pokolenie, a czasem i grupa społeczna, wnosi własną definicję jej parametrów, zdefiniowanie etniczności także wymaga nieustannego wysiłku. Trzeba swoją tożsamość zidentyfikować, zaakceptować, dopiero wówczas można na niej się oprzeć. Te zmagania może najwyraźniej zaakcentowane są w szkicach R. Barbary Gitenstein o Hoffman, Urszuli Tempskiej o Suzanne Strempek Shea, Johna Z. Guzłowskiego o Cohen. Czym Ameryka jest dla każdej z tych pisarek wizji, czym była i może być Polska? Rita Holmes Gladsky omawiając twórczość mało znanej pisarki polskiego pochodzenia – Helen Bristol, analizuje rolę pamięci w tym procesie.

Twórczość wybitnych pisarek polskich reprezentują Maria Kuncewiczowa i Danuta Mostwin. Obie przybyły do Ameryki w wyniku wojny i powojennych układów politycznych, obie zajęły miejsce w elitarnych uniwersyteckich sferach amerykańskich. Magdalena J. Zaborowska, autorka wysoce teoretycznego szkicu o Kuncewiczowej zatytułowanego „Etniczność na wygnaniu” podkreśla, że etniczność czy też emigracyjność Kuncewiczowej była wynikiem jej wyborów i to bardziej filozoficzno-artystycznych niż politycznych. Wyboru poddyktowanego potrzebą stania się/bycia podmiotem a nie przedmiotem historii. Zamieszczony fragment z „Fantomów” Kuncewiczowej wiąże gordyjskim węzłem świetnej prozy tematykę emigracyjną, etniczną, patriotyczną i feministyczną. Niestety esej wnikliwy pod

względem teoretycznym miejscami grzeszy brakiem precyzji w sferze faktów. Trudno zgodzić się z twierdzeniem autorki: *When, before taking her citizenship in the United States, she agreed to be published in and, later, to visit Poland after the fateful year of 1956, she was severely criticized by Polonia and even considered one of the „black list” writers by Paris Kultura*<sup>2</sup>.

Otóż nie ma takiego pisma jak „Paryska Kultura”, istnieje natomiast *Kultura* nazywana potocznie „paryską” w odróżnieniu od niegdysiejszej warszawskiej. Jak wiemy z licznych już doświadczeń i dokumentów *Kultura*: nie miała nigdy żadnej czarnej listy. Maria Kuncewiczowa była za swój indyferentyzm ideologiczny zwalczana przez tzw. polski Londyn oraz przez koła wojennej emigracji politycznej, nie przez Polonię – pod którą to nazwą rozumiano raczej wcześniejszą emigrację zarobkową. *Kultura* zresztą zamieściła opowiadanie Kuncewiczowej „Leśnik” w numerze 7/57-8/58 z r. 1952.

Warto to poprawić przy następnym wydaniu, bo nawet przy najbardziej teoretycznym podejściu znajomość realiów historycznych jest jednak niezbędna. Z innych rzeczy, bez których książka mogła być się obejść jest stwierdzenie Thomasa S. Gładzkiego we wstępie, że Szymborska uosabia amerykańskie pisarki polskiego pochodzenia. Nic dalszego od prawdy. Z noblistów należy robić dobry użytek, ale nie każdy użytek jest dobry.

Polskich czytelników zainteresuje w tej antologii miejsce Danuty Mostwin, której doktorat na prestiżowym uniwersytecie otworzył drogę do pracy naukowej, natomiast jej specjalność prowadziła do zetknięcia się z masą biedoty emigracyjnej, na którą patrzy zarówno oczyma badacza jak i emigranta, z zewnątrz i od wewnątrz. Całkiem możliwe, że ta wyjątkowa pozycja połączona z talentem stała u podstaw bogatego dorobku pisarskiego. Przy tym przez cały czas pisarka ta równolegle prowadziła pracę naukową i dydaktyczną. Alina Kochańczyk w bardzo dobrym szkicu koncentruje się na świecie przedstawionym powieści Danuty Mostwin i wyjaśnia go czytelnikowi jasnym dostępnym językiem, który nic nie traci ze swej funkcji krytyczno-literackiej. Danuta Mostwin, obchodząca niedawno swój pisarski jubileusz, jest prawdopodobnie jedyną pisarką,

2. „Kiedy przed przyjęciem amerykańskiego obywatelstwa (Kuncewiczowa) zgodziła się publikować w Polsce, a później po pamiętnym 1956 roku, Polskę odwiedzić, była ona krytykowana przez Polonię i nawet uważana przez ‘Paryską Kulturę’ za pisarkę ‘czarnej listy’”.

która dała tak szeroki epicki obraz emigracji, chyba nie tylko jedyną pisarką, ale jedynym pisarzem. Twórczynią i twórcą emigracyjnej sagi.

Trudno przecenić zasługę dwojga amerykańskich profesorów Rity Holmes Gładzkiej i Thomasa S. Gładzkiego – twórców antologii. Dzięki nim literatura polskiej grupy etnicznej dostępna będzie każdemu, kto zechce się nią zainteresować lub zainteresować swoich studentów. Inicjatywa to bardzo na czasie i nie pierwsza w wypadku profesora Gładzkiego, autora książki „Princes, Peasants, and Other Polish Selves” (Książęta, chłopcy i inne polskie postaci), który gdzie indziej<sup>3</sup> wyjaśniając, co skłoniło go do poświęcenia się tej tematyce pisze: „Uczę dwukrotnie na polskich uniwersytetach w ramach programu Fulbrighta, studiując polski język i kulturę, podejmując badania nad literackimi związkami między Polską i Ameryką, oraz analizując swoją własną tożsamość, ja też stałem się częścią tej odnowy etnicznej w Ameryce (...)”.

A najlepszym dowodem, że taka odnowa istnieje, może być ukazanie się ostatnio w Stanach książki Leslie Pietrzyk pod tytułem „Pears on a Willow Tree”<sup>4</sup> czyli „Gruszki na wierzbie”. Zręcznie napisana powieść, w której autorka przedstawia kilka pokoleń polskich kobiet, miała w *New York Times*’ie bardzo pozytywną recenzję o nieprzetłumaczalnym na język polski tytule „The Matriarchs”.

Anna FRAJLICH-ZAJĄC

3. *Akcent*, 2(68)1997.

4. Leslie Pietrzyk, „Pears on a Willow Tree”, Bard/Avon Books, New York, 1998.

## Wolna trybuna

### Czy sądzić kata?

Pasjonujący wywiad Leopolda Ungera z Adamem Michnikiem (*Kultura* 1/616-2/617, 1999) porusza trudny temat, który nurtuje wielu myślących ludzi: czy i w jakim stopniu należy sądzić dyktatorów i ich pomocników odpowiedzialnych za zbrodnie. Oczywiście wówczas kiedy powstają stosowne do tego okoliczności czy warunki.

Chwała nam, że mamy takiego Michnika, który z zasłużonym autorytetem moralnym i dużą odwagą cywilną broni niepopularnej tezy: „Nie karać kata”. Dzięki też za Brukselczyka, który z inteligencją, logiką i swadą potrafi reprezentować stanowisko przeciwne. I wreszcie chwała redaktorowi *Kultury* za stworzenie forum do takiej debaty. Rozmowę Unger–Michnik, obok rzeczowej argumentacji, charakteryzuje wysoka temperatura emocjonalna, co zresztą jest zupełnie zrozumiałe z uwagi na jej temat. Spróbujmy jednak „na zimno” rozpatrzeć argumenty obu stron – może łatwiej będzie sformułować przekonujący, na pewno w jakimś stopniu kompromisowy wniosek.

Stanowisko Michnika sprowadza się w gruncie rzeczy do dwóch twierdzeń. Pierwsze to fakt, iż w dzisiejszych czasach, w końcu bieżącego stulecia, mieliśmy szereg przykładów „dobrowolnego” oddania władzy przez dyktatorów i przekazania jej w ten sposób w ręce demokracji. Rzecz jasna za cenę zapewnienia sobie przez dyktatora jakiegoś stopnia „nietykalności” czy immunitetu. W społeczeństwach, w których to nastąpiło, zahamowano lub wręcz uniknięto gwałtu, przelewu krwi i związanych z tym cierpień. Stworzono warunki, w których powoli odradzała się możliwość ludzkiego współzycia

i powstawały zręby jakiejś harmonii społecznej w przyszłości. Drugie twierdzenie Michnika to założenie czy spekulacja, że żaden dyktator nie rozważałby nawet przez chwilę ewentualności „dobrowolnego” oddania władzy na rzecz demokracji gdyby pomimo swej „dobrej woli” mogła go jeszcze w przyszłości czekać kara za zbrodnie z okresu jego dyktatury.

Michnik poza tym zajmuje stanowisko, że dyktator może być sądzony tylko przez naród czy społeczeństwo, które go wyłoniło.

Unger z kolei podnosi momenty uniwersalne i rozpatruje omawiany tu dylemat z punktu widzenia tzw. społeczności międzynarodowej. Jeśli więc zbrodniarz polityczny czy dyktator sądzony być może tylko we własnym kraju, jaka jest w istocie treść pojęcia *powszechnych praw człowieka*, które *de facto* podniesione zostały do godności międzynarodowej normy etycznej? Do tego stopnia, że nawet reżymy, które na co dzień bezczelnie ją gwałcą, starają się przynajmniej deklarować lub stwarzać wrażenie jej uznawania. Po co stwarzamy instytucje, jak powstały niedawno Międzynarodowy Trybunał Karny lub inne formy międzynarodowej kontroli przestrzegania praw człowieka?

Centralnym dla stanowiska Michnika jest ze wszech miar godne poparcia dążenie, aby konflikty społeczne rozwiązywać w miarę możliwości bez gwałtu, drogą kompromisu, który wymagać będzie w jakimś stopniu przebaczenia popełnionych krzywd i zrozumienia wspólnego dobra i spojrzenia ku przyszłości. Mówi on, że... „aksamitna transformacja” to... najniższa cena jaką płaci kraj i ludność za pozbycie się tyrańcy i tyranii.” Odbierając jednak społeczności międzynarodowej prawa sądenia dyktatorów i ich zbrodni, wydaje się Michnik zapominać o roli opinii międzynarodowej i jej wpływu. Mówi on, że (w naszych czasach) „...pojawiło się coś co nazwać można ‘aksamitną transformacją’...” – określenie procesu „dobrowolnego” oddania władzy przez dyktatora na rzecz demokracji. A przecież w rzeczy samej to oddanie władzy nie jest bynajmniej dobrowolne. We wszystkich znanych nam przypadkach, poczynając od Hiszpanii, Portugalii, Grecji, Filipin, a kończąc na Chile, Nikaragui, Polsce, a ostatnio Indonezji, do bezkrawawego upadku dyktatury, a więc

„dobrowolnego” oddania władzy, przyczyniło się wiele czynników. Na „dobrą wolę” dyktatorów wpłynął przede wszystkim nacisk ich własnego społeczeństwa, niejednokrotnie kosztem śmiertelnych ofiar. Jego genezą był nie tylko stopień istniejącej represji, ale i przykład wolnych krajów i swobodnie rozwijających się społeczeństw. Drugim kluczowym elementem był nacisk międzynarodowy, tak ze strony polityki rządów, jak i szerokiej opinii publicznej, a więc społeczności międzynarodowej. Wyrażał się on w niezliczonych protestach czy aktach solidarności i pomocy. Przy czym widzimy, że dla upadku dyktatury konieczne jest istnienie obu tych czynników. Fakt, iż Saddam Hussein czy Milošević nadal utrzymują się przy władzy wskazuje, że bez wewnętrznego oporu sam nacisk międzynarodowy nie wystarcza, ale przecież znaczenia tego ostatniego nie można przecenić. Jego techniczną bazą jest globalny system łączności (telefon, faks, internet, radio i telewizja), który spowodował, że świat zmalał. Wszyscy z miejsca wiemy co się dzieje w każdym jego zakątku, nawet najbardziej srogi dyktator nie może już swych poddanych utrzymywać, jak kiedyś, w pełnej izolacji.

Inną słabością stanowiska Michnika jest stopień „taryfy ulgowej”, jaką stosować mamy wobec dyktatorów, którzy odeszli drogą „aksamitnej transformacji”. W Polsce Jaruzelski nie miał na szczęście wielu śmiertelnych ofiar na sumieniu. Gorzej w Chile, gdzie zakatowano kilka tysięcy ludzi, czy w Argentynie, gdzie zamęczonych czy „zaginionych” było już kilkanaście tysięcy. A co w Kambodży? I tu – przynajmniej w ostatnim okresie – znaleziono formułę kompromisu, aby doprowadzić do ostatecznej likwidacji Khmer Rouge i umożliwić jego szeregowym członkom reintegrację w społeczeństwie. Czy to też była „aksamitna transformacja”? Czy nie należy poddać pod sąd międzynarodowy choćby kilka osób odpowiedzialnych za śmierć półtora miliona ludzi, za zbrodnie przeciw ludzkości?

O tym, że międzynarodowe normy praw człowieka zrodziły się w społeczeństwach o długiej tradycji demokracji wszyscy wiemy. A to, że jednocześnie rządy tych krajów, propagując takie wartości wielokrotnie idą na daleko idące kompromisy, popierając polityczne sojusze z wszelkimi

tyranami, jeśli tylko służy to ich doraźnym interesom, jest niestety truizmem. „Moralność i polityka to trudne sąsiedztwo” – mówi Unger. W skomplikowanym, złym ale całkowicie współzależnym świecie, utrzymywanie wysokich wartości moralnych w polityce jest – przynajmniej to że smutkiem – niejednokrotnie po prostu niemożliwe. W stosunkach międzynarodowych jest niezwykle trudno przeprowadzić w danym momencie jakiś realny rachunek strat i zysków. Jesteśmy więc na codzień świadkami hipokryzji polityków i mężów stanu. Ale czy z tego wszystkiego wynika, iż mamy zaprzestać walki o coraz powszechniejsze przestrzeganie praw człowieka? Stworzenie w uprzemysłowionych, demokratycznych krajach systemu *welfare state* było uznaniem obowiązku opieki nad tymi członkami społeczeństwa, którzy z tych czy innych względów zostali pokrzywdzeni przez los. Abstrahując od niedoskonałości tego systemu, czy już sama zasada nie świadczy o społecznym postępie człowieka?

Dekalog, który jest *de facto* podstawą naszego systemu etycznego wymaga między innymi, aby kochać bliźniego, jak siebie samego, a także aby nie pożądać jego żony. O tym, że – w dosłownej interpretacji – pierwszy postulat jest nie tylko niemożliwy, ale po prostu śmieszny, nie trzeba się rozwodzić. Nawet druga zasada nasuwa wielkie trudności, jeśli powiedzmy żona naszego bliźniego jest szczególnie atrakcyjna, a do tego jeszcze zachowuje się w sposób prowokacyjny. Krótko mówiąc: człowiek to istota słaba i niedoskonała – pełne przestrzeganie *Dziesięciu Przykazań* jest po prostu niemożliwe. Ale czy z tego wynika, iż mamy zrezygnować z dekalogu?

Trybunał w Norymberdze nie osądził wszystkich hitlerowskich zbrodniarzy, którzy na to zasługiwali. A jednak miał wielkie znaczenia moralne. Podobnie jak szereg innych procesów przeciwko zbrodniarzom wojennym. Międzynarodowy Trybunał w Hadze, sądząc obecnie ludzi odpowiedzialnych za zbrodnie w czasie niedawnej wojny w Bośni spełnia podobną rolę międzynarodowego sumienia. Czy powinien zaprzestać swojej działalności ponieważ przywódcy odpowiedzialni za zbrodnie nie zostali, jak dotąd, postawieni pod sąd?

W jednym z krajów, w których po latach niesprawiedliwości, dokonano Michnikowej „aksamitnej transformacji”

na rzecz demokracji, znaleziono próbę innego rozwiązania. Dla uniknięcia procesów rozliczających dokonane zbrodnie i krzywdy, w demokratycznej Afryce Południowej powołano „Komisję Prawdy”. Było to forum, na którym pokrzywdzeni mogli wystawić rachunek swoich krzywd, a ich prześladowcy mieli okazję przyznać się do popełnionych zbrodni. U podstaw działania Komisji leżało przekonanie, iż uznając swoje winy, dawali oni swym dawnym ofiarom, przynajmniej w pewnym stopniu, jakąś moralną satysfakcję, a zachętą do ujawnienia prawdy była obietnica amnestii i uniknięcia ewentualnej kary. Twórcy Komisji mieli z pewnością na względzie potrzebę zbudowania nowego społeczeństwa i uzyskania minimum harmonii pomiędzy mniejszością białych, którzy przez lata korzystali z systemu *apartheid*, a większością czarnych, którzy byli jego ofiarami. A jednak, pomimo dążenia do harmonii społecznej, przywódcy Południowej Afryki nie zrezygnowali z procesu sądenia. Powołana „Komisja Prawdy” miała być forum, które uwzględniło obie potrzeby.

I w tym chyba właśnie leży odpowiedź na dylemat dyskutowany przez Ungera i Michnika. Jest bardzo prawdopodobne, że w czasie postępowania sądowego Pinocheta nie będzie można udowodnić mu bezpośrednio odpowiedzialności i winy za dokonane w Chile zbrodnie. Jest także możliwe, że ten stary już człowiek nie doczeka po prostu końca długiego procesu. A jeśli doczeka, być może kara, jaka miałaby mu być wymierzona, zostanie darowana „ze względu na wiek czy stan zdrowia” oskarżonego.

Odpowiadając więc Michnikowi nie jestem pewien czy zawsze należy karać kata. Ale nie mam wątpliwości, że należy go zawsze sądzić, kiedy tylko jest to możliwe. Dla dobra nas wszystkich.

Sydney, 29 stycznia 1999

Jerzy BONIECKI

## POLSKA – WSCHODNI SĄSIEDZI

21.1.99

Renata Gorczyńska została laureatką nagrody im. Dariusza Fikusa. Wyróżniono ją za zorganizowanie spektaklu radiowego na żywo „Czytanie ‘Pana Tadeusza’”, pokazywanego także w telewizji oraz nagranych na płytach kompaktowych.

25.1.99

W Warszawie odbyło się zebranie komitetu założycielskiego Towarzystwa Przyjaciół Instytutów im. Józefa Piłsudskiego w Londynie i Nowym Jorku.

27.1.99

Rozpoczął swoją działalność Instytut Polski w Kijowie, Dyrektorem jego został Piotr Kozakiewicz. Będzie to trzecia – obok Moskwy i Mińska – tego typu placówka w państwach b. ZSSR, a szesnasta na świecie.

28.1.99

W Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie otwarto wystawę „Spieszmy się kochać ludzi... – wiersze ks. Jana Twardowskiego”.

8.2.99

Premier Litwy Gediminas Vagnorius na spotkaniu premierów państw bałtyckich wysunął propozycję stworzenia wspólnych sił powietrznych krajów bałtyckich. Byłoby to praktyczne rozwiązanie stworzenia powietrznych sił obrony, na które nie stać poszczególnych państw bałtyckich. Już w swoim czasie b. premier Łotwy Andrys Skele sugerował stworzenie bałtyckiej unii na wzór Unii Europejskiej.

9.2.99

Ks. Adam Boniecki został redaktorem naczelnym *Tygodnika Powszechnego*, Jerzy Turowicz, na kilka miesięcy przed śmiercią, wskazał go jako swego następcę. Ks. Boniecki był od 35 lat związany z redakcją *Tygodnika Powszechnego*. Jest on od 1993 r. generałem zgromadzenia księży marianów. Jego kadencja na tym stanowisku kończy się w lipcu br. Do tego czasu *Tygodnikiem* będzie kierować kolegium redakcyjne.

10.2.99

W Muzeum Lubelskim została otwarta wystawa Jana Lebnsteina „Etapy”.

12.2.99

Zmarł w Warszawie w wieku 60 lat Janusz Łętowski, wybitny znawca prawa administracyjnego, sędzia Sądu Najwyższego, autor licznych publikacji poświęconych prawu oraz muzyce klasycznej.

## ZACHÓD

22.12.98

Zmarł w Genewie w wieku 90 lat Jean Malaquis (Włodzimierz Malacki) pisarz francuski, laureat Prix Renaudot 1939 za powieść „Les Javanais” (wznovione wydania: Phebus 1995 i 1998).

14.12.98

Na Uniwersytecie Paris I – Panteon-Sorbonne odbyła się obrona pracy doktorskiej Agnieszki Kluczewskiej Wójcik na temat „Feliks Manggha-Jasiński” (1861-1929), kolekcjoner i inspirator polskiego życia artystycznego” (Feliks Manggha-Jasiński (1861-1929), collectionneur et animateur de la vie artistique en Pologne). Praca spotkała się z najwyższą oceną jury. Zaś 4-go grudnia Bogusław Biela obronił z wyróżnieniem na Université Paris III – Sorbonne Nouvelle pracę doktorską na temat „La revue *Kultura*: intermédiaire entre les littératures slaves et occidentale (1947-1970)”.

15.1.99

W Maisons-Laffitte została otwarta wystawa prac Józefa Czapskiego pod patronatem Jacquesa Myrada mera Maisons-Laffitte, ambasadora RP, Stefana Mellerera i J. Giedroycia. Trwała do dnia 31.01.99.

16.1.99

Został ukonstytuowany nowy zarząd Powierników Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie w składzie: Tadeusz Walczak – prezes PFK i dyrektor *Dziennika Polskiego*, Czesław Zychowicz – wiceprezes, Eugenia Maresch – sekretarz, Wiktor Moszczyński – przewodniczący Komisji Programowej, Bogdan Szwagrzak – przewodniczący Komisji Finansowej, Ryszard Dembiński, Feliks Laski i Mieczysław Stachiewicz – członkowie Zarządu.

21.1.99

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego miał miejsce odczyt p. Jarosława Lebedynskiego na temat „Ukraine-Pologne – discuter l'histoire pour preparer l'avenir”.

26.1.99

Po długiej i ciężkiej chorobie zmarła w Jerozolimie Hanna Klicka, przyjaciółka *Kultury*, reprezentująca w najlepszym tego słowa znaczeniu współpracę polsko-żydowską.

29.1.99

W Rennes (Francja) został otwarty konsulat RP, kierowany przez p. Michela Dorina.

3.2.99

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego miał miejsce odczyt André du Couëdic „La reconstruction de la marine royale sous Louis XVI et la guerre d’Amerique” oraz Jean-Luisa d’Arca „La Fayette et la Pologne”.

4.2.99

W Instytucie Polskim w Rzymie miała miejsce prezentacja książek ks. prof. R. Dzwonkowskiego, a mianowicie: „Kościół katolicki w ZSRR 1917-1939. Zarys historii”, „Losy duchowieństwa katolickiego w ZSRR 1917-1939. Martyrologium”, „Skazani jako szpiegdy Watykanu”. Książki te były omawiane przez pp. Marka Ingłota SI, Dominika Morawskiego, Hieronima Fokcińskiego SI, Adama Somoriai OSB i Adama Bonieckiego MIC.

5.2.99

W Centre du Dialogue w Paryżu prymas Polski, ks. kardynał Józef Glemp mówił o kontaktach z braćmi prawosławnymi. ■ Staraniem Stowarzyszenia Polskiego w Genewie odbyło się spotkanie z o. Jackiem Gałuszką OP, który mówił o nowych ruchach religijnych i sektach w Polsce.

26.2.99

W Centre du Dialogue w Paryżu Jan W. Woś, prof. historii na Uniwersytecie Trydenckim wygłosił odczyt „Aleksander Mazowiecki (1423-1444) i kult świętych patronów Polski w Trydencie”.

10.3.99

W Institut d’Etudes Slaves odbyła się konferencja „Identité nationale russe hier et aujourd’hui”, w której udział wzięli: Georges Nivat, profesor uniwersytetu w Genewie, Nikita Struve, profesor uniwersytetu Paris X – Nanterre i Alexis Berelowitch.

## Listy do Redakcji

6 XI 1998

Drogi Panie Redaktorze,

W nrze wrześniowym *Kultury* ogłosił Pan z komentarzem redakcyjnym komunikat Stowarzyszenia Pisarzy Polskich krytykujący zmiany w redakcji rzeszowskiej *Frazy*.

Nowym redaktorem naczelnym pisma została Magdalena Rabizo-Birek, dotychczasowy członek redakcji, a w zespole nadal pozostaje Jan Wolski. Oboje dobrze znam osobiście i cenię, także za ich wkład do pionierskiej pracy pt. „Poetycki krąg *Kontynentów*”. Nie ma wątpliwości, że pod ich kierownictwem pismo utrzyma swą dotychczasową rangę znaczącego pisma artystyczno-literackiego.

Łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku,

Adam CZERNIAWSKI

McLean, VA, 20 grudnia 1998

Szanowny Panie Redaktorze,

To nieprawda, co Smecz napisał w listopadowym numerze: „Grynberg popłakał mi się kiedyś przed kamerą, gdy skrytykowałem jego książkę”. Nie uroniłem ani jednej łzy, nawet metaforycznej. Po prostu przerwałem wywiad na wstępie, kiedy Smecz (jako Tomasz Jastrun) orzekł, że „Drohobycz, Drohobycz” jest powtórzeniem rzeczy już znanych i że więcej takiej literatury nie potrzeba. Odmówiłem dalszej rozmowy, gdyż: 1) trudno promować książkę (a to było celem imprezy) z pozycji defensywnej i moja wydawczyni się z tym zgodziła; 2) nie jestem prezydentem USA, ani nie ubiegam się o żaden urząd i nie muszę się z niczego tłumaczyć przed kamerami.

Przykładem niekompetencji Smecza jako krytyka literackiego jest jego opinia, że to z powodu „politycznej poprawności” w finałach Nike „musi być temat żydowski, a też kobieta”. Przede wszystkim do obu dotychczasowych finałów zakwalifikowano nie „temat żydowski”, ale temat Holokaustu (to nie to samo), a uczyniono to, bo w literaturze polskiej nie ma jak dotąd ważniejszego

tematu. Kobieta zaś naprawdę „musi być”, ponieważ tak się składa, że kobiety – nie od dziś – są w czołówce polskiej prozy. Warto też dodać, że moja książka, którą uznał za zbędną, miała dwa dodruki jeszcze przed nominacją do Nike, znalazła się na liście bestsellerów w Krakowie, ukaże się wkrótce w jednym z największych wydawnictw niemieckich, jest tłumaczona na angielski, a tytułowe (największe) opowiadanie zamieszczono w jednym z prestiżowych amerykańskich czasopism uniwersyteckich.

Dziękuję Smeczowi, że zaliczył mnie do „wielkich artystów” razem z Różewiczem i Herlingiem-Grudzińskim, ale chciałbym mu zwrócić uwagę, że pisarze (wielcy czy mali) to nie to samo co politycy, że liczą się tylko ich utwory i że nie jest właściwe wyśmiewanie ich z powodów zupełnie pozaartystycznych.

Z wyrazami szacunku

Henryk GRYNBERG

7 stycznia 1999

Szanowny Panie,

Celem mojego szkicu „NATO a bezpieczeństwo Polski” było zwrócenie uwagi na luki w bezpieczeństwie kraju, wypływające z formy proponowanego nam członkostwa, w kontekście nadal istniejącego, potencjalnego zagrożenia ze strony Rosji. Spodziewałem się rzeczowej dyskusji poruszonych w moim artykule zagadnień, jak również polemicznych reakcji, takich jak list p. Andrzeja Krzeczunowicza w grudniowym numerze *Kultury*.

W przeciwieństwie do p. Krzeczunowicza, za miarodajne w docieraniu do prawdy uważam obiektywne analizy i opinie ekspertów, bardziej niż oświadczenia i zapewnienia „czynników oficjalnych”. Rozumiem, że niektóre z cytowanych przeze mnie artykułów mogą uchodzić za zbyt akademickie, lecz czy opinie ekspertów takich instytucji strategiczno-wojskowych jak IISS czy EUSI w Londynie można uznać za „konceptje wykształcone w więzy z kości słoniowej?” Pozwolę sobie też przypomnieć, iż moje przypisy źródłowe powołują się również na opinie ekspertów japońskich, uważnie śledzących implikacje poszerzonego NATO dla bezpieczeństwa w naszym rejonie, szczególnie Polski.

Powołuje się p. Krzeczunowicz na dokumenty, które powinny mnie przekonać, a równocześnie bagatelizuje ważną klauzulę dokumentu akcesyjnego, dotyczącą nierozmieszczania kontyngentów sojusznicznych na terytorium Polski. Zadowalają go dobre chęci i uśmiechy sojuszników, ja wolę mieć pewność, że w razie potrzeby, Polska nie zostanie na lodzie. Chodzi tu zresztą nie tyle o dobre chęci (nie przeczę, że takie istnieją), co raczej techniczno-operacyjne ograniczenia dla ich realizacji. Dla zrozumienia tego problemu nie



trzeba sięgać po nużącą, techniczną literaturę strategiczno-wojskową, zawartą np. w periodykach instytutu RUSI. Polecam natomiast uwadze p. Krzczunowicza, jak również zainteresowanych czytelników, wydaną kilka lat temu książkę b. Sekretarza Obrony USA C. Weinbergera pt. „Przyszła wojna”, w której kreśli potencjalne scenariusze przyszłych konfliktów. W rozdziale dotyczącym rosyjskiego blitzkriegu na Polskę widzimy, jak w soczewce, katastrofalne skutki braku kontyngentów sojuszniczych, wspólnych struktur dowodzenia na naszym terenie. Nawet najdoskonalsza super-technologia raketowo-powietrzna nie wystarczy dziś do wygrania bitwy czy wojny, nie wyręczy z tego zadania dobrze zorganizowanych sił lądowych, których rola zaczyna znów być doceniana. Najlepszym tego przykładem jest ostatni konflikt z Irakiem, któremu grady bomb i raket anglosaskich niewiele zaszkodziły, a do inwazji lądowej, z wiadomych powodów, Ameryka nie miała ochoty.

Czy istnieje realna możliwość napaści ze strony Rosji? Tego z pewnością nam nikt nie powie, nie wiemy co krąży w głowach dzisiejszych przywódców Rosji. Wiemy natomiast że w ich oczach, wchodząc do NATO wchodzimy do obozu „nieprzyjaciela”. To jest wprawdzie nie bardzo budujący, lecz istotny pewnik, z którym musimy się liczyć. Tak jak to ujął J. Pomianowski w tymże, grudniowym numerze *Kultury*, „w NATO nie można być troszeczkę. Najlepszym sposobem zapobieżenia konfliktowi jest przekonanie Rosji, że w roli napastnika nie ma szans”.

Musimy wreszcie zrozumieć, że Polska zmieniła „stronę barykady”, lecz podobnie jak przedtem, pozostaje na pierwszej linii frontu. Dlatego ma prawo domagać się solidnych ram członkostwa NATO, solidniejszych od Czech czy Węgier. Ma prawo domagać się zamknięcia istotnych luk w jej bezpieczeństwie.

Łączę wyrazy szacunku,

Janusz MONDRY

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce*

**Przemysław B., Polska:** – Sztuka rymotwórcza wymaga szczególnej dyscypliny i nie pozwala w jednym utworze, jak np. w „Szczurolapie”, na zupełną dowolność – w efekcie chaosowi formalnemu towarzyszyć zaczyna chaos myślowy. A tak przy okazji, dlaczego księżyc u Pana czesze swą głowę „wciąż na lewą stronę”?

**Maria B., Polska:** – Naprawdę trudno pojąć co znaczy zwrot „nurkować rzeką Styks”, zaś sylabizowanie słowa „KO-CHAM”

tak, jak Pani to proponuje, może w obiekcje uczuć wzbudzić wrażenia nieoczekiwane.

**Jacek G., Polska:** – Pana wrażliwość nie ulega wątpliwości, także zdolność przekładania jej na obrazy. Jednak musi Pan jeszcze doszlifować formę, przede wszystkim ograniczyć wielosłowie oraz proste błędy w rodzaju takich sformułowań: „ukradkiem śląc jutru i wczoraj jego akty zgonu” – skąd tu liczba pojedyncza?

**Wanda P., Anglia:** – Niestety, Pani wiersze, choć przecież zaświadczały głębię przeżycia, nie mogą być jednak traktowane jako dojrzałe utwory artystyczne.

**Ludwik L., Polska** – Zabawa, w której uczestnictwo Pan proponuje, jest zbyt skomplikowana, zagmatwana, a jakość rymów pozostawia wiele do życzenia.

**Piotr S., Polska** – Wiersze zbyt słabe, szkoda w szczególności „Platona”, utworu stanowiącego zapis dobrego konceptu.

**Marian Cz., Polska** – Rozpisuje Pan na wersy prozaiczne oczywistości, co jednak nie czyni z nich poezji.

**Marek S., Austria** – to są, niestety, wiersze słabe i przegadane.

**Stanisław S., Polska** – „Toast stulecia” co prawda trafnie wskazuje na istniejące zagrożenia, lecz to jedyna jego zaleta. Jako utwór artystyczny na wagę nie zasługuje.

**Sylvia F., Polska** – Wiersze Pani na pewno nie są „o niczym” i dlatego właśnie należy żałować, że nie potrafi Pani zapanować nad żywiołem słowa. W szczególności ów „nadmiar narracyjny” osłabia wymowę interesującego wiersza „Moja dusza nie moja”.

**Maria T., Polska** – I tak bywa, że gadulstwo zaciera ślady poezji. To jak z zakończeniem listu, w którym ktoś bezmyślnie napisał: „pozdrawiam i życzę zdrowia”.

**Wiesław Janusz M., Polska** – Sądząc po załączonej liście publikacji, pragnie Pan się zapisać w Księdze Rekordów Guinnessa. Nie jest to literacka Nagroda Nobla, ale – powodzenia.

**Leszek B., Polska** – Z wierszy nie skorzystamy.

**Bogumiła Ż., Australia** – Pani utwór trafny w obserwacji, gdyż wszyscy przemijamy, nie wnosi nic ponad tę właśnie oczywistość.

**Dobromir K., Polska** – Z gadulstwa rzadko powstaje poezja, choć bywa, że niektórzy takie wiersze do poezji zaliczają. Interesujący wydaje się pomysł zapisany w „Pytaniach na ostatni dzień roku”. Niestety – wiersz jest słaby.

## SPROSTOWANIE

W „Kartkach ze skażonej strefy” zamieszczonych w numerze 1-2/1999 *Kultury* p. Ewa Berberysz przez pomyłkę podała „zakłady Stomil” zamiast Semperit (str. 145). Autorka przeprosza za pomyłkę.

## WOLNA TRYBUNA

Jerzy Boniecki:	<i>Czy sądzić kata?</i> . . . . .	164
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> . . . . .	169
A. Czerniawski, H. Grynberg, J. Mondry:	<i>Listy do Redakcji</i> . . . . .	172
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> . . . . .	174

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1<sup>er</sup> trimestre 1999.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:  
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,  
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

## KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1999</b>			
<b>AFRYKA POLUDNIOWA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>ARGENTYNA:</b> « <i>Libreria Polaca</i> », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>AUSTRALIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>AUSTRIA:</b> <i>Księgarnia Polska</i> , 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>BELGIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>BRAZYLIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>DANIA:</b> O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>FRANCJA:</b> do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>HOLANDIA:</b> <i>Barbara Malak-Minkiewicz</i> , Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 . . . . .	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
<b>IZRAEL:</b> <i>Księgarnia Polska</i> , E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>KANADA:</b> <i>Krystyna Krakowska</i> , 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; <i>Baltazar Krasuski</i> , 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; <i>Księgarnia Polska w Ottawie</i> , <i>Andrzej Lifsches</i> , 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; <i>Z. Micherdziński</i> , 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115 . . . . .	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
<b>NIEMCY:</b> <i>Kubon &amp; Sagner</i> , Buchexport-Import, Hessestr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; <i>Księgarnia Wawel</i> , Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60 . . . . .	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
<b>NORWEGIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>SZWAJCARIA:</b> <i>Krystyna Wasung</i> , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84 . . . . .	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
<b>SZWECJA:</b> <i>Wojciech Luterek</i> , Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33 . . . . .	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
<b>U.S.A.:</b> <i>Ada Dziewanowska</i> , 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; <i>St. Kwiatkowski</i> , 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; <i>POLONIA Bookstore</i> , 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; <i>Księgarnia Ludowa</i> , Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; <i>Szwede Slavic Books</i> , 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; <i>Księgarnia «Nowego Dziennika»</i> , 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266 . . . . .	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
<b>WIELKA BRYTANIA:</b> <i>Orbis Books (London) Ltd.</i> , 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>WŁOCHY:</b> <i>Elżbieta Zahorska</i> , 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

## Nowości wydawnicze

### BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSLAW A. SUPRUNIUK

### BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 506 – ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT

### STO DWUDZIESTY SIÓDMY

zawiera opracowania: K. Jonca: *Postawa Niemiec w czasie wojny polsko-sowieckiej 1920 r.*; G. Mazur: *Między Stambulem a Lwowem. Z dziejów Bazy Łączności „Bey” w Stambule 1940-1941*; M. Christian: *Urząd Bezpieczeństwa w Nowej Hucie w latach 1951-52*; A. Grzywacz, M. Kwiecień: *Sikorszczycy kontra Sanatorzy 1939-1940. (Z dziejów konfliktów politycznych uchodźstwa polskiego)*; M. Jastrun: *Pamiętnik. Lwów (grudzień 1939 – grudzień 1941)*; M. Stępień: *Z notatnika*; I. Modelski: *List do gen. Sikorskiego*; A. Bocheński, A. Werner: *Jan Bloch (1836-1902)*; T. Wyrwa: *Wspólna droga Kajetana Morawskiego z Rogerem Raczyńskim. Wspomnienia*; P. Waingertner: *Zaolzie i Ruś Zakarpacka*; P. Daszkiewicz: *Francuska książka o Białowieży*; E. Kupper: *Wspomnienia gdańskiego Bówki*; Nadesłane nowości wydawnicze i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00